



W. GAŚSIOROWSKI

GAWĘDY ŻOŁNIERSKIE

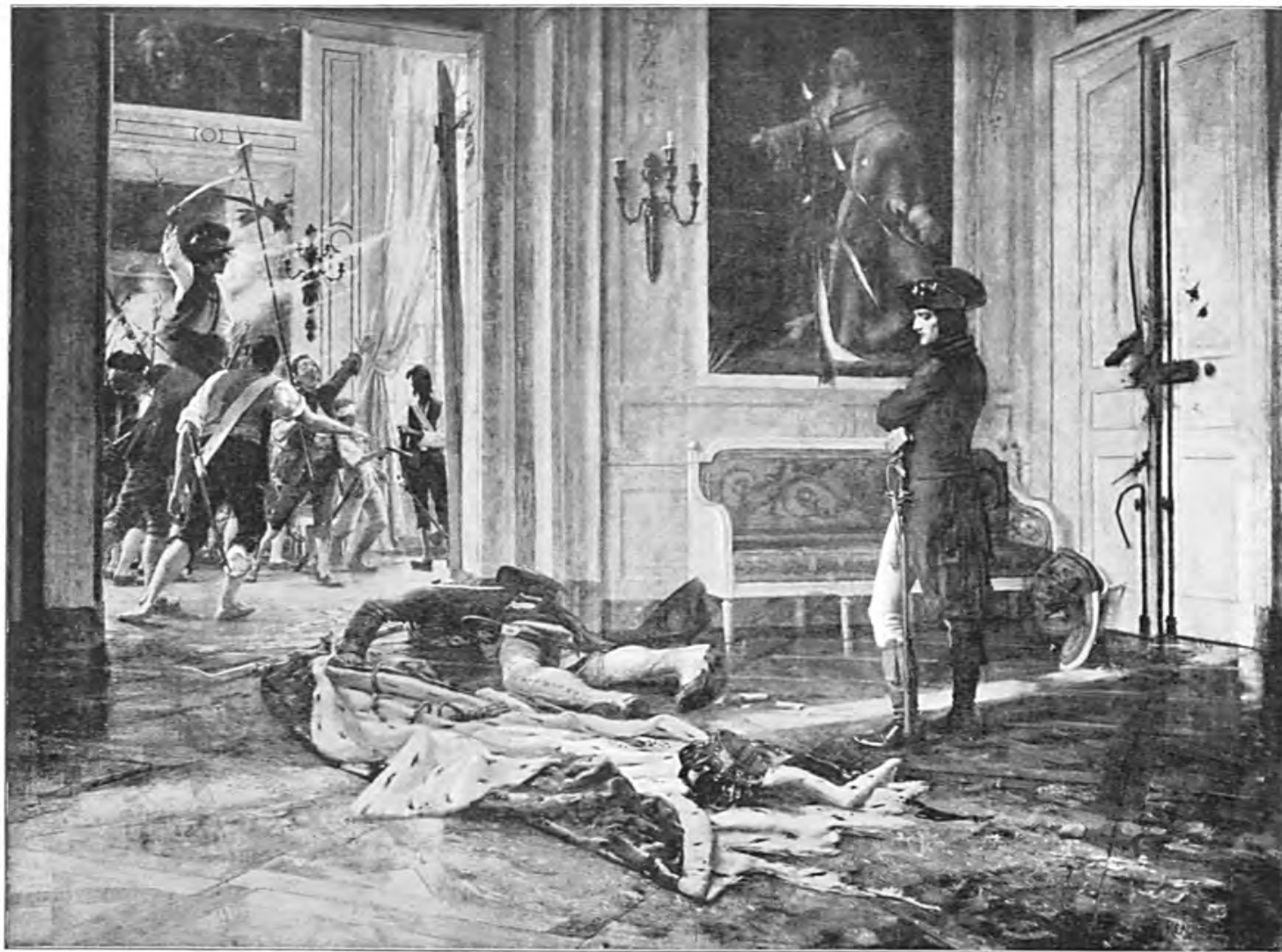


GAWĘDY ŻOŁNIERSKIE



Kraków — Druk W. L. Anczyca i Spółki.





BONAPARTE PODCZAS RABUNKU TUILERIES
(według obrazu M. Réalier-Dumar).

WACŁAW GAŚSIOROWSKI



GAWĘDY ŻOŁNIERSKIE

POKŁOSIE SPUŚCIZNY PAMIĘTNIKARSKIEJ
NAPOLEOŃCZYKÓW

WYDANIE OZDOBIONE 112 REPRODUKCJAMI OBRAZÓW,
PORTRETÓW I WINIET SŁAWNYCH MISTRZÓW:

GÉRARDA, DELAROCHA, TARDIEU, CHEŁMIŃSKIEGO, MEISSONIERA, DAVIDA, JOBA, GUERINA, KRATKEGO.
GEORGES BERTRANDA, DUPAIN'A, BOUCHOTA, CLAIRIN'A, ORANGE'A, PHILIPPOTEAUX, LANGLOIS'A,
GROSSA, CHECA, VERNETA, BELLANGÉ'A, LE DRU, SERGENTA, CHARTIERA, DUMARA, CHARLETA, RINCONA,
MIRVAULTE'A, WALBONNE'A, BELLECOURTA, LAURENSA I WIELU INNYCH



WARSZAWA

NAKŁADEM KSIĘGARNI KONSTANTEGO TREPTE

ULICA MARSZAŁKOWSKA 149

1905

98.646

Дозволено Цензурою
Варшава, 25 Сентября 1904 г.



WSTĘP DO GAWĘD



Gawędy żołnierskie! Więc forma nie wymyślna, więc myśl prosta, więc ani chęć olśnienia słuchaczy, ani przekonania, więc opowieść dla opowieści, więc echo biwakowych szeptów, więc łąza wspomnienia, więc uśmiech smutny a dobry, więc westchnienie starca ku młodości minionej, ku jesieni przeżytej.

Gawędy żołnierskie, — to nie polityka i nie rozprawa wojskowa, to nie wyliczanie armii, nie rozpatrywanie błędów strategicznych, nie wążenie racji zmagania się, siłowania. Gawędy żołnierskie — to kwiat, zerwany na wspólnej mogile walczących niegdy, to pogoda duszy, zapatrzonej tam, kędy ustają waśnie i spory, kędy rycerski poryw splata dłonie wrogów, kędy z bitewnego oddechu, z pożogi, z morza krwi i niedoli piękno serca, piękno męstwa, piękno szlachetnego rzutu snuje ku potomności swe złote nici.

Żadna z epok wojowania ludów nie zrodziła tylu gawędziarzy, co napoleońska, bo i żadna bodaj nie miała tyle niepowszedniego tworzywa w samem życiu wodza, żadna tak mocno nie otarła się o granice nieprawdopodobieństwa i żadna tylu równocześnie narodów nie zdołała ogarnąć bojowymi hasłami i żadna tylu i tak szybkich nie dokonała przewrotów. Trony padały i wznosiły się, państwa waliły się w gruzy i rosły. Europa

co dnia zmieniała szachownicę swych granic politycznych, prostym żołnierzom zarzucała na ramiona gronostaje, mitrami zdobiła skronie mężnych, ustanawiała nietylko nowe dynastye, lecz podwaliny nowych wielkich rodów budowała. Jeden dzień miał w owych czasach więcej historii niż niejedno stulecie! Świat należał do walecznych.

I biegła młodość pod sztandary i stawała pod orłami Bonapartego lub przeciw orłom tym szła, — i walczyła i śniła o zwycięstwach.

Na wojaczce lata schodziły aż zgasła na horyzoncie Atlantyku gwiazda wielkiego wojownika. Osobiste swary i poswarki ścichły, umilkły złośliwe plotki, szeregi napoleończyków, z godziny na godzinę, rzedły, gawędy już jeno u kominków rozповідаły wnukom o «ukochanym cesarzu» lub o «srogim zbójcu». Aż zabrakło i dziadów i wnucząt i kominków a gawęda przebrzmiała, poszła w dal.

Nasz dorobek gawędziarski z tej epoki jest bodaj jednym z najuboższych. Niepokoje, ponapoleońskim czasom blizkie, zagłuszyły nam słowa tych serdecznych żołnierzów i unicestwiły drogą spuściznę. Tu i owdzie kołacze się niby mglisty wypominek w rodowych papierach, tu i owdzie gawęda ustroiła się w pretensjonalne szczątki literackiego utworu a zresztą ledwie przeświadczenie zostało, że gawędziarzy było wielu.

Dziś jedynym śladem gawędy, są pamiętniki i to w bardzo małym stopniu. Pamiętnikarze bowiem nasi czasów napoleońskich siłą mocą w zawody poszli, aby nam dać jak najmniej prostoty żołnierskiego swego życia, jak najmniej z tego, co przetrwali, co sami przeczuli, a jak najwięcej z tego co dotyczyło gabinetowych wieści, tajników polityki a co naówczas tonęło w zamęcie sprzeczności. Pamiętnikarze nasi nie dali nam stąd opisu dziejów jednego pułku, jednej bodaj kompanii, jednego plutonu, jednego pełnego życia żołnierskiego, lecz za to mnóstwo źle opisanych wielkich bitew, błędnie przytoczonych traktatów i fałszywych wniosków. Większość naszych pamiętnikarzy z tej epoki to najpierw politycy, najpierw statysci, a później zaledwie członkowie rodzin dumnych a nakoniec żołnierze. Oficer, wciśnięty w mrowie korpusu, szeregowiec, tonący w kolumnie armii nie mówi nam, co się wokół niego działo, zapomina o swych najbliższych towarzyszach broni, nie daje nam wyobrażenia o jednej nocy

biwakowej, własnego munduru i tornistra zapomina opisać a wzamian, ciągle zapatrzony w główną kwaterę, ciągle mając przed oczyma kartę Europy, — strofuje marszałków, wyrzuty czyni generałom i bez mała po laury historyka sięga. A jeżeli do tych ambicyj pisarskich przylgnie chęć podniesienia blizkich sobie lub obniżenia zasług nienawistnych, to już najpotulniejszy czytelnik wprost ku pamiętnikarzom niechęć uczuwa.



Te zarzuty, z małemi wyjątkami, dotyczą wszystkich naszych pamiętnikarzy epoki napoleońskiej. I może dla tych niedostatków «gawęda» byłaby bezpowrotnie pogrzebaną, gdyby nie siła żołnierskiej natury, która krojącemu na rezonera-polityka pamiętnikarzowi wypowiadała posłuszeństwo i między oschłe wywody wpleść zdołała swój szczerzy odzew, za-brzmieć pełnią jasnego tonu.

W tem pokłosiu pamiętnikarskiem o zebranie tych właśnie tonów szło. Odrzuciliśmy więc cały ciężar racyi, cały ogrom przedmiotów woj-skowych opisów, cały balast wywodów i staraliśmy się wyłuszczyć z pa-

miętników same ziarna gawędy. I z tych ziarn jeszcze wybraliśmy te, które wydały się nam najprostsze, najbarwniejsze, najpogodniejsze. I ziarna tak wybrane rzuciliśmy na te kartę bez żadnych uwag, bez żadnych podznaczeń a to w tem rozumieniu, że gawęda żołnierska nie zawsze bywa urywkiem dziejów i że być nim nie potrzebuje, że nawet naiwność jej to tylko wdzięk więcej, że zrodzona w chaosie obrazów, nie może się kusić o ustalenie dat i wypadków, że łączy mimowoli w jedną całość oderwane zgoła zdarzenia, że dosięga stóp legendy, że z istoty swej nie ma ani ładu historycznego ani zszeregowania wrażeń, że bucha płomieniem, jak smolne łuczywo na biwaku, i rwie się, jak głos starca w zdławionej wzruszeniem krtani.

WACŁAW GĄSIOROWSKI.



BONAPARTE
(według portretu Philippoteaux).

SZKOŁA WOJSKOWA W WIEDNIU

(1806—1809)



późnej jesieni, roku 1806 czy 1807, pojechaliśmy, ja, Jan i Wacław, do Wiednia, gdzie nas odwoził szwagier nasz Osławski. W Wiedniu, pod protekcją pani Aleksandrowiczowej, byliśmy generałowi Bourgeois, komendantowi akademii inżynierów, przedstawieni i w kilku dniach do akademii przyjęci. Wacław, jako najmłodszy, wszedł między działwę klasy I-ej i II-ej, która zupełnie oddzielnie nauki odbierała, jadła i spała. Ja zaś z bratem moim, Janem, weszliśmy do klasy III-ej, w której było, jak pamiętam, 73-ch uczniów i gdzie już nauki potrzebne wojskowemu dawano. Profesorowie niektórzy byli cywilni, lecz drudzy, jako to: nauczyciel matematyki, byli kapitanowie lub majorowie inżynierzy. Z Polaków, kiedym wszedł, było około 50-ciu, lecz ci prawie wszyscy byli w klasach już wyższych; w naszej zastaliśmy tylko: Tarnowskiego, który później, w pułku 16-ym ułanów polskich, w kampanii 1812 r., kulą w głowę ugodzony, w okolicach Możajska poległ; Ledóchowskiego, który w r. 1848, już jako pensyonowany generał austriacki, w Węgrzech osiadł; i Dąbskiego z krakowskiego. W innych zaś klasach było dwóch Turnów, Ignacy Ledóchowski który, jako generał artylerji polskiej, arsenałem warszawskim za Królestwa Polskiego dowodził, a w ciągu wojny 1831 r. twierdzą Modlina; nie robił służby polowej, ponieważ już 1812 r., jako dowódca baterji artylerji konnej, nogę prawą od strzału kuli armatniej był stracił.

Było jeszcze dwóch braci Zwan-Strachockich, Jan Ledóchowski, dzisiejszy poseł sejmu naszego, Jędrzejowicz, dwóch braci Romanków. Zdaje mi się, jeszcze Menciszewski, a reszty już dziś nie przypominam sobie. Akademia ta pod względem naukowym dzieliła się na trzy części: I-sza i II-ga klasa, jak mówiłem, dzieci, III-cia, IV-ta, V-ta i VI-ta uczniów sposobiących się w ogóle do wojska, bez różnicy broni, — VII-ma zaś klasa, już i mundur innego koloru nosząca i w oddzielnym budynku mieszkająca, składała się z wyboru uczniów klasy VI-tej, którzy się do korpusu inżynierów już liczyli i do wszystkich tajemnic budowy fortec austriackich przypuszczeni byli. Klasa ta miała najwięcej 12-tu uczniów, a czasem tylko 10-ciu, jeżeli potrzeby wojsk tego nie wymagały. Było przyjętem, że kto nie chciał do korpusu inżynierów wchodzić, temu wolno było klasę V-tą, gdzie mechaniki głównie uczono, pominąć, to jest, że z IV-tej mógł odrazu do VI-tej wstąpić.

Zycie uczniów było jak najregularniejsze i takie, jakie wojskowemu przystoi; łóżko składało się z materaca z wałkiem na tymże bez poduszki, przykrycie przyzwoite, odpowiednie temperaturze ogromnych sypialni, gdzie po 60-ciu lub 70-ciu w jednej się mieściło. Każdy miał komodę o trzech szufladach, na której stała miska i kubek, cynowe; do służby uczniów było 20-tu z kompanii saperów; każdy uczeń mógł sobie wybrać służącego, płacąc mu podług naznaczonej taksy, służących nazywano putzer (chędożyciel). Tego obowiązkiem było buty i mundur chędożyć; bo strój nasz był zupełnie podobny do mundurów oficerów piechoty, i jedynie temeśmy od oficerów się różnili, żeśmy róż u kapeluszków nie mieli, ani też feldcechów u szpady. Podoficerowie zaś saperów, byli naszymi dozorcami, tak w sypialniach jak w klasach. Oficerowie kolejną brali inspekcję i trzy razy do nocy sale sypialne, całą noc oświecane, zwiedzali. O godzinie do wstawania wyznaczonej, w lecie 6-tej w zimie 7-mej, podoficer dawał znak do wstawania silnem, podwójnem uderzeniem, długim laskowym kijem o szeroką tarcicę. Na znak ten, każdy był obowiązany wyskoczyć równemi nogami z łóżka i siąść na stołku obok tegoż będącym. Na łóżku siedzieć ani się tego dotknąć już nie było wolno. Pół godziny czasu zostawione było do umycia i ubrania się, podczas ubierania wchodził służący cywilny, ten trzewiki w nocy chędożył i liberyę akade-

micką, podobną do cesarskiej, nosił; wchodził on z koszem pełnym bocheneczków chleba żytniego, kładł każdemu na pościeli należący mu bochenek, który brano do ręki, chowano w zanadrze i stawano w szeregi na długich korytarzach, skąd maszerowano w porządku, po dwóch, do kościoła, gdzie pater Felner, kapelan akademicki, mszę odbywał, do której mu zawsze 4-ch uczniów służyło. Z kościoła szliśmy do klasy i w drodze był czas śniadania. Skoro się do klasy przybywało, najpóźniej w kwadrans zaczynała się lekcya, najczęściej dobrego pisania lub jakiego języka; a po tej dopiero przychodził oficer wykładający matematykę, jako główną podstawę sztuki wojennej, lub inne wojskowe lekcye; o 12-ej szliśmy do stołu, gdzie, oprócz kilku potraw, każdy dostawał porcyę wina, $\frac{1}{2}$ zejdlu. Po obiedzie udawaliśmy się na rekreacyę do ogrodu, poczem wracano do klas innych jak z rana, gdzie lekcye rysunków dwie godziny trwały; po tych do ogrodu na uczenie się musztry pieszej, tak szkoły żołnierza, musztry karabinowej, jak szkoły batalionu i, po godzinie rekreacji, wracano do klas naukowych, dokąd zwykle wieczorami przychodził kapłan wykładać lekcję wiary katolickiej; o godzinie 7-ej kolacya z dwóch potraw, z równą ilością wina, i, po kolacyi, prosto do łóżka.

Co 6 miesięcy następowała klasyfikacya uczniów: każdemu uczniowi dawano listę imienną całej klasy, aby ten porządek numerów tak, jak cenił zdatność współuczniów, ułożył; poczem, profesor matematyki stanowczą liczbę układał. Wyznać trzeba, że klasyfikacya ta zawsze nader sprawiedliwą była i emulacyę wielką wzbudzała; dwaj pierwsi uczniowie w każdej klasie tę we wszystkich wypadkach reprezentowali. Brat mój, Jan, choć młodszy odemnie, był zawsze drugim na liście, bo był nadzwyczajnej pilności i głowę prawdziwą matematyczną posiadał. Pierwszy w naszej klasie był nazwiskiem Ferro, ten był matematyką przesiąkły. Łagodnego charakteru człowiek, ale zabaw wszelkich unikający. Ile wiem, umarł on w Polsce jako oficer austriackiej inżynierii 1812 r., służąc w korpusie, niby posiłkowym, austriackim. Ja w tej klasyfikacyi nie doszedłem wyżej jak do 11-go numeru, ani też spadłem niżej jak 15-ty, miałem bowiem wadę, że godziny do nauk matematycznych przeznaczone, na czytanie dzieł strategicznych tracił, i tak zawsze pod książką matematyczną trzy-

małem dzieło inne, strategię wykładającą; dla tego też, jakżem zaczął służbę obozową, nic mi nowem nie było, chociaż już wtedy, jako dowódzca kompanii (szwadronu) jazdy, z kolei służbę obozową całego pułku robiłem. Dobrze stawianie widet, placówek, zręczne odbywanie patrolów miałem jakby wrodzone, co temu czytaniu jedynie przypisywać mogę, bo dzieła, które nam w tym względzie czytać dozwolano, były nader dokładne. Zastanawiając się nad dokładnością nauk, jakie w akademii istniały, a porównyując te z naukami kursów filozoficznych w Krakowie, przez tychże samych Austryaków wykładanych, nie mogę pominąć systematycznego kierowania umysłów przez rząd austriacki w Krakowie, gdzie się na owcę do strzyży, na krajowego obywatela sposobił: lekcye były tak ciemno dawane, że trzeba było i nadzwyczajnego pojęcia i nadzwyczajnej pilności, aby się czegobądź nauczyć, — tu zaś, w akademii inżynierów, gdzie się już człowiek do służby stanu sposobił, nauki były tak dokładnie dawane, że jak łopata mieściły się w głowie.

Winienem tu wspomnieć, że, wstąpiwszy do klasy mojej, chciałem się od razu z Węgry, których było więcej 20-tu, zaprzyjaźnić, lecz do tego przyjść nie mogłem, pomimo usilnego mego starania. Mógłbym to nieco przypisać tej okoliczności, że z bratem moim Węgier, nazwiskiem Krajner, chciał rywalizować, lecz, pomimo że był dobrym uczniem, zdolność brata mego zawsze go za sobą trzymała, czego on strawić nie mógł, a że miał talent kupienia około siebie ludzi, nastąpiło między jego ziomkami a mną więcej niechęci jak przyjaźni i wogóle charakter ich nie był szczery. Gniewało ich to, że we wszystkich klasach między dwoma pierwszymi zawsze był Polak. Z uczuciami naszymi narodowymi odzywać się tam nie wypadało; a zresztą umiał rząd austriacki umysły dla siebie kierować, bo jak się zaczęła kampania 1809 r., bardzo wielka liczba Polaków, będących w akademii, poszła do wojska austriackiego na oficerów, gdyż było zwyczajem, iż, nawet bez skończenia wszystkich klas, kto się podał, że chce służyć w wojsku, dostawał nominację oficera. Ja o tem nigdy nie myślałem i, pomimo ostrożności, koniecznej potrzebnej w tym względzie, więcej się z Włochami tam będącymi łączyłem, bo z tych wielka liczba ze wstrętem swym do Austrii nie tała się.

Co jeszcze charakter polski, odrębny od drugich, okazać może, to że w całej akademii nie było tylko cztery stancje osobne, które, dopłacając pewną kwotę, mieć było można, aby się tylko na liście żądających zapisać i, pomimo, że w akademii podczas mojej bytności, wielkie imiona Lichtensteinów, Waldsteinów, Fürstenbergów i t. p. były, już kilka miesięcy przed mojem opuszczeniem akademii, wszystkie cztery te stancje



Napoleon ranny pod Ratysboną (1809)
(według obrazu Gantherota).

przez Polaków były zamieszkane i my nawet, trzech bracia, jedną z tych stancyi zajmowaliśmy.

Zapomniałem zrobić wzmiankę, że w kilka miesięcy po naszym przybyciu i wstąpieniu do klasy III-ej zjechała do Wiednia sławna pani Staël-Holstein, córka Neckera. Ta miała syna mego wieku, który do tej samej wszedł klasy. Oddając go, oczywiście z wysokimi bardzo rekomendacyami, co jej położenie między arystokracją austriacką bardzo ułatwiało, że była, jak wiadomo, nieprzyjaciółką cesarza Napoleona, prosiła generała

Bourgeois, aby jej syna zapoznał z kilkoma lepiej wychowanymi młodzieńcami, i generał nas obydwóch braci na to wybrał. Pani Staël kilkakrotnie nas na obiedzie u siebie miała, gdzie zawsze towarzystwo znajdowaliśmy liczne, lecz że między tymi gośćmi bywali zawsze dyplomaci tak rosyjscy jak i inni, Francyi przeciwni, a my wówczas całe nasze nadzieje na zwycięstwach Napoleona pokładali, przychodziło tam do częstych sporów, zresztą młody Staël, ile pamiętam, bawił zaledwie kilka miesięcy w akademii; było to trochę zepsute dziecko i słabej nader kompleksyi.

Zwyczaj, a raczej reguła, akademii była, że nikt oprócz uczniów klasy VII-ej nie mógł wyjść na miasto, aby jaki cywilny go nie zaprosił i po niego do akademii nie przyszedł, równie aby po tem aż do odzwiernego nie odprowadził. Znaleźć kogo, aby zaprosił, choćby tylko pozornie, na obiad, było trudno, ale o powrót do domu nikt sobie kłopotu nie robił; było więc przyjętem, że się wracało do akademii i o kilkadziesiąt kroków od bramy, pierwszego lepszego cywilnego, który przechodził, prosiło się, aby do odzwiernego odprowadził, do czego mieszkańcy tej części miasta już byli przywykli. Wychodzić na miasto nie można było inaczej, jak w mundurze i przy szpadzie. Mielśmy przywilej, żeśmy na teatry dworskie, Burg-Theater i Kärthnerthor-Theater, płacili bilety tak, jak oficerowie garnizonu, t. j. 10 gr. parter i godzina była tak do powrotu spóźniona, że można było bezpiecznie po teatrze z czasem wystarczyć. W lecie wychodziła część uczniów na zdejmowanie planów w okolicy; zgoła nauki wojskowe były doskonałe, lecz za jeżdżenie konno, uczenie się pływania trzeba było osobno płacić, których to lekcji myśmy nie brali. Umiałem pływać i jeździć na koniu tak jakżem się w Sędziejowicach sam nauczył. W 1808 r. matka nasza, która była najlepszą matką, zjechała do Wiednia, aby nas odwiedzić i, zdaje mi się, że to jej bytności w Wiedniu winienem, żeśmy stancję osobną dostali, co mi się później bardzo przydało.

Roku 1809, jak wiadomo, zaczęła się wojna w dwóch stronach, t. j. od Renu postępowała armia francuska ku Wiedniowi, w czasie kiedy arcyksiążę Ferdynand z Galicyi austriackiej, przechodząc Pilicę, jak mó-

wiono, w 40.000 ruszył na Warszawę. Buletyny, ekstrablady, po austriacku nazywane, o ciągłych zwycięstwach wojsk austriackich nam donosiły, i, dla wzniesienia większego zapału, zawsze nam te ekstrablady w czasie obiadu przynoszono, co naturalnie wielkie wiwaty wywoływało, lecz przy wiwatach, nie wiem czy popędem Polaków czy inaczej, każdy, wstawszy z miejsca jak wypił wino ze szklanki, tłukł tę o ziemię. Pamiętam, że w tym akcie z niejednym Włochem tajemnie mrugnąłem, mając przekonanie, że ekstrablat kłamie. Po dwóch takich wiwatach podziękowano nam za gorliwość zapału naszego, jednakże z prośbą, aby szklanek już nie tłuc, co łatwo zrozumieć kiedy przeszło czterysta szklanek za każdym ekstrablatem pękło. Codziennie przersedzały się miejsca na ławkach, dla przyjmujących nominacje oficerskie. Razu jednego, po bitwie pod Regensburg, gdzie wojska austriackie dużą klęskę ponieśli, przemawia do nas, wykładający nam matematykę, major Ennehuber: »Panowie, niejeden z was podał się z gotowością służenia krajowi, lecz rząd, troskliwy o waszą przyszłość, szlachetne te żądania bez odpowiedzi dotąd zostawiał; teraz jednak nadeszła chwila, gdzie ojczyzna jest w niebezpieczeństwie i rząd oficerów w przersedzonych szeregach wojska potrzebuje. Wzywam więc każdego z panów, któryby do wojska wejść chciał, aby z miejsca powstał«. Oczywiście powstałi wszyscy, ja gorliwiej od drugich, bo miałem już mój plan w głowie. Po trzech lub czterech dniach, miarkując, że ministerium wojny, czyli, tak zwany, Hofkriegsrath, szybciej działać będzie jak zwykle z powodu, że wojska francuskie już niedalekiemi były, przystępuję do feldfebla, dozór klasy mającego, a który katedrę zajmował kiedy profesora nie było, żądając, aby mię do raportu zapisał. Raport była to forma, jakiej używano kiedy się kto chciał z generałem, szkołą dowodzącym, widzieć. Audyencya ta odbywała się codziennie o godzinie 10-ej z rana. Przytomny jej był, oprócz generała, kapitan inspekcji. Brat mój Jan, który, z powodu miejsca 2-go w klasie, blisko katedry siedział, — pyta mię ze zmarszczonem czołem, po co żądam raportu, odpowiedziałem mu, że to robię w celu, aby generałowi oświadczyć, że nie sądzę, aby nam, bez zezwolenia matki, do wojska wchodzić wolno było i że chcę, abyśmy jechali do Krakowa. Mocno się na to ofuknął,

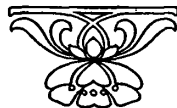
mówiąc, że on chce iść do wojska, lecz ja, równie stanowczo, mu oświadczyłem, że on jest starszy w klasie, ale ja starszy z wieku i że do mnie należy kierowanie nami; był niechętny, ale się sprzeciwić nie chciał.

Poszedłem więc do generała: był to poważny i sędziwy starzec, wrodzony mars na czołe nadzwyczajnie pocziwą duszę ukrywał; mówię do niego w języku niemieckim: »Panie generale, przychodzę do pana, bo wiem, że jego szczególnej opiece jesteśmy oddani. Matka moja, wiem, że pragnie, abyśmy doskonale nauki nasze skończyli, i wcale mnie nie upoważniła, abyśmy je przerywali. Czy nie sądzisz, pan generał, dobrem przychylić się do żądania mojego, abyśmy teraz jechali do domu matki, a gdy nieprzyjaciel wyparty zostanie z kraju, abyśmy powrócili nauki nasze dokończyć«. Generał, zastanowiwszy się nieco, odpowiada: »Ja, ja, thun Sie's!« (tak jest, zróbcie tak). Obróciłem się zaraz do kapitana inspekcji i proszę generała, aby go upoważnił do wypuszczenia nas na miasto samych, abym się z agentem mógł o pieniądze rozmówić, na co oczywiście zezwolił. Wracam do klasy i tam brata Jana już zupełnie zgodnego z myślą moją znajduję. Opuściliśmy klasę, poszliśmy się ubrać i do agenta naszego zaszedłem, prosiłem go, aby obrachował, wiele nam pieniędzy zostaje i aby mi te doręczył, żebym mógł landkuczera nająć. Może mu to nie bardzo było do smaku, jednakże, iż był człowiek uczciwy, oświadczył nam, że się stanie podług naszej woli, i prosił, abyśmy o 1-ej godzinie z południa na obiad do niego przyszli, gdzie nam, zostające u niego, pieniądze doręczy. Stało się podług jego życzenia. Skorośmy przyszli, 600 kilkudziesiąt reńskich mi doręczył, poczem siedliśmy do stołu; uważałem na twarzy jego nieukontentowanie, lecz przypisywałem to jedynie wypuszczeniu z rąk swoich pieniędzy. W końcu dopiero obiadu mówi do nas: »Panowie Polacy pięknie się dziś w akademii inżynierów odznaczyli!«; a na zapytanie moje, co się stało, oświadcza nam, że przyszły nominacje na oficerów i że żaden Polak nominacji tej nie przyjął. Nie chciałem mu mówić, że głównym tego kroku sprawcą, bom kilka dni między podaniem się naszym a tym dniem był użył, aby każdemu Polakowi przedstawić, że nam nie wypada w służbę austriacką wchodzić, a krok mój do generała, w momencie wszędzie wiadomy, okazał im jakiej się drogi trzymać mają.

Opuściliśmy dom agenta, wracając do akademii, gdzieśmy zastali ruch nadzwyczajny, bo każdy był nominację na oficera odebrał i feldcech do szpady przypiął; zastałem i ja nominację moją i mego brata, które, w trójkąt złożone, bez odpieczętowania czytać było można, i widziałem, że do Orelli'ego chevaux-legers na podporucznika był przeznaczony. Natychmiast te nominacje do pokoju kapitana inspekcji zapieczętowane odniosłem. Widać, że uczniom akademii tego postępowania Polaków nie ogłoszono, bo każdy z kolegów, który mnie spotkał, pytał do którego pułku jestem przeznaczony i każdy się dowiedział, że w Orelli chevaux-leger'ach. Nazajutrz wyprowadziliśmy się do miasta, gdzie landkuchera zgodziłem.

Wojska francuskie były wtedy w S. Pölten, t. j. o 2 czy 3 stacye pocztowe od Wiednia, tak że oddział jeńców francuskich, który widziałem, nieopatrzony z ran, świeżą krwią broczył. Zamieszanie w Wiedniu było wielkie, plakaty, wzywające do broni, były liczne, jeden tworzył korpus strzelców liberyjnych; inne każdy stan, stosownie do możliwości, do stawania w szeregach zachęcały, a liczba uchodzących ku Węgrom i Galicyi była wielka. Nagliliśmy furmana, aby spieszenie wyjeżdżał, do czego i on, ile mógł, prędko się zabierał. Dokompletowaliśmy mu podróżnych przez zabranie z sobą Jędrzejowicza, który później był kapitanem artylerji konnej polskiej, zdaje mi się, Strachockiego i Romanków. W Wiedniu, w hotelu, gdzie stałem, leżał Polak Krzysztof Turno, któremu 100 reńskich pożyczyłem, bo był bez grosza, a zbyt chory, aby mógł jechać; wszedł on do służby, jak weszły wojska francuskie i mężnie przy szturmie Saragossy poległ, jako adjutant Bronikowskiego generała.

(Henryk Dembiński, generał).



ZDARZENIE
PODCZAS ZAWIESZENIA BRONI
W MIESIĄCU LIPCU 1813 ROKU



PO SZARŻY
(według obrazu H. Chartier).



Gdy w roku 1813 korpus partyzancki generała pruskiego Lützowa, w czasie zawieszenia broni, okolice miasta Lipska niepokoił, dywizya polska generała Dąbrowskiego, organizująca się podówczas w Wetzlar i okolicy, a składająca się z trzech pułków pieszych (2-go, 4-go i 14-go), z dwóch pułków ułanów (2-go i 4-go) i z baterii artylerii konnej podpułkownika Szweryna, dostała rozkaz udania się ku Lipskowi, gdzie podówczas znajdowały się wielkie magazyny wojskowe i lazarety, dla rozpedzenia owego korpusu, oraz dla obrony miasta samego, w którym tylko małe oddziały marszowe były.

Niedochodząc Lipska, pomiędzy miastami Weissenfels, Zeitz i Gerra, pułki naszych ułanów, pod komendą generała brygady Krukowieckiego, napadły na kilka szwadronów tak nazwanej Legii Zemsty (Rache-Legion) z korpusu tegoż samego i te całkiem zabrali do niewoli. Generał Lützow, poniosłszy w tej i innych potyczkach strat tyle, widząc, że i na swej partyzantce utrzymaćby się nie mógł, spiesznym marszem i prawie ucieczką (jak to zwykle Prusacy czynią) przebył rzekę Elbę i tam połączył się ze swymi. Nasza zaś cała Dywizya otrzymała rozkaz, po uspokojeniu okolic, udać się do samego miasta Lipska na załogę, gdzie podówczas dowodził książę Padwy, stryj Napoleona.

Już kilka tygodni staliśmy spokojnie w tem mieście, gdy nagle od-

bieramy rozkaz być w pogotowiu do przeglądu naszej dywizji, której sam cesarz ma być przytomnym.

Trzeba wiedzieć, że ten wielki wódz, widząc, że wszelkie umowy w Pradze na niczem się kończą, chciał się naocznie przekonać o sile, moralności porządku całego wojska, wszystkie zatem korpusy wojska swego sam oglądał. Chciał tedy i naszą dywizję, która całkiem nowo-umundurowana i uzbrojona była, nareszcie i kilka tysięcy kawalerii, razem z artylerią konną, niedawno z Francji przybyłą, bystrem swem okiem przejrzeć i przekonać się, do czego i gdzieby ich użyć mógł lub przeznaczyć?

Dnia 20-go lipca, jak najraniej, cały garnizon Lipska wyruszył za miasto i uformował się na błoniach za Rosenthalem w trzy linie. Na czele stała nasza piechota. Wkrótce przybył i cesarz lekkim koczkiem, mając przy boku swym generała Muton, którego zawsze zwykł być brać dla donośnego głosu w komendzie; na koźle zaś siedział ulubiony i wierny Mameluk Rustan.

Wysiadłszy z powozu, obejrzał cesarz całą linię, z uwagą przypatrując się wszystkiemu, a potem rozkazał generałowi Muton powtarzać od siebie wydane komendy. Musztra trwała krótko. Napoleon z wszystkiego był nadzwyczaj kontent, co wyrażał nie tylko słowami, lecz także gestami i ruchem. Późem rozkazał nam wrócić do miasta, a sam udał się do reszty wojska zgromadzonego.

Ledwie przybyliśmy do miasta, gdy z placu odebrałem rozkaz, ażeby jeden batalion 2-go pułku wystąpił na rynek miasta Lipska po południu i, uszykowany wzdłuż kamienic czworoboku placowego, oczekiwał przybycia cesarza. O godzinie 4-ej z południa już batalion stał uszykowany, wkrótce przybył i cesarz, i znów przechadzał się poprzód linią, a który z żołnierzy mu się podobał, *w języku polskim* go zapytywał skąd rodem, wiele lat służy i czy kontent z swego przeznaczenia? I po twarzy kilka razy poklepał. Nareszcie udał się ku ulicy Grimmische-Gasse, gdzie już czekała kawaleria i artyleria, i rozkazał jej przed sobą przeciągać.

Miło było widzieć mnogie szwadrony karabinierów, kirasyerów, dragonów, szaserów, huzarów i lansyerów, oraz artylerii konnej, które uda-

wały się do pułków dla wzmocnienia. Wielu oficerów, podoficerów i żołnierzy zatrzymywał, wypytując się, jak dawno służą i w których kampaniach byli, a skoro uznał potrzebę, na placu awansował lub krzyżem Legii honorowej zaszczycał. Wszyscy pełni ukontentowania i zapału odchodzili. Ten przemarsz trwał aż do wieczora.

Cesarz udał się potem do kamienicy królewskiej w rynku, bowiem tam miał nocować. Wszyscy upojeni byli radością, widząc go i mając między sobą. Jedni tylko mieszkańcy, i to liczba nieznaczna, tłumili w sobie zaród nieukontentowania. Do późna miasto było oświecone i muzyki grały. A z rana, ledwie się mieszkańcy obudzili, już cesarza Napoleona nie było; powrócił znów do Drezna, swej głównej kwatery.

Nazajutrz po wyjeździe Napoleona, generał Dąbrowski otrzymał rozkaz, ażeby dnia 24-go lipca wymaszerował z swą dywizją z Lipska i udał się do Wittemberga nad Elbą, a tam dalsze rozkazy odbierze od generała Vandamma, do którego korpusu należeć mieliśmy. Przybywszy pod fortecę Wittemberg, generał Dąbrowski otrzymał rozkaz od generała Vandamma, ażeby z swoją dywizją przeszedł Wittemberg i o dwie mile od tej fortecy rozlokował się w miastach Zahne i Seid i w pobliskich wsiach.

Już od kilku dni staliśmy spokojnie na kwaterach nowych, gdy nadeszła wiadomość, że zawieszenie broni, które się kończyć miało z 1-ym sierpnia, przedłużonem zostało do 10-go sierpnia. Ażeby zaś przez tych kilka dni wojsko było zatrudnione, cesarz rozkazał, ażeby się ćwiczyło w strzelaniu do tarczy. I tak każda kompania miała swemu dowódcy batalionu przedstawić ośmiu żołnierzy najlepiej strzelających. Dowódzca batalionu miał z swego batalionu przedstawić także ośmiu dowódcy brygady. Ten zaś ośmiu dowódcy dywizyi, a każdy dowódzca dywizyi miał z swej dywizyi czterech najlepiej strzelających przedstawić dowódcy korpusu. W korpusie zebrani najlepsi ci strzelcy mieli strzelać do tarczy przed generałem dowódcą korpusu, a który najlepiej trafi, odbierze za to w nagrodę 300 franków, przeznaczonych od cesarza.

Tak to ten wielki wódz umiał w każdym razie zatrudniać, oraz zachęcać swe wojsko, przysposabiając do wielkich swych planów, które następnej kampanii zamyślał wykonywać.

Żywo i z ochotą zaczęło całe wojsko zatrudniać się tem strzelaniem, tem więcej, że naznaczony był dzień, w którym wszyscy dywizyowani strzelcy mieli się zebrać w Dessau, głównej kwaterze generała Vandamma.

Ponieważ byłem w całej dywizyi najstarszym kapitanem, adjutantem majorem, otrzymałem rozkaz udania się do Dessau z czterema żołnierzami, wybranymi i tam zameldować się generałowi Vandammowi.

Miasto Dessau było od nas oddalone o sześć mil. Przez całą drogę zachęcałem i wbijałem w ambicję moich żołnierzy, ażeby starali się dobrze strzelać i żeby czasem wstydu nie narobili. Francuzi bowiem sławni byli z trafnego strzelania, a w całym korpusie oprócz naszej dywizyi sami Francuzi byli.

Pocieszałem się tem, że moi żołnierze zapewniali, że strzelać będą jeżeli nie lepiej, to nie gorzej od Francuzów; najwięcej zapewniał mnie grenadyr z 1-ej kompanii 2-go pułku Józef Jastrzębski.

Drugiego dnia stanąłem w Dessau, a po zameldowaniu się w sztabie żołnierze moi dostali kwatery w mieście; mnie wyznaczono pokój w zamku, z poleceniem, ażebym był u samego dowódcy korpusu.

Któż z nas nie znał Vandamma i jego osobistej odwagi i burzliwego charakteru? Wzrostu słusznego, mężny, brunet, twarz piękna i marsowa, poważny, ubierał się zbyt kownie i bogato, lubił żyć lepiej od cesarza, spojrzenia surowego, jednak przystępny, a kiedy było potrzeba, ludzki i pobłażliwy. W całej armii nie było tak srogiego i prędkiego jak on, dlatego dawano mu stosowne do jego charakteru przeznaczenia. Napoleon zwykł był o nim mówić: Gdybym miał drugiego takiego Vandamma, to tego kazałbym rozstrzelać. Polaków lubił i zawsze cesarza prosił, ażeby jakąś część do jego korpusu przyłączył, co tym razem cesarz i uczynił.

Miałem tedy osobiście generałowi Vandammowi zameldować się, że przybyłem z dywizyi ze strzelcami. Przemieniwszy zatem ubiór, udałem się do niego i oddałem ekspedycje od generała Dąbrowskiego.

Skoro wszedłem, wstał zaraz z kanapy, na której leżał i fajkę palił, i przywitał mnie najgrzeczniej. Wypytywał się o zdrowie generała Dąbrowskiego, dawnego swego kolegi, czy dobrze rozlokowani jesteście,

czy żołnierze kontenci z kwater, czy nie nudzi ich tak długa nieczynność? Oddając wiele pochwał narodowi i wojsku polskiemu, rzekł, że Polaków zawsze kocha i jest ich przyjacielem. Nareszcie pytał się mnie, czy w zamku dano mi kwaterę?

Gdy go o tem upewniłem, rzekł:

— Lubiąc Polaków, chcę pana adjutanta, ile można, ugościć i bardzo proszę przyjąć zarazem mój żołnierski stół.

Podziękowawszy generałowi za jego łaskę, wyszedłem z pokojów do mojej kwatery, gdzie mnie oczekiwali żołnierze moi. Opowiedziałem im jakim przyjacielem Polaków jest dowódzca korpusu, zatem trzeba, żeby tem bardziej się starali dobrze strzelać, żeby się z nas drudzy nie śmieli.

Na to mój grenadyr Jastrzębski odrzekł:

— Panie adjutancie, nigdy tego nie będzie, żeby z żołnierza polskiego miano się śmiać. Pokażemy my jutro jakie to kulki nieprzyjaciółom naszym posyłamy.

Ucieszyła mnie wprowadzić ta pewność, z jaką mówił mój Jastrzębski, jednak, muszę przyznać, że z pewną niespokojnością oczekiwałem następnego dnia.

Śliczny pałac księcia Dessauskiego, obszerny i wygodny, z ogrodem, parkiem i zwierzyńcem, leżącym nad Elbą, zostawił książę do dyspozycji generałowi Vandammowi, którego charakteru burzliwego się obawiał, nawet całą piwnicę, kucharza swego i całą usługę pałacową na jego usługi oddał, a sam wyniósł się do miasta.

Generał Vandamme nieprzyjacielem był Niemców, tem więcej tych, co go się bali, zabrał tedy to wszystko w swoją posiadłość, mało dbając o księcia właściciela. Jednak zawsze go zapraszał na obiady do pałacu.

Byłem tego samego dnia na wybornym obiedzie, gdzie przy stole z 40 osób siedziało; potrawy wykwinie, wina stare. Muzyka przygrywała przez ciąg obiadu.

Po obiedzie generał Vandamme wyjeżdżał zawsze na polowanie do zwierzyńca, wieczorem była herbata i różne napoje, z rana używał kąpeli i spacerów — i takie życie ciągle, stojąc w Dessau, prowadził.

Na drugi dzień już z rana zbierali się żołnierze z wszystkich dywizyj

w ogrodzie zamkowym, gdzie w szerokiej i długiej alei kasztanowej była wystawiona tarcza, przybita do czworokątnego malowanego słupa, za tym było przybitych kilka rac z różnymi sztucznymi fajerwerkami, które z ostatnim kołem czarnem miały komunikację, a za trafieniem w to kółko fajerwerk się zapalał.

Na oznaczoną godzinę i ja z moimi żołnierzami przybyłem i stanąłem obok Francuzów. Nasza dywizja była 5-ta i ostatnia. Przybył i szef sztabu i uszykował wszystkich w porządku; wkrótce nareszcie nadszedł sam generał Vandamme, oblany cały złotymi haftami, otoczony generałami i całym swym sztabem, oprócz tego i mnóstwem widzów; za nim szła kompania grenadyerska, niosąc na czele przy odgłosie muzyki srebrną tacę, na której było 300 franków w srebrze, przeznaczonych dla tego, co najlepiej trafi.

Generał Vandamme dał znak do zaczęcia; zaczęli zaraz żołnierze francuscy z 1-ej dywizyi.

Zabawnie było widzieć jak owi wążacze, w boju osiwiali, przystępowali do mety, z pewnością największą przykładając broń. Wystrzelisz, jak który w centrum nie trafił, z jaką to złością nie odstępowali swej broni, na którą całą winę składali.

Tym spodem przeszło cztery dywizye, a dotąd ostatnie koło było nienaruszone.

Przyszła nareszcie kolej na moich żołnierzach.

Między chęcią, ażeby który trafił, a obawą, żeby nie chybiali, zostawałem w niemiłym wzruszeniu, gdy generał Vandamme się odezwał:

— *Eh bien, mes chers Polonais, ce votre tour à present. Ce sont de bons tireurs; je les connais!*

Najpierwej wystąpił Jastrzębski, pewnym krokiem postępował do mety, stanął, wziął na cel — tu oczy ledwie mi nie wylazły z obawy — wystrzelił, i w tym momencie z zadziwieniem wszystkich tarcza upadła na ziemię, a fajerwerk cały zaczął się palić, dając znać, że w ostatnie kółko trafiono.

Muzyka zaczęła grać — lecz dlaczego tarcza na ziemię upadła? Powstał szmer i ciekawość.

Tak generał Vandamme jak i my wszyscy udaliśmy się do tarczy, podniesiono ją i z wielkiem zadziwieniem spostrzeżono, że kula gwóźdź, który przez samo centrum przechodził i którym tarcza do słupa była przybita, wysadziła.

Generał Vandamme porwał mego Jastrzębskiego za szyję i uściskał, a ukazując go wszystkim, wypytywał skąd rodem, jak długo w wojsku? A imię jego i nazwisko w pugilaresie sobie zapisał; natychmiast podano mu tacę, z której 300 franków odebrał, i z muzyką był odprowadzony do zamku. Generał Vandamme ukazał go jeszcze tam wszystkim oficerom i żołnierzom i zaprosił do siebie na obiad.

Nikt nie mógł być więcej nademnie kontent z tak dobrego strzału Jastrzębskiego, który nawet policzyć można między przypadkowy. Na obiad, gdy się zeszli wszyscy, przyszedł i mój Jastrzębski. Generał Vandamme kazał mu usiąść naprzeciw siebie. Przy wesołej tej uczcie wypito zdrowie Jastrzębskiego, a przy końcu obiadu zrobili wszyscy składkę, wynoszącą 250 franków, dla niego.

Po obiedzie, gdy chciałem odjeżdżać do swej dywizyi, generał Vandamme rozkazał mi czekać do jutra, a wieczorem tego dnia jeździłem z nim zwiedzać piękne okolice miasta Dessau. Mój zaś Jastrzębski przez całą noc ze swymi kolegami częstował w mieście żołnierzy francuskich, którzy zawsze z polskimi sympatyzowali, lecz trochę zazdrosnym okiem patrzyli, że Polak te 300 franków z przed nosa im zabrał.

Na drugi dzień pożegnałem generała Vandamma, który wiele grzeczności mi nagadał. Nie spodziewałem się go ostatni raz oglądać, ani też nie przeczuwałem, że pod Kulmem miał takie mieć nieszczęście. Wesoło z moimi żołnierzami powracałem do głównej kwatery generała Dąbrowskiego, gdzie wszyscy się cieszyli, że polski nasz żołnierz okazał taką zrzeczność.

Wypytyjąc się w drodze Jastrzębskiego o szczegółach jego życia, dowiedziałem się, że był rodem z województwa płockiego i pochodził z ojca Kurpia, a przed kilku laty był za strzelca u pułkownika Krasieńskiego Hilarego, miłośnika polowania, a stamtąd się do wojska dostał; nie dziw tedy, że tak celnie strzelał. Co się z nim później stało tego

nie wiem. Wiem tylko, że ciągle był waleczny; ranny pod Lipskiem dostał się do szpitala wojskowego, tam albo z ran umarł, albo też może pozostał w tamtych stronach. Wkrótce potem generał Vandamme dostał rozkaz od cesarza z swoim korpusem, oprócz naszej dywizji, udać się do Drezna. Generał Dąbrowski z swoją dywizją zajął miejsce to, gdzie cały korpus stał, a główną kwaterę założył w mieście Zerbst, gdzie do końca zawieszenia broni staliśmy.

(Generał Roman Wybranowski).



AUDYENCYĄ U PIUSĄ VI

(1897)



Już się choć w Rzymie znudziło.

Generał Dąbrowski wyprawiał do Medyolanu Chamana i majorem legii, na miejsce Zabłockiego, naznaczył; a że zatwierdzenia od ministra wojny potrzebował, samemu po nie jechać radził. Byłem dodany Chamanowi do tej podróży i uprosiłem sobie, żeśmy nowym dla mnie krajem przez Florencję jechali.

Chaman już wiele po świecie jeździł, pięknie po francusku mówił, bo ród jego pochodził z Francyi, a młodość przepędził w wojsku i z Kniaziewiczem w regimencie fizyliierów służył.

Chaman lubił mówić i dobrze mówił. Podróż nasza była ożywiona wielu powiastkami z jego młodszego wieku.

— Znasz Kniaziewicza, — mówił Chaman — jak jest żywy! Cóż dopiero gdy był młody. Razem z nim służyliśmy i w jednej izbie sypiali długi czas. On biegał po mieście i grać nawet lubił, jam był samotny, kochałem się i wierszem kłęcił. Kniaziewiczowi po śmierci ojca spadł drobny zasób pieniędzy, który mu macocha wiernie odesłała. Zdało mu się, że pohulać może, wlaź między bywalców, a ci go oszwabili porządnie. Powraca Kniaziewicz do domu w nocy, kiedy ja przy stoliku

piszę i na niego nie zważam, choć się silnym krokiem przechadza. Właśnieniem wiersze moje układał. Czy jego wejście, czy moja zła głowa, ale do ulubionej myśli końcówki mi zabrakło i wyszukiwałem jej, gdy Kniaziewicz, czule się na los swój skarżąc, coś zamruczał, co mi do ukończenia wiersza wybornie przypadło. Prosiłem go, aby słowa powtórzył. — Dlaczego? — ostro mnie zapytał. — Boś mi dał końcówkę, której w mej głowie nie znalazłem, alem jej nie dosłuchał dobrze. Kniaziewicz porywa mnie za ramię. — Szydzisz z mego nieszczęścia, mnie do ostatniego zgrano, a ty się naigrawasz jeszcze! Przyplacisz za ten żart srogi — bij się ze mną zaraz! Mimo żeśmy kamracką przez czas długi zachowali przyjaźń, tłumaczenie łatwe nie było i z trudnością go uspokoić potrafiłem!

Korzystałem ze zręczności, by się dowiedzieć od Chamana o początkach życia generała Kniaziewicza, do któregom się namiętnie przywiązał. Chaman tak mi powiadał:

Ojciec generała był przystojnego majątku obywatelem z pod Mitawy, stracił żonę i pojął drugą, bo matki dla swego syna potrzebował. Dobrze też trafił, bo mu najczulszą była. Ojciec generała miał wiele rozumu, lecz i nieumiarkowaną spekulacyi żądze, rzucił się do towarzystw asekurujących żeglugę, poszło mu to nieźle z początku i to go zrobiło nieostrożnym; podszedł go oszust, znaczną obiecując korzyść, i wziął zabezpieczenie formalne na okręt, którego podobno przewidział zgubę i do niej się przygotował, bo, po zatonięciu, nielitościwym procesem obarczył Kniaziewicza i majątek mu zabrał. To w grób wpędziło pierwszą żonę. Potem ksiązę Stanisław Poniatowski, będąc w Rydze, szukał człowieka do zarządu dóbr, które miał w Kurlandyi, ale człowieka ze sprytem i znajomością handlu miejscowego. Zalecono mu do tego Kniaziewicza. Poniatowski zabrał go z całą rodziną i zaraz wpływem swoim syna w korpusie kadetów umieścił. Ten nie umiał słowa po polsku i szło mu twardo z początku, lecz pracą przemógł trudności. Potem go porucznikiem u fizylierów zrobiono, co mu także szło twardo, bo twardy był charakter. W czasie pierwszej wojny wziął go był Kościuszko do swojego sztabu i to jakoś spelzło bez korzyści, gdyż Kniaziewicz nazad do regimentu powrócił. Bił się potem jak lew pod Boruszkowicami, co na niego oko

zwróciło. Pod Dubienką był użyteczny i do rangi majora podniesiony. Lecz z pierwszą wojną skończoną, gdy wszystkich na dawne wracano miejsca i on w poprzedniej randze do fizylierów powrócił. Kościuszko, który go znał osobiście, kiedy Izydorowi Krasieńskiemu regiment formować polecał, dał mu za podpułkownika Kniaziewicza, a później go Zajączek do swego wezwał sztabu i w czasie bitwy pod Gołkowem wyższe



Spór Napoleona z papieżem Piusem VI
(według obrazu J. P. Laurensa)

w nim przymioty ocenił. Naczelnik, po pobiciu Sierakowskiego, generał-majorem go naznaczył i z sukursem wyprawił. Dalej, wiesz lepiej ode mnie, bo was niepróżno Wybicki Kastorem i Poluksem nazywa.

Tu opowiedziałem Chamanowi mój pobyt w Wojcieszkowie i czule macochy i pasierba przywiązanie. Chaman znów mnie pytał, czy byłem w domu Kasztelanów i co tam było tajemniczego, bo on jej rysy co chwila wystrzygał, nawet nie patrząc na robotę, a zawsze bardzo podo-

bnie; a ona maćochę jego wypiastrowała do śmierci przy sobie. Była to dobra i czuła osoba, a on był ladaco.

Chaman przerwał rozmowę, bośmy nad jezioro Bolsena wyjechali, gdzie sterczące skały, całe złożone z lawy, o bytności dawnego wulkanu świadczyły. Tu Chaman powiadał mi powiastkę ludu, który wierzy, że na jeziorze tem łabędzie śpiewające słyszano.

Tak dojechaliśmy do Monte-Fiascone, gdzie wino wyborne i gdzie mój pułkownik posilić się niem pragnął.

Zanim nam coś w oberży przygotowano, zaprowadził mnie Chaman pod okazały pomnik. Był to grób jednego z biskupów niemieckich, co miał zwyczaj nakazywać gońcowi, żeby mu tam kwaterę wybierał, gdzieby najlepsze wino upatrzył, a na znak zostawiał na drzwiach oberży *Est!* aby tam biskup *halt* sobie naznaczył.

Ten wybór słusznie padł na Monte-Fiascone, biskup trochę sobie pozwolił i tu życie zakończył. A ten, co go pomnikiem obdarzył, napisał na kamieniu:

Est. Est. Est.

Propter nimium Est, Dominus meus mortus est.

Takie przynajmniej jest tłumaczenie napisu.

Z tego miejsca dążyliśmy do Sienny, do której listy mieliśmy polecające.

Noc całą byliśmy w drodze, a z brzaskiem dnia letniego wjeżdżaliśmy do miasta, bośmy się papieżowi Piusowi Braschi w tym dniu prezentować pragnęli.

Jakież nas ogarnęło zadziwienie, gdy o tak ранней godzinie ujrzeliśmy tłumy ludu, uganijające się po ulicach i to ledwie okryte. Kobiety każda w tem co pochwycić mogła naprędce, a mężczyźni jak który z łóżka wyskoczył.

Wołaliśmy na pocztyliona, aby się wstrzymał, on znał atoli blizką oberżę i do niej cwałem popędził.

Z oberży wyszedł ku nam spokojnie szwajcar i zagadnął do nas po francusku. Zastanowiło nas, żeśmy go pierwszego nieprzejętego trwogą ujrzeli. Szwajcar opowiedział nam, że okropne trzęsienie ziemi przed godziną wstrząsło gmachami miasta i że rysy na gmachach zapowiadają ich

upadek, jeżeli się, jak to bywa, trzęsienie raz jeszcze powtórzy. — Niedawno — dodał — wyniesiono papieża na ten plac wielki przed kościół św. Augustyna, patrzcie jak go lud okolił i płacze.

— Dlaczegoś ty jeden taki spokojny? — zapytaliśmy szwajcara.

— Bo wierzę w przeznaczenie — odpowiedział i zagadnął zaraz, czy śniadanie mieć chcemy. Bardzo się ono nam przydało.



Papież Pius VII
(według portretu Davida).

Zaczem poszliśmy na plac, gdzie na krześle siedział Ojciec święty, aby go zdala przynajmniej widzieć.

Lecz wtem nowy popłoch. Postrzeżono ogromną szczelinę, jaką zrządziło wstrząśnienie na bardzo wysokiej wieży, niegdyś, w czasie domowych zatargów, do obrony miejsca służącej.

Pobożni najprzód o papieżu pomyśleli, bo był w niedalekiej od wieży odległości; nie wiedziano, gdzieby go schronić. Ktoś zapewnił, że dom Gajeranich nienaruszony i tam go mimo nas przenieśli.

Papież był wzrostu znacznego i dosyć otyły. Z trudnością obracał głowę, lud jednak błogosławił ciągle. Twarz późny już wiek oznaczała, ale rysy jej były spokojne. Zapewne nie o przeznaczeniu dumał, ale w litości Najwyższego miał zaufanie.

Już też każdy ku domowi dążył ocenić straty i zobaczyć, czy w nim bezpiecznie przebywać może; myśmy też do obozów wrócili.

Trzeba wypadku, żeśmy właśnie listy polecające do Galeranich mieli, aby oni nam prezentację u Ojca świętego wyjednali. Odesłaliśmy je natychmiast. Jakoż ledwie mundury przywdziawszy, odebraliśmy odpowiedź, że nam papież pozwala się widzieć, ale się śpieszyć należy, bo natychmiast do Acertosa się wybiera. Korzystaliśmy z zezwolenia i zaraz nas do papieża wpuszczono.

Papież mówił do nas z żalem, iż tego przynajmniej nigdy pomyśleć nie mógł, aby Polacy, których ojcowie żyli w miłości Maryi, co Jej tyle postawili świątyń, o których i teraz go zapewniano, że w wierze katolickiej żyją i władzę głowy Kościoła uznają, — mieli z tak daleka lecieć, o broń prosić i walczyć z Rzymem, który ich tyle razy wspierał.

Jakby urok jaki spadły słowa Ojca świętego na nas. Przez część podróży żaden nie przemówił i słowa te tylko powtarzały się w uszach naszych, bośmy nie wiedzieli, jak je tłumaczyć sobie, czy były klątwą czy błogosławieństwem, zawieszonem nad naszą głową?!

(Drzewiecki Józef, oficer legii włoskiej).



POD SARAGOSSĄ

(1808)



Dnia 2-go sierpnia otrzymali oblężeni posiłki z 2.000 ludzi gwardyi hiszpańskiej, ochotników aragońskich i kilku armat składające się; lecz radość z przybycia tej pomocy przerwana została wyleceniem w powietrze składu prochowego przy ulicy Coso. Przypadek ten powtórny, nieostrożnością zdziałany, zburzył kilka domów sąsiednich, a w ich gruzach wiele mieszkańców zagrzebał. Saragossę zaś pozbawił 12.000 funtów prochu i 2.000.000 ładunków.

W tym dniu przybyłe z Francyi pułki, 14-ty i 44-ty piechoty liniowej, wzmocniły wojsko oblegające.

Gdy już baterye ukończone i uzbrojone zostały, dnia 3-go sierpnia rano zaczęto ciągle bombardowanie miasta. Na ponowioną odezwę do układów względem poddania miasta, zamiast wyliczenia warunków, odpowiedział generał Palafox po spartańsku: Walka na noże. W nocy wycięto drzewa, które kryły baterye nasze, mające robić wyłomy przy Engracia. Od rana dnia 4-go zaczęto bicie wyłomów. Mury kastelu nie dały się kruszyć działami mniejszego kalibru, jakie oblegający w tem miejscu mieli, lecz wyłom przy klasztorze Engracia, na prawo od bramy tego nazwiska, a drugi na jej lewej stronie, w kilka godzin były gotowe do przejścia. Około godziny 11-ej wojsko, przeznaczone do ataku, stanęło

w przekopach, każdy oddział odebrał swoje przeznaczenie, a za danym znakiem wszystkie wypadły ku murom, gdy tymczasem, na lewym brzegu Ebra, kompanie pułku 3-go polskiego zrobiły fałszywy atak na przedmieście. Na wyłom klasztoru Engracia wpadł batalion pułku 70-go, za którym następował pułk 1-szy polski. Nieprzyjaciel osadził mocno tę ogromną budowlę i ani obalenie się ścian, ani zapadnienie sufitów nie wstrzymały go od walki bagnetu na bagnet.

Na wyłom zaś lewy rzucił się kapitan Ball z kompaniami wyborczymi batalionu pierwszego, pułku drugiego polskiego. Nieprzyjaciel zmuszony odstąpił wyłomu i blizkiej uzbrojonej baterii, lecz te dwie kompanie spostrzegły, że są oddzielone wysokimi murami od reszty miasta i wystawione na ogień ręczny z okien i strzelnic, wykutych po domach. Tymczasem pułk 44-ty zaścielał swymi trupami wejście do bramy Engracia, którą wybić usiłował, aż póki oddział kapitana Balla nie przedarł się przez dalsze mury za bramę i niepoodciągał worów napełnionych ziemią, którymi ją zatarasowano. Cała wtenczas kolumna wyłomu lewego tłoczyła się bramą i murami do miasta.

Oprócz tych dwóch wyłomów saperzy mieli podczas szturm wykuć otwór na prawej stronie bramy Carmen, dla batalionu 2-go pułku polskiego; jakoż wybili ją pod ogniem nieprzyjaciela. Wszedł nim podpułkownik Regulski z batalionem, ale napróżno ci waleczni dalej przedrzeć się usiłowali. Wszystkie domy opatrzone były w strzelnice i napełnione chłopstwem, które stało śmierć w nasze szeregi. Tu padli kapitan Rybiński, porucznicy Ojrzanowski i Skaliński, podporucznik Jackowski. Tu był rannym podporucznik Dobrzycki Mikołaj. Batalion ten, po ogromnej stracie, widział się na koniec w potrzebie wyjść napowrót wyłomem. Z 80-ciu grenadyerów, którzy za mur dostali się, a teraz ostatni wychodzić stamtąd musieli, 27-miu tylko powróciło. Hiszpanie pokazali się za nimi tłumem, lecz dwa działa zmusiły ich do ukrycia się napowrót za mury. Batalion ten przyłączył się potem do kolumny lewego wyłomu. Kapitan Razowski, oddzielony od tego batalionu na lewo, nie mógł z nim odwodowego poruszenia razem wykonać. Chciał się złączyć z kolumną już znajdującą się w mieście, usiłował więc przedrzeć się do ulic, na których

słyszał strzelanie, lecz ujrzał się odciętym z swoją kompanią; musiał zająć jeden domek i w nim od obleżonych obleżonym został. Później dopiero drugi oddział oswobodził go stamtąd.

Tymczasem zajęcie klasztoru Santa Engracia, napelnionego trupami, otworzyło zupełnie do miasta wnijsie. Postępowała tedy kolumna prawego wylomu, na której czele znajdowali się generałowie Verdier i La-



Marszałek Maucéy u rogatek Clichy
(według obrazu Hor. Verneta).

coste, ku środkowi miasta ulicą Engracia, którą nieprzyjaciół kilku rowami i poprzecznymi wałami uzbrojonymi w działa poprzecinał. Hiszpanie siali ogień z domów, z dachów i z wież kościelnych. Siła wojska postępującego coraz bardziej się zmniejszała. Każdy pojedynczy dom wymagał oddzielnej walki; w nim jeszcze o każde piętro, o dach, o każdy zakątek walczyć potrzeba było. Wtenczas to wzięty był generał Mori i kilkusetu mieszkańców. Dla zapewnienia się od uliczek poprzecznych nową

zwycięzcy byli zmuszeni prowadzić wojnę. Nakoniec pułk 1-szy polski i batalion 70-go, czyli raczej tylko oddziały ich, dostały się na Coso, ulicę bardzo szeroką, nakształt rynku, w środku prawie miasta ogromnymi domami zabudowaną, do której ulice od bramy Engracia i od mostu prostopadle wychodzą. Wszystkie wychody na Coso miały przerwy i tamy, w większej części działami uzbrojone. Bateria, wysypana w środku Coso, miała kierunek przeciw ulicy Engracia, którą kolumna zwycięska nadciągała. Na wychód tej ulicy patrzeli Hiszpanie z kilkuset okien obszernego Coso, z bronią na przykładzie; Polacy rzucili się na baterię i odegnali od niej nieprzyjaciela, lecz Hiszpanie ze wszystkich stron niszczyli garstkę tych mężnych. Ranni kapitanowie Godlewski, Egersdorf, porucznicy Borowski, Chajęcki, Narwóń, podporucznik Grzymski umniejszyli liczbę oficerów.

Pułkownik Henriot z pułkiem 14-ym, który za pierwszym polskim już zajętą (oprócz wieży św. Franciszka) ulicą Santa Engracia postępował, pokazał się wtenczas w kolumnie w całej sile na ulicy Coso. Zjawienie się tej całej masy zdawało się zatrwożyć nieco obrońców, kiedy wtem wyszedł naprzeciw niej ksiądz z krzyżem w ręku wznoszonym ku niebu, i wśród głośno wymawianej modlitwy, prowadzący przy sobie panienkę ledwie 12-cie lat mającą, ubraną podług wizerunku Virgen del Pilar. Wśród ognia i mordów, widok ten dziecka i kapłana modlącego się, zajął wszystkich; cichość nastąpiła na chwilę. Żołnierze z zadziwieniem poglądali na to zjawisko, lecz nakoniec zniecierpliwieni dali ognia do kapłana. Ten spokojnie i bez szwanku wśród strzałów ustąpił z Coso, a w tym momencie ze wszystkich dachów, okien i piwnic grad kul sypnął się wśród okropnego ognia, i nowy ten atak bezskutecznym uczynił.

Pułkownik Chłopicki zebrał jednak jeszcze ludzi pułku 1-go i koniecznie z nimi na drugą stronę ulicy Coso przejść postanowił. Jakoż, lubo nieliczny już wtenczas był ten oddział, przeszedł jednak nakoniec tę tak trudną do przebycia ulicę, opanował uliczkę arco de Cineja, przeciwległą ulicy Engracia, zdobył kilka w niej domów, lecz będąc rannym, zaledwie przez żołnierzy z tej uliczki wyniesionym został, a podpułkownik Fondzielski z trudnością uprowadził resztę oddziału. Uliczka ta wązka i kręta

nie byłaby wprawdzie wiodła daleko, w bliskości bowiem dom zamykał jej drugi koniec, gdy tymczasem ulica św. Giliusza do poprzedzającej równoległa, idąca aż do mostu, o kilkanaście tylko kroków była od niej.

Zdobycie głównego szpitala wystawiało najokropniejszy, jaki może być, widok. Chorzy, uciekając z pożaru, wyskakiwali oknami na bagnety żołnierzy; ranni, przywdziawszy prześcieradła pokrwawione, ostatnich sił



Moncey ks. Conegliano
(według portretu Walbonne'a).

dobywali, aby wlec za sobą pokaleczone członki. Wśród tych scen, rozdzierających serce, waryaci, których komórki pootwierano, śpiewali, śmiali się, deklamowali, podług rodzaju pomieszania, jakie cierpieli. Tych, którzy uszli przed płomieniami i bagnetem żołnierzy, przez zaciętość walki także do pewnego rodzaju szaleństwa przywiedzionych, zaprowadzono do Monte-Torero (skąd ich później odesłano). Podczas gdy ta straszna walka trwała o zajęcie ulicy Coso, kolumna lewego wylomu, pod rozkazami

generała Grandjean, rzuciła się od bramy ku placowi Carmen. Nieprzyjaciel miał tam poprzecznia, w niej armatę i granatnik. Artylerzyści hiszpańscy nie dali się odpędzić, trzeba ich było na działach zakłuć; wtenczas dopiero postąpiono dalej.

Na plac Carmen wychodzą cztery ulice. Trzy z nich były jeszcze w mocy nieprzyjaciela, który stamtąd stał śmierć i zniszczenie na atakujących. Pułk 44-ty i 2-gi polski jeszcze i tu okryły trupami ziemię. W ostatnim z liczby zabitych był kapitan Świerczyński, z rannych porucznicy Dłuski i Lewicki. I tu trzeba było wojować o każdy dom, o każdą ścianę. Nieprzyjaciel bronił zapalczywie klasztoru karmelitańskiego. Kilka razy brano go i zawsze ze stratą odstąpić musiano. Nakoniec zajęto część jedną, ale w niej pozostać nie było podobieństwem. Rozkazano zapalić go i opuścić.

Starców, duchownych i kobiety, znajduwane po domach, oddawano pod straż, rannych opatrywano. Zakonnice, w których kościółku obie strony zacięcie się biły, radowały się bardzo, widząc, że oficerowie nieprzyjacielscy wielkie im okazywali względy. Dwie z nich były ranne od postrzałów. W tym to dniu kula zdruzgotała nogę sztabslekarzowi pułku 1-go polskiego, Kitz, na ulicy Coso. Noc przerwała ciąg bojów. Zatrzymano zdobyte domy, starano się tylko w nich ubezpieczyć. Kuto nowe strzelnice, robiono zapory. Pułk 3-ci polski sprowadzony został z przedmieścia do miasta, ten z pułkiem 19-tym zajął ulicę Engracia. Osadzono mocne poczty w klasztorze św. Franciszka, jednej z najogromniejszych budowli miasta, narożnej ulic Engracia i Coso. Wieżę jednak tego kościoła zajmował jeszcze nieprzyjaciel, i stamtąd chylił strzały na obie te ulice.

Zaraz ze dniem dnia 5-go sierpnia rozpoczęto na nowo atak. Pułki 14-ty i 3-ci polski po kilkakroć usiłowały wydobyć się na Coso, i zawsze ze stratą wracały. Znowu to samo męstwo i tą samą zaciętość pokazały obie strony co dniem wprzód. Po długiej i krwawej walce o tę nieszczęsną ulicę pokazali Hiszpanie chustę białą na żerdzi. Oficer pułku 3-go, mniemając, że już się myślą poddać, wysłał ku nim sierżanta z podobnymże znakiem. Ustał w tem miejscu ogień. Tłumy Hiszpanów za-

częły się cisnąć do konwentu św. Franciszka w naszym zostającego rękę. Żołnierz jeden polski spostrzegł, że pod płaszczami mają ukryte karabinki. Dano zaraz do nich ognia. W tem zamięszaniu porucznik Pagowski, skłuty bagnetami, dostał się wraz z kilkudziesięcią ludźmi do niewoli. Zaczęto na nowo walkę; niszczyły się obie strony. Między zabitymi pułku 3-go w dniu tym byli: kapitan Laskaris i podporucznik Ciszewski, między rannymi porucznik Lipiński, podporucznicy Cieśllicki i Sobucki. W dniu tym także zginął z pułku 1-go podporucznik Zawadzki.

Z wściekłością, że tak powiem, patrzył żołnierz na ulicę Coso, która już tyle krwi kosztowała. Utworzono na nowo oddział i wszczęto jeszcze raz o nią atak. Porucznik Ginter z pułku 3-go polskiego dostał się z nim na drugą stronę Coso, do tej samej uliczki Arco de Cineja, która wczoraj już była zajęta, lecz zaraz kulą tam ugodzony poległ. Trzydziestu rannych dostało się w ręce Hiszpanów. Szczątki tylko powróciły z tego oddziału.

W ataku lewym zmuszono nieprzyjaciela nakoniec opuścić bramę Carmen; dopiero od strony tej bramy, atakując, wzięto klasztor tego nazwiska. Znalezione w nim czterech polskich żołnierzy spalonych, a jednego jeszcze żyjącego: byli to ranni pozostali od ataku wczorajszego. Po zajęciu klasztoru karmelitańskiego przedzierano się ulicą ku klasztorowi Santa-fé. Tam jeszcze byli ranni pułku 2-go porucznik Surmacki, podporucznicy Niechcielski i Piątkowski. Przy tej z obu stron zaciętości i walce osobistej pojedynczych po domach ludzi, klęski wojny przybrać musiały z obu stron postać najszkaradniejszą; zapominano niekiedy o odwiecznych zasadach, przez ludzkość uświęconych, a do złagodzenia nieszczęść wojny zmierzających.

(Józef Mroziński, generał).



WAGRAM

(1809)



BITWA POD WAGRAM (1809)
(według obrazu Hor. Vernet).



powtarzanych kilkakrotnie wycieczkach do głównej kwatery cesarskiej w Schoenbrunie pamiętam, że raz Berthier dał mi list do wicekróla włoskiego z poleceniem, bym go do rąk własnych księciu doręczył, jako pochodzący od samego cesarza. Adres tego listu zwrócił moją uwagę. Opiewał jak następuje: *A monsieur mon fils, prince Eugène, viceroy d'Italie*. Przypominam sobie również, iż, w czasie tej naszej pozornej bezczynności, Davoust kazał do swego sztabu sprowadzić kilku możnych obywateli z nadgranicznej szlachty węgierskiej, a że ci po francusku bynajmniej a po niemiecku niewiele co mówić mogli, więc kazał mi z nimi rozmawiać po łacinie, w którym to języku, szczególnie w rozmowie, niewiele posiadałem łatwości. Szło wówczas o to, aby zachęcić Węgrów do powstania przeciw Austryakom, w czym Francuzi mieli im pomagać (a pewno niekoniecznie skuteczniej — pomyślałem sobie — jak poprzednio i później dopomagali nam, Polakom). Węgrzy, z którymi wtedy mówiłem, tłumacząc im myśli marszałka, ciągle mi odpowiadali: Nasz komitat jest nadto mały, aby mógł rozpocząć sam powstanie. Idźcie w głąb Węgier, panowie, tam powtórzcie wasze propozycje i odezwy, a tam z pewnością dużo szlachty, poświęcając się sprawie węgierskiej, będzie wam nieść pomoc skuteczną... Na tem też bez żadnego rezultatu zakończyła się negocjacja węgierska i już jej dalej, o ile mi się zdaje, nie tentowano.

Nadszedł wreszcie czas, w którym Napoleon postanowił przejść Dunaj i wydać na lewym brzegu tej rzeki stanowczą Austryakom batalię. Między innymi otrzymał też Davoust rozkaz, by, zostawiwszy jedną brygadę piechoty celem obserwacji Preszburga, z resztą swego korpusu pomaszerował ku Lobau. Gdyśmy w wilię przeprawy stanęli nad Dunajem i zobaczyli na lewym brzegu znaczną liczbę dział nieprzyjacielskich, naprzeciw których czoło w czoło stanęliśmy, tośmy między sobą pytali, kto z nas jutra doczeka i na pół żartem, pół seryo żegnaliśmy jeden drugiego. A przecież tejże samej nocy, przechodząc po moście, ostrzeliwanym ogniem kartaczowym, mniej doznaliśmy straty, osobliwie w zabitych, aniżeli się spodziewano. Od chwili dostania się za Dunaj, w miarę ustępowania armii austriackiej, posuwaliśmy się za nią powoli, ciągle uciekając się z nieprzyjacielem aż do miejsca, w którym Austriacy usadowili się na mocnej w okolicy Wagramu, dość górzystej pozycji. O ile pamiętam, to nazajutrz po przejściu Dunaju, to jest przez cały dzień piąty lipca, manewrowano, ucierano się, ale nic stanowczego nie zaszło między obiema stronami walczącymi. W czasie batalii pod Wagram, w dniu szóstym lipca stoczonej, w której działały już i armia włoska oraz korpusy księcia Ponte-Corvo i Regniera, korpus trzeci wraz z dywizją jazdy generała Montbruna, dzielnego kawalerzysty, zajmował prawe skrzydło. Arcyksiążę Karol, po krótkim z naszej strony ataku na całej linii, zszedł z swej warownej pozycji i całą siłą parł nasze lewe skrzydło ku mostom, rzuconym na Dunaju. Napoleon ciągle trzymał się centrum tudzież lewego skrzydła, gdzie atak nieprzyjaciół był silniejszy. Tymczasem mój marszałek, widząc, iż centrum całej armii wraz z lewym skrzydłem, acz w porządku, ustępują, polecił mi zawieszenie rozkazu generałowi Montbrunowi, by starał się swą dywizją oskrzydlić Austryaków, a równocześnie kazał mi w przejeździe koło pieszych dywizji generałów Gudina i Moranda oświadczyć im, iż jest wolą jego, aby jak najsilniej poparli manewr jazdy. Dopełniwszy z wszelką akuratnością zlecenia, przybyłem do Montbruna w chwili, gdy nie było przy nim żadnego z jego adjutantów, a ten mi powiada: — Marszałek nie wie zapewne, bo mój adjutant jeszcze nie dojechał do niego z raportem, iż dywizya moja strasznie została prze-

rzedzona od ognia dział austriackich, naprzeciw których stoimy, ale skoro tak każe, więc idź, proszę, na moje prawe skrzydło do generała Jeacquineta... i powiedz mu, aby natychmiast szarżował z całą swoją brygadą na tych, co przed nim stoją.

Przybywam do generała i przynoszę mu rozkaz szarżowania, lecz słyszę to samo, co mi Montbrun przed chwilą powiedział:



Massena książę Essling
(według portr. Grosa).

— Od rana dużo bardzo ludzi i koni straciłem skutkiem ognia działowego a więc za skutek ataku nie ręczę — rzekł Jeacquinet i zaraz dał rozkaz do szarży, którą właśnie i Austriacy ze swej strony zaczynali. Dzień był suchy i każdy ruch jazdy wywoływał tumany kurzu. Wracając przeto w cwał do Montbruna, widzę, obejrzawszy się raz i drugi, że kurz miasto oddalać się od miejsca, w którym się szarża zaczynała,

coraz bardziej zbliżał się ku nam. Przybywszy więc do Montbruna, mówił mu:

— Widzisz, generale, co się dzieje...

Ten mi w pasyi odpowiedział:

— O, tak, widzę tych tchórzów! — i ze złości zaczął targać za uszy swego spokojnego wierzchowca. Widzieliśmy z kierunku kurzu, że nasza jazda ustępuje, lecz nie mogliśmy rozpoznać, że równocześnie i kawaleria nieprzyjacielska ma się ku rejteradzie, co się często przy szarży jazdy na jazdę zdarza. Dlatego mówi do mnie Montbrun:

— Jedź do pułku kawalerii, który widzisz przedemną, i powiedz komendantowi jedenastego pułku strzelców, by bądź co bądź atakował stojącą naprzeciw niego jazdę austriacką!

Zawiozłem rozkaz strzelcom, aż tu pułkownik powtarza mi słowo w słowo to samo, co poprzednio generał Jeacquinet i proponuje mi udział w tej szarży, a na moją uwagę, że konia mam bardzo zmęczonego, dodaje z ironią:

— Ach, tak, pański koń bardzo zmęczony...

Dotknięty tą uwagą, rzekłem pułkownikowi:

— Atakuj tylko pułkownika, a ujrysz mnie koło siebie!

Szarżowaliśmy na pułk dragonów Orellego, któremu przewodził pułkownik Sardagna. Ten, widząc nas szarżujących, natychmiast ze swej strony szarżę zakomenderował. I tu pierwszy raz w życiu nie tylko widziałem, ale i brałem udział w starciu dwóch oddziałów kawalerii, a w którą bądź stronę obejrzałem się, wszędzie widziałem białe mundury, a potem gromadki kawalerzystów, rąbiących się pałaszami. Francuzi brali górę nad przeciwnikiem, więc zbliżywszy się do jednej z gromad walczących, dostrzegłem broniącego się jeszcze starszego oficera austriackiego, siedzącego na koniu szeregowca. Dopadłszy go, wołam, by się poddał, a gdy to uczynił, szaser francuski zaczął obdzierać jeńca, którym był pułkownik Sardagna. Stracił on podczas bitwy wszystkie swoje konie wierzchowe i dlatego przesiadł się na pierwszego lepszego konia, wziętego z szeregu. Pułkownik, zoczywszy mnie, uderzył w prośby:

— Panie oficerze, nie daj mnie obdzierać. Oto mi zabrano i pulares

z bankocetlami i sakiewkę. Ale mniejsza o to wszystko, byle mi został zegarek, rodzinna pamiątka, z którą nie radbym się rozstawać.

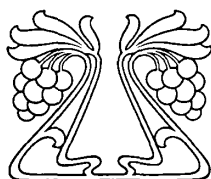
Targować się zacząłem z szaserem, który jał wywodzić swe prawa do zdobyczy, ale go przekonałem, dowodząc, że pułkownik jest wspólnym naszym jeńcem, oraz obietnicą, iż go podam do krzyża legii honorowej. Wtedy dopiero udobruchał się szaser i zostawił jeńcowi zegarek. Widząc dragonów zupełnie rozbitych, odprowadziłem pułkownika do generała Montbruna, któremu przedstawivszy jeńca, poleciłem do nagrody owego szasera. Montbrun, zadawszy pułkownikowi kilka pytań, kazał go odstawić do marszałka i na pożegnanie dodał:

— Powiedz pan marszałkowi, że byłem z ciebie bardzo zadowolony...

Na co odpowiedziałem:

— Przy sposobności niech mu generał sam o tem powie, bo ja mu tego nie powtórzę.

(Generał Józef Szymanowski, oficer ordynansu marszałka Davoust).



CZYN CHWAŁEBNY KOMPANII GRENA-
DYERSKIEJ WOJSKA FRANCUSKIEGO
Z KORPUSU MARSZAŁKA DAVOUSTA

===== (1812) =====



GRENADYER
(według obrazu Charleta)



Dnia 24-go października 1812 r. pierwszy korpus wojska francuskiego, otrzymawszy rozkaz opuszczenia miasta Moskwy, na czas przybył pod Małojarsławiec, aby mógł być czynnym w sławnej batalii, stoczonej przez księcia Eugeniusza, wicekróla włoskiego, na czele 4-go korpusu przeciw skoncentrowanym siłom armii nieprzyjacielskiej. Pułkownik Kobyliński, adjutant marszałka Davoust, wysłany z rozkazem, przejeżdżając linię bojową, ugodzony był kulą i pozostał na placu między zabitymi.

Wieczorem tego pamiętnego dnia małe to miasto Małojarsławiec kilka razy odbierane, znów opuszczone, dostało się nakoniec w ręce nasze.

Gdy marszałek Davoust objeżdżał plac boju po bitwie, człowiek oblany krwią, podnosząc się z pod kupy trupów, odezwał się temi słowy:

— Moi kochani koledzy, czy mi bez żadnej pomocy dacie umierać?

Był to pułkownik Kobyliński, o którym sądzono, że w zamieszaniu bojowym dostał się w niewolę nieprzyjacielską. Natychmiast eskorta marszałka z broni, leżącej na pobojuwisku, zrobiła nosze i oddano rannego staraniom lekarzy wojskowych. Niestety, chirurg, obejrzawszy ranę, wzrokiem dał poznać marszałkowi grożące wielkie niebezpieczeństwo. Po odbytej naradzie zebranych lekarzy zdecydowano, że pułkownik Kobyliński nie mógł być inaczej uratowanym jak przez amputację nogi, którą kula

armatnia do kolana już urwała. Co żywo wzięto się zatem do tej bolesnej operacji, a pułkownik biedny powtórnie stracił w rękach lekarskich zmysły, przyciskając do swego serca w dowód wdzięczności z ostatniem pożegnaniem rękę swojego wodza.

Nazajutrz odebrał marszałek rozkaz opuścić jaknajspieszniej drogę idącą do Kaługi, a cofać się drogą do Wilna, którą cała armia się udała. Już wojsko marszałka zaczęło marsz odwrotny, gdy oficer, wysłany dla dowiedzenia się o zdrowiu pułkownika Kobylińskiego, przyniósł tę pocieszającą wiadomość, że tenże, wytrzymawszy wszelkie bole, żyje. Ponieważ ambulanse korpusowe, zostawione po za korpusem, inną zupełnie drogą ku Wilnu szły, a bagaże wszelkie, z rozkazu cesarskiego, dla ułatwienia marszu zostały spalone, cóż więc było robić z nieszczęśliwym Kobylińskim? Los jego mocno zajmował marszałka. Zatrzymawszy się w marszu przed jedną kompanią grenadyerską, temi słowy przemówił:

— Żołnierze! mój adjutant-pułkownik, Kobyliński, od kuli armatniej utracił nogę. Wam go oddaję i polecam waszym staraniom; pilnujcie go, jak pilnujecie waszej chorągwi!

W kilka minut pułkownik Kobyliński, umieszczony na noszach, znajdował się pośrodku tej kompanii, a ciągłe staranie i przychyłność żołnierzy, w ciągu całego marszu, karmiły go nadzieją, że jeszcze przyjdzie do zdrowia.

Przez kilka dni pochód szedł w dobrym porządku, lecz w miarę wzrastającego zimna, głodu i braku wszystkiego pokazywały się już początki strasznej dezorganizacji i nędzy. Kompania grenadyerska szła zwolna i prawie sama jedna zachowując porządek, otoczona niedobitkami armii. Co chwila musiała się zatrzymywać i formować około rannego kółko dla odpędzenia kawalerii nieprzyjacielskiej, napastującej ją wśród okrzyków hurra! lub też zaczepnie działając, szybkim atakiem przebijając się przez kupy nieprzyjacielskie, zawsze z należytem spokojem, męstwem i odwagą. Czuły był to widok dla każdego to poświęcenie się heroiczne i tysiączne dowody odwagi nieustraszonej. Czemuż to przypisać? Wówczas gdy w całej armii największy panował nieład i nieporządek, ta kompania okazywała się wyższą nad wszelkie nieszczęścia i wypadki! Zapewne

z tej po części przyczyny, że już nie szło im o własne życie, ale pamiętne były każdemu słowa, wyrzeczone przez marszałka francuskiego:

— Polecam mego adjutanta Kobylińskiego waszemu honorowi i pewny jestem, że mi go obronicie.

Jeszcze w wojsku francuskim dość wówczas było siły moralnej i odwagi heroicznej. Nawet po kilkutygodniowym marszu w największej



biedzie i nędzy poczciwi grenadyerowie nie chcieli słuchać prośb samego pułkownika, który, widząc tyle ich poświęcenia, a nie mając nadziei wyzdrowienia, sprzykrzywszy sobie nareszcie życie, błagał ich ze złożonymi rękami, ażeby go na drodze zostawili.

— Mój pułkowniku — odpowiadali starzy wásacze — żywego lub umarłego musimy cię jemu oddać; taki bowiem mamy rozkaz marszałka, resztę oddajemy woli i opiece Najwyższego.

Tymczasem coraz większe mrozy, śniegi i nędza z niedostatkiem

wszelkiego rodzaju, jakiej nawet trudno sobie wyobrazić, tak umniejszyły tę bohaterską kompanię, że, przybliżając się do Wilna, ledwie pięciu grenadyerów z niej zostało, którzy kolejno nieśli nieszczęśliwego pułkownika. Nareszcie wyszedłszy na górę, ujrzeli z niej szeregi murowanych domów. To było Wilno, ta ziemia obiecana, druga Kapua, z swemi rozkoszami tyle pożadanemi, nadzieja dostania garści słomy i kawałka chleba. Radość potęgowała siły tych ostatnich pięciu grenadyerów. Lecz próżna nadzieja! Tak byli osłabieni, że trzech padło zaraz bez zmysłów, później jeszcze jeden. Ostatni tylko z nich walczył z największym wysiłkiem i nie odstępując nieszczęśliwego pułkownika, a nie mogąc go sam jeden nieść, z góry ciągnął nosze za sobą, na których ranny leżał, i tak wciągnął drogi ciężar do miasta! Tutaj dopomogli mu nadchodzący żołnierze podźwignąć nosze i zanieść do małego domku, gdzie była główna kwatery marszałka Davousta. Z jakąż dumą kazali donieść marszałkowi, że kompania grenadyerska, której powierzył pułkownika Kobylińskiego, uczyniwszy zadość jego rozkazom, uprasza, żeby mogła mu go przedstawić. Marszałek, usłyszawszy tę wiadomość, wyszedł natychmiast do nich.

— Gdzie jest mój adjutant? — pyta.

— Tu — odpowiadają.

— A kompania?

— Tu, mój marszałku.

— Pytam się o kompanię? — powtarza marszałek.

— Tutaj — odpowiada grenadyer, wskazując na siebie.

— A twoi koledzy?

— Tam, leżą w śniegach!

Marszałek ze łzami w oczach uściskał grenadyera, którego nazwiska historia nam nie przechowała.

* * *

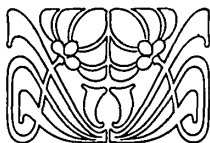
Ten wypis zrobiłem z gazety francuskiej, do czego głównie to mię skłoniło, że znajdując się sam w tej nieszczęśliwej i okropnej kampanii, byłem naocznym świadkiem jak owego nieszczęśliwego pułkownika niosła

w marszu całym kompania grenadyerska francuska; przy niej kapitan, dwóch oficerów, doktor i felczer. Pułkownik leżał na noszach, zrobionych nakształt mar, otulony piernatami, sześciu żołnierzy go niosło, odmieńjąc się często między sobą. Nieraz tę karawanę w marszu spotykałem i dziwiłem się ich heroicznemu poświęceniu, tem bardziej, że to nie dla Francuza, lecz dla naszego rodaka.

Często ustępowaliśmy im naszego miejsca w obozach i przy ognisku, o co się wówczas nawet zabijano. Powróciwszy w r. 1814 z Francyi do Polski, zastałem tego samego pułkownika Kobylińskiego zamianowanego przez cesarza Aleksandra prezesem województwa płockiego z rangą generała brygady.

W r. 1820, stojąc garnizonem w Płocku, często go widywałem i bywałem w jego domu. Sławny był z żywości temperamentu i z prędkiego chodzenia na szczudle. Wówczas właśnie utracił był żonę, która mu zostawiła córkę. Córka tę samą nogę miała krótszą, której ojciec nie miał. Ile wiem, umarł z żalem przyjaciół w r. 1834, zostawiwszy córce znaczny majątek.

(Generał Roman Wybranowski).



LIBERAŁDZKI

(1797)



Liberadzki był rodem z Podola i miał przez całą młodość stosunki z domem Grabianki, człeka możnego, który się osiedzieć nie mógł i całe życie podróżował. Mistycyzm naprzód opanował mu głowę, a później do illuministów się wcielił. Że wtenczas Avignon był ich ogniskiem, i on tam z nimi przebywał, mając wiarę a szczególną ufność w marzeniach jednego z ich proroków, o którym mówiono, że przepowiedział, jakoby Francuzi do pewnego doszedłszy punktu, z Avignonu się cofną i więcej w nim nie postaną, co się przy pokoju tolentyńskim zupełnie miało sprawdzić.

Czy Liberadzki równie wiarę przykładał do tego, czy tylko przy możliwym przyjacielu zabawić pragnął czas dłuższy, nie wiem, ale w Avignionie siedział.

Liberadzki był dawniej majorem kawaleryi, użyty nawet do prowadzenia wyprawy, po której się spodziewano stanowczych skutków. Słowem, oficer, o którym mówiono wiele, żołnierz, którego imię brzmiało za życia i pamięć po nim została. Nie był on skorym do wzięcia na się nowych obowiązków, ale go korciło przecież zobaczyć dawnych towarzyszy broni, widzieć formujący się korpus, a może i potentować szczęścia dla otrzymania wyższego stopnia.

Lecz prorok złowieszczył i przepowiadał mu, że od pierwszej zginie kuli, a pan Grabianka nie chciał puszczać przyjaciela. Stało na tem

nareszcie, że Liberadzki tylko jako podróżny zwiedzi Włochy i powróci do Avignonu.

Przyjechał więc Liberadzki do Medyolanu i wtedy właśnie, gdy Bonaparte był już pod Wiedniem, a dla utrudzenia czynności jego, generał



Bitwa pod Zurich
(według obrazu F. Bouchota).

austriacki, Laudon, puścił się z Tyrolu, ku Włochom i do Werony się zbliżał. Mieli tam Austriacy swoich stronników; Werona się podniosła, a za nią i po całych Włoszech poruszeń się obawiano.

Generał, komenderujący w Mantui, obmyślił środek, udając się do Medyolanu, gdzie się zbierali oficerowie, którzy pragnęli w legionach słu-

żyć, żądając, aby ci, których imiona wyższy za sobą miały odgłos w zasłudze wojskowej, przybyli do niego.

Polscy żołnierze, zabrani przez Austryaków w czasie rozwiązania się, w znacznej liczbie byli między niewolnikami; tych, jako już sposobnych żołnierzy, zawerbować i do tej nagłej wyprawy użyć można było. Lecz co imion w wojsku znajomych nie było w Medyolanie, bo je Dąbrowski ze sobą pozabierał. Liberadzki był najgłośniejszy, tedy do niego się udano. Aż ten miał właśnie list z Avignonu od swego proroka, który, spodziewając się, że go ostrzeżenie zawczasu dojdzie, powtarzał mu, jaki go los czeka i od służby odstręczał.

Ale że potrzeba była nagła, a postrach bez zasady, tedy Liberadzki kapitułuje i zgadza się z generałem, że jeno dla werbunku stanie.

Werbunek był skuteczny, wiarusi się znaleźli i znajomi. Liberadzki nie chce jednak gwałtownie do służby brać — więc ruch między dwudziestu czterema tysiącami niewolnika i dwa tysiące sześćset naszych staje na ochotnika. Dają im broń z arsenału, a komendę Liberadzkiemu z rozkazem, aby Weronę atakował.

Chciał się wzbraniać Liberadzki, ale mu się ufność żołnierza spodobała. Wzniósł się nad pogróżki proroka, wszedł do Werony i tam zabity zarobił na pomnik, który mu w Mantui postawiono na tymże placu, na którym stoi pamiątka rzymskiego niegdyś wieszczka.

Chwała pamięci, która naszej przysporzyła sławy.

(Drzewiecki Józef, oficer legii włoskiej).



SCHOENBRUNN

(1809)



Napoleon, powróciwszy do Schoenbrunn, zaraz się zajął przeglądem swych wojsk, tak przybywających ciągle, jako też tych, które zbierały dla niego wawrzyny na polach włoskich, węgierskich, austriackich i morawskich. Codziennie dziedziniec pałacu schoenbruńskiego był napelniony wojskiem i różnymi oddziałami artyleryi, pociągów różnego rodzaju, oraz takimi pułkami, które Napoleon chciał wynagradzać za bitwy odbyte. Przyszła kolej i na nasz pułk. Mieliśmy rozkaz wystąpienia w zupełnym komplecie ludzi i koni obecnych przy pułku, jak do lustracyi inspektora.

Oficerowie ranni, lecz mogący chodzić, jak to: szef Koziatulski i kapitan 1-ej kompanii Franciszek Łubieński, oraz inni, pełni nadziei łask i nagród, przybyli z Wiednia. Kapitan Łubieński, którego ja zastępowałem, prosił mię, żebym mu napisał jak najdokładniej sytuację kompanii, wiedząc, że Napoleon od niej, jako od prawego skrzydła, zacznie swoją lustrację. Pułk nasz ciągnął w całej paradzie, podzielony na dwa regimenty po 4 szwadrony bojowe; pierwszym dowodził major Delaitre, drugim Dautancourt, oboma, niby brygadą, pułkownik Krasiński. Szliśmy upojeni tryumfem, marząc tylko o pomyślnościach; tymczasem, żadnemu z tyłu

dowódców nie przyszło na myśl, posłać adjutanta pułkowego naprzód; żeby się zapytał o miejsce szyku i zaprowadził pułk na nie. Weterani majorowie sądzili, że ktoś ze sztabu cesarskiego w tym celu do nas przybędzie, po prostu stracili głowę, mając po raz pierwszy popisywać się z blizka przed samą osobą Napoleona... To niech młodym oficerom służy za naukę, że musi to nie tak łatwo być dowodzić armiami, kiedy ludzie tacy, jak generałowie Delaitre i Dautancourt, nie umieli dać rady, każdy tylko czterem i to małym bardzo szwadronom.

Przybyliśmy więc poza prawą oficynę pałacu i, po rozgłosnej pretenstionalnej komendzie panów majorów, zaczynamy się szykować z tyłu, za oficyną. Wtem na głos donośny Dautancourta przybiega generał Durosnel, adjutant cesarski, i woła na gwałt: — Dla Boga! co panowie robicie? gdzie się kryjecie! nie tu wasze miejsce, ale w pierwszej linii, przed pałacem... — Zmieszani jeszcze bardziej nasi dowódcy tym nagłym rozkazem, prowadzą nas do bramy dziedzińca, mijamy owe lwy u wnijscia spoczywające i zastajemy cały dziedziniec przepelniony wojskami rozmaitemi, artyleryą, pociągami; nakoniec czoło naszej kolumny trafia na jakieś zapasy cegieł i wapna i rusztowania, przysposobione do jakiejś reparacyi; majorowie i szef Łubieński wydają różne komendy, chcąc wybrnąć z tego labiryntu; istotnie poruszenia nasze w tym tumultie były trudne, i mogło się zdawać cesarzowi, że to skutek naszej nieznajomości obrotów wojskowych; wtem nadbiega generał Durosnel i woła: »Kto tu dowodzi 1-szą kompanią?« Odpowiadam: Ja, Wmp.! — Jedź do cesarza, on wmp. żąda. — Ja kieruję konia ku cesarzowi, aż tu przypadają do mnie pułkownik Krasieński — i Delaitre, wołając: Co ty robisz, gdzie jedziesz?! Ja odpowiadam: że cesarz kazał mnie wołać — milczenie, zadziwienie, — a ja stoję na koniu przed cesarzem i salutuję go pałaszem; on spogląda z dołu do góry na mnie, i głosem surowym pyta: *Qui êtes Vous?* (Kto jesteś?) Odpowiadam: Dowódzca 1-szej kompanii regimentu szwoleżerów. Na to cesarz: A, dobrze! — i dotykając się ziemi palcami prawej ręki, mówi do mnie: Pan tu, tu, uszykuj swoją kompanię przedemną. Ja wracam do pułku i komenderuję mojej kompanii: czwórkami marsz! Przypadają do mnie szefowie szwadronu, Łubieński, Pac, myśląc, że dostal pomiesza-

nia zmysłów. — Co ty robisz? — wołają. Ja do nich: Pełnię rozkaz cesarza. Znowu milczenie i zadziwienie. Ja przyprowadzam kompanię i szykuję ją nie bez migów cesarza, gdzie mam stanąć, i wyrównyвам ją przyzwoicie; gdym uszykował kompanię 1-szą, posyła znowu cesarz generała Durosnel po Szeptyckiego, dowódcę 5-ej kompanii, od śmierci Gorajskiego. Gdy ten przybywa przed cesarza, wskazuje mu Napoleon



Powrót Napoleona na wyspę Lobau
(według obrazu Meynier).

na nas i mówi: Widzisz kompanię pierwszą; uszykujcie się przy niej w linii; co gdy Szeptycki skutecznił, dał rozkaz przez generała-adjutanta, żeby cały pułk stosownie do stanowiska 1-go szwadronu uszykował się.

Siedzieliśmy na koniach oczywiście z dobytymi pałaszami; wtem Napoleon woła na pułkownika Krasińskiego: »Każ, pułkowniku, z koni zsiąść«. Krasiński komenderuje pospiesznie: »Z koni!« nie kazawszy wprzód pochować pałaszy, co jest uchybieniem krzyczącem w regulaminie; dopiero my, podwładni, musieliśmy każdy osobno komenderować do schowania

pałaszy, a potem do zsiadania z koni. Ale nie dość na tem... gdyśmy zsiadli z koni, pokazało się, że nie jesteśmy w szyku lustracyjnym, ale w bojowym... znowu gniew cesarza, znowu zwłoka... a Koziatulski, Franciszek Łubieński, mój kapitan i inni ranni oficerowie, widząc, że się zanosi na burzę... gdzieś pochowali się i znikli. Ustawiłem więc kompanię czemprowadziej w szyku lustracyjnym i stanąłem na samem onej prawem skrzydle, pieszo, trzymając za sobą konia w szeregu o cuglach przez lewe ramię na piersiach w lewej ręce, według regulaminu, a prawą rękę przykładając do czapki.

Nadchodzi Napoleon, za nim generałowie służbowi, pułkownik Krasieński, major Delaitre, szef szwadronu Łubieński, zaś z gradusów przed pałacowych przypatruje się świetny orszak sztabowy i mnóstwo generałów zagranicznych, bo było zawieszenie broni.

Napoleon idzie prosto na mnie i, stanąwszy przedemną, pyta surowo: To wmp. dowodzisz kompanią? — Tak jest najjaśniejszy panie! — Wielu ludzi przytomnych? — 84. — Wiele zabitych? — Wskazałem liczbę. — Wiele rannych? — Tyle. — Wiele w marszu pozostałych? — Tyle. — Wiele w zakładzie we Francyi? — Tyle. — Jaki ogół ludzi i koni? — Tyle. — Te pytania następowały tak prędko jedno za drugim, że trzeba było być dobrze przygotowanym, i posiadać język francuski, ażeby cesarza nie zniecierpliwic. Istotnie nie wiem, coby się było stało, gdyby Franciszek Łubieński, który się jękał i nie był koniecznie mocny we francuszczyźnie, był tak nagłaco naga-bany... Zdaje się, że cesarz był zadowolony moim sposobem odpowiadania, równie prędkim jak jego pytania, bo spozierał na mnie z natężeniem, i jakimś upodobaniem, z którego wynikło, że w dobrym wcale humorze rzecze do mnie: *C'est bien, voyons les livretes!* (To dobrze, zobaczmy teraz książki). Na to ja: Niema ich najjaśniejszy panie! — Jakto, niema ich? Nigdy ich nie było najjaśniejszy Panie! — Jak to Łubiński (Łubiński) to twój szwadron, a niema książeczek?! Na to Łubieński, którego Napoleon znał bliżej, a który nie był przyjacielem Krasieńskiego, odpowiada: Najjaśniejszy panie! nie ja dowodzę regimentem. Tu Napoleon, domysłając się, że chciano szkodzić Krasieńskiemu, którego on lubił, przywołuje majora Delaitre i, już pełen gniewu, krzyczy na niego: Cóż to pułkowniku De-

laitre! ja wmpanu poruczyłem formacyę tego regimentu i zostawiasz go bez książeczek?... cóż to wmpan sobie myślisz, że to ja chciałem mieć pułk Arabów? (*un poulk d'Arabes?*) To powiedział Napoleon, mieszając wyobrażenia kozackie z egipskimi, dlatego, że znał Delaitra adjutantem Klebera, i poruczył mu był dowództwo Mameluków, nim go awansował na majora do naszego pułku. Delaitre coś przebaknął na uniewinnienie



Spotkanie Napoleona z Frannciszkim II.
(według barona Grosa).

się ze strony kosztów formacyi pułku i t. p. tak, że Napoleon, opuściwszy go, zwrócił swój podwójny gniew na intendenta Daru, który był inspektorem generalnym gwardyi. Tego więc kazawszy w okamgnieniu do siebie przywołać, a był to pan orderowy z gwiazdą na piersiach, Napoleon, tupając nogą, krzyknął na niego: Czy to tak administruje jego wojskami, żeby regiment jego gwardyi był bez książeczek? i t. d. Daru chciał coś odpowiedzieć, ale uniesienie się Napoleona wzrastało coraz bardziej i krzyknął: Odprowadzić tego nędznika z oczu moich! niech go

nie widzę! (*Qu'il disparaisse! que je ne le voye plus!*), a odwracając się rozgniewany ku naszemu pułkowi, te same słowa powtórzył: Precz z nimi, niech się na nich nie patrzę!... Ale wtem, kiedyśmy dosiedli koni i czwórkami w prawo galopem przez pierwszą boczną bramę wylecieli w okamgnieniu, Napoleon, ten dopiero tak srogi Napoleon, czyli raczej pan swoich zmysłów, widząc, że wielu zagranicznych mężów patrzyło się z bliska na tę scenę, powraca ku pałacowi, uśmiechając się cały, i odzywa się do zagranicznych generałów: *Ces gens là, ne savent que se battre!* (Ci ludzie tylko się bić umieją). Otóż to pochwała do zanotowania sobie każdemu potomkowi tych ochotników, co służyli w gwardyi Napoleona, a którego słowa pamięci przekazuję czytelników moich żołnierskich wspomnień.

Napoleon istotnie sądził, czyli nikt mu wystawić nie śmiał, że nasze opóźnienie i nieforemne wystąpienie nie pochodziło z niewyćwiczenia w mustrze, ale z natłoku i ciasnoty na dziedzińcu schoenbruńskim; dla tego zaraz nazajutrz, czy drugiego dnia zesłał do nas generała Durosnel, jako inspektora i nauczyciela manewrów. Tenże z zadziwieniem postrzegł, że my pod względem manewrów nie mniej umiemy, co każdy pułk innej gwardyi konnej. Zaś co się tyczy książeczek, rzecz się tak miała: Krasieński, gdy Napoleon w kampanii pruskiej, za protekcją księcia Aleksandra Sapiehy, przeznaczył go na pułkownika mającego się tworzyć pułku gwardyi konnej polskiej, z chętności jemu, a prawdę powiedziawszy, nadto wielu z nas właściwej, oświadczył: że ta formacja będzie kosztowała nic, albo bardzo mało, bo młodzież polska, wezwana do gwardyi Napoleona, będzie ze wszechstron dawnej Polski garnęła się na wyścigi o swoim koszcie... Stosownie do tego, damy warszawskie zajęły się wzorami haftów dla naszych mundurów, jak to już opisaliśmy w pierwszym oddziale naszych wspomnień, i w skutku tej chętności powiedział Napoleon w dekrete z dnia 6-go kwietnia 1807 r., w Finkenstein wydanym, w artykule szóstym: że szwoleżery polskie będą mieć tę samą płacę co strzelcy konne gwardyi, to jest 25 soldów francuskich dziennie, zaś w artykule siódmym dodał: że koszt pierwszego ekwipowania tym,

co nie mieli dostatecznych funduszków własnych, potrącony będzie aż do umorzenia z żołdu, licząc po 15 soldów dziennie.

Z tego powodu więc majorowie organizatorowie pułku, Delaitre i Dautancourt, nie zaprowadzili książeczek z przyczyny, że żołnierzom nie 25 soldów, jak gaża powinna była wynosić, ale tylko 15-cie soldów wypłacali; a że od samego zawiązku organizacji oddziały pułku ciągle były w ruchu wojennym, tak dalece, że dopiero pod Wagram cały pułk wystąpił po raz pierwszy razem, i to jeszcze nie zupełnie, bo ś. p. kolega

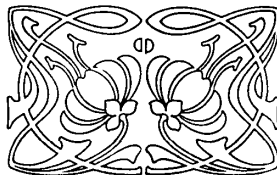


Niegolewski pisał do nas, że dopiero pod Wagram przybył i że zakład pułku był w Chantilly; więc major Delaitre słusznie się wytłomaczył, dlaczego cesarz nie znalazł książeczek na rewii. Musieliśmy zatem w stanowiskach w Lanzensdorf pisać książeczki dzień i noc, w czym mnie w kompanii 1-ej dopomagał mój naówczas wachmistrz — szef Malinowski, późniejszy kapitan adjutant major pułku.

Gdy nakoniec generał Durosnel zdał raport cesarzowi najpochlebniejszy o pułku, że w nim znalazł ducha najlepszego, umiejętność manewrów i porządek, nic nie zostawiający do życzenia, Napoleon kazał znowu całemu pułkowi wystąpić przed siebie na paradzie w Schoenbrunn wobec

tych samych widzów swoich i zagranicznych, którzy byli świadkami naszego niby upokorzenia na poprzedniej rewii. Wystąpiliśmy więc w okazałej postawie. Napoleon wyszedł do nas, uśmiechając się i, nie wdając się już w żadną inspekcję, kazał nam przed sobą defilować plutonami i dawał oznaki swego zupełnego zadowolenia. Jakoż wkrótce otrzymaliśmy różne nagrody: krzyże legii honorowej i dotacje wieczyste; ja sam dostałem dotację 500 franków wieczystą na Monte di Milano, która mi, skutkiem wypadków późniejszych, przepadła; inni podostawali je na kanałach francuskich, i te dotacje po dziś dzień istnieją.

(Józef Zaluski, generał).



WJAZD LUDWIKA XVIII DO PARYŻA

(1814)



PALACYK NAPOLEONA NA SAN MARTINO
(wyspa Elba).



rzypatrywałem się wjazdowi króla Ludwika XVIII do Paryża. Nic nie było pociesniejszego nad ten wjazd.

Proklamacye Króla do ludu były wprawdzie napisane z godnością, lecz co w nich raziło Francuzów i ubliżało ich miłości własnej to to, że datowane były jako w roku 18-ym swego panowania, czyli od śmierci syna Ludwika XVI. A więc tem samem te czasy pełne chwały i tryumfów wojennych, całą świetną epokę konsulatu i cesarstwa uważał za nic albo za czasy *interregnum* (bezkrólewia), nieładu, anarchii, które to czasy iść miały w zapomnienie. Cesarza on i cała jego rodzina wraz z otoczeniem nazywali: *le général Buonaparte*.

A dalej, powierzchowność króla Ludwika XVIII! Okropna! Głowa bardzo wielka, łysa, w peruce upudrowanej i ufryzowanej jak w r. 1790. Brzuch potężny, wiszący, na którym mundur gwardyi narodowej paryskiej jak miech wisiał. Nogi krótkie, grube, opuchłe, schorzałe a na nich czarne kamasze. Nie mogąc wcale chodzić, ledwie nogi włókł za sobą, wsparty na dwóch silnych ludziach, co go musieli prawie nieść. Oto człowiek, który po cesarzu Napoleonie miał rządzić Francuzami.

Familia królewska była nadto zbiorem karykatur podobnych jemu. Więc księżna Angoulême, święta, szanowna pani ze wszech miar, była

bardzo szpetna. Twarz wielka, czerwona i trędowata, nos ogromny, burboński, nieprzyjemne wejrzenie i głos chrapliwy, prawie męski.

Księżę Angoulème miał postać obojętną, a raczej głupią. Ani w twarzy ani w ruchach nic szlachetnego. Był jakoby ospałym, nie umiał ani odpowiedzieć ani przemówić, które to zdolności bardzo u Francuzów popłacają. Słowem, jak mówią Francuzi, *un homme nul*. Mówiono o nim, że miał kobiece skłonności a jego żona męskie.

Monsieur le comte d'Artois, brat króla a później Karol X, najlepiej jeszcze wyglądał, bo chociaż nie było co u niego chwalić, lecz, porównując go z bratem, nie było co tak bardzo ganić.

Księżę Berry miał być perłą rodziny. Rojaliści porównywali go z Henrykiem IV, Franciszkiem I i Ludwikiem XIV! Miał księżę twarz Burbonów, lecz dosyć przystojną, żwawy sam ale przytem grubiańsko rubaszny. Przynajmniej ten umiał siedzieć na koniu i mógł pokazać się wojsku, choć wojska nie znał, ani mustry, ani nie posiadał nauk wojskowych.

Wjazd Króla do Paryża odbył się w następującym porządku.

Przed powozami maszerował oddział gwardyi rosyjskiej konnej, jakby dla przekonania Francuzów, że nie oni Króla swego przyjmowali, lecz dają go im sprzymierzeni monarchowie. Za gwardyą tą maszerował batalion grenadyerów starej gwardyi cesarskiej, wybrany niby to z ludzi mniej nieprzyjaznych nowemu porządkowi pod dowództwem generała Frianta. Bermyce grenadyerów obnażone były z blachy pozłacanej, którą za Cesarza mieli i na której był herb Cesarstwa i jego cyfra — wskutek czego widać było podszewkę i watę z bermycy. Zamiast blach dano im białe kokardy, lecz te nie osłaniały całkowicie śladów po blachach. Wszystko to wyglądało szkaradnie.

Grenadyerzy maszerowali ponuro z oczyma w dół spuszczone.

Za tym batalionem szło dwanaście karet, każda w sześć koni oprężnięta. A były to karety cesarskie, zielone ze złotymi bronzami, z herbami Cesarza na szorach. U drzwiczek karet herby były także Cesarza, lecz naprędce zalepiono je herbami Burbonów, liliami, wydrukowanymi na papierze. Ulicznicy doskakiwali, jak tylko mogli, do karet i papier ten her-

bowy zrywali tak, że »herby« królewskie albo zupełnie poodpadały albo wisały na pół odklejone.

Za temi karetami szła kareta, w której siedział Król, mając po prawej stronie Księżnę Angoulème a przed sobą brata, księcia Angoulème. Ta kareta była cała wyzlaczana i już z herbami Króla — był to dar Regenta angielskiego, Jerzego, jak również i szory na ośm koni.

Za kareta stało trzech ludzi w liberyi Burbonów. Dalej szło znów



Przegląd na wyspie Elbie
(według obrazu Jana Chelmińskiego).

dwanaście karet cesarskich, zielonych, jak poprzednie — a za każdą stało po dwóch ludzi w liberyi zielonej, cesarskiej.

U drzwiczek karety królewskiej jechał konno, zda mi się, prefekt i inni jacyś urzędnicy.

Za temi karetami szedł oddział gwardyi narodowej paryskiej.

Szpaler od bramy Saint-Denis aż do Notre-Dame i stamtąd do Tuileries formowała także gwardya narodowa, paryska. Na drodze stało dużo ludu, lecz w postawie smutnej. Policya do okrzyków *vive le roi* namawiała. Uważałem, że ci, co krzyczeli, szli z powozami i powtarzali okrzyki.

W oknach domów widać jednak było białe chorągwie i kobiety w bieli, z ogromnymi bukietami białych lilij w ręku, z białymi kokardami u boku, wydające okrzyki i machające chustkami.

Król się kłaniał ręką i kapelusz swój stosowany, *en bataille* na pudrowanej głowie siedzący, zdejmował.

Muzyka i bębny były jednak głośniejszymi od okrzyków. Muzyki były rosyjskie, pruskie i austriackie.



Postępowałem i ja również z karetami i przyglądałem się temu.

Generał Friant z białą kokardą odzywał się do grenadyerów.

— *Allons, mes amis, il faut crier vive le roi!*

Lecz grenadyerzy nic — ani słowa.

Wtem, major gwardyi narodowej, nazwiskiem Desnager, znany, bogaty kupiec wina na przedmieściu, *à la courtille*, u którego grenadyerzy pijali często, mija ich na galopującym koniu. Tu ktoś zawołał: *Vive Desnager!* i cały batalion powtórzył ten okrzyk kilka razy. A gruby winiarz,

kontent, że go grenadyerzy poznali, dziękuje uprzejmie: *Merci, messieurs, infiniment obligé!* Stąd śmiech w całym batalionie i na ulicy.

Generał Friant, widząc że nie namówi swego batalionu do wołania *vive le roi!* kazał mu w prawo skręcić i do koszar pomaszerował.

Król tymczasem do kościoła Notre-Dame pojechał, tam wysiadł z karety, a raczej go wynieśli, pomodlił się i w tym samym porządku do Tuileries się udał.

(Grabowski Józef, oficer sztabu Napoleona I).



SAINT-GEORGES

(15 WRZEŚNIA 1796)



BITWA POD RIVOLI (1797)
(według obrazu Philippoteaux).



Jan Jourdan
(według portretu Viena).

Nareszcie generał Cherin, adjutant ministra wojny Pétiet'a, doręczył Sułkowskiemu patent na kapitana, dający mu przeznaczenie do armii, do której pragnął się dostać.

Ach! z jakimiż trudnościami bywały połączone pierwsze kroki ludzi przy rozpoczęciu kariery życia, w której się mieli później najznakomiciej odznaczyć. J. J. Rousseau mówi, że pierwszy talar daleko trudniej zarobić niż ostatni milion.

W podróżach, które Sułkowski musiał odbywać, nie miał już ani sukien ani pieniędzy. Ubiór polski, który mu pozostał, kazał więc przerobić na francuski. Jeden z jego przyjaciół, ojciec licznej rodziny, podzielił się z nim szczupłym swoim mieniem; dał mu swój zegarek srebrny i odprowadził do dyliżansu.

Minister wojny, Pétiet, listem, do szefa sztabu wystósowanym, polecał naszego kapitana ze względu na jego wieloliczną znajomość języków i bardzo rozległe wiadomości polityczne i wojskowe.

Za przybyciem Sułkowskiego do armii, generał Berthier przyjął go

jako adjunkta. Odtąd widziano tego młodego, lecz zimnego i poważnego człowieka, zasiadającego spokojnie za stołem, piszącego ważne rozkazy, a w wolnych chwilach zatopionego w przeglądzie kart wojennych.

Sułkowski w pierwszych chwilach swego umieszczenia zdawał się być zdziwionym ową prostotą i szybkością wykonań, które Bonaparte zaprowadził w administracji i wydawaniu dyspozycji obrotów wojennych swej armii. Kilku adjutantów-generałów, kilku adjutantów przy generałach-adjutantach, działających zawsze ile możności w najmniejszej liczbie i nie-siedzących prawie nigdy, wystarczało pracom, które gdzieindziej zajęłyby były dziesięć razy większą liczbę pospolitych współpracowników cywilnych lub wojskowych.

W taki to sposób (jak później opowiadał Sułkowski) dawał Bonaparte sam z siebie przykład działalności swoim własnem postępowaniem, a nawet swoją osobistą postawą. Najczęściej, stojąc, zajęty przeglądem karty geograficznej, dyktował on generałowi Berthier swoje rozkazy, słuchając aż do ostatniej chwili wszystkich uwag, jakie mu czyniono; zaczem zalecał wykonanie i już więcej do tego przedmiotu nie wracał.

W kilka dni po przybyciu Sułkowskiego do armii włoskiej, naczelny wódz, Bonaparte, wskutek planu, jaki ułożył do bitwy pod Saint-Georges, potrzebował znieść baterię tego nazwiska, która mogłaby być zasłaniać cofanie się Niemców. Zażądał więc jakiego walecznego oficera, któryby w tym celu wziął dowództwo nad dwustu sześćdziesięcioma grenadyerami. Młody adjunkt, który dotąd milczał, wysuwa się, prosząc o ten zaszczyt; jego postawa pełna determinacji zjednywa mu go.

Sułkowski prowadzi dwustu sześćdziesięciu grenadyerów na baterię, która miota przeciw nim najstraszliwszy ogień; część grenadyerów pada pod gradem kartaczy, reszta, zachwiana tym ogniem, cofa się. Sułkowski zostaje sam jeden na drodze... Na to żołnierze, zawstydzeni opuszczeniem swego dowódcy i wzmocnieni jego nieustraszoną walecznością, przychodzą do przytomności i, szczęściem dla wszystkich, wróciwszy do swego dowódcy, skupiają się około niego; tymczasem Sułkowski, opuszczony wprzód od żołnierzy, miał czas ze wszech stron obejrzeć się uważnie

i przypomnieć sobie swoje spostrzeżenia, które w poprzednich podróżach uczynił był właśnie nad tą pozycją militarną.

Otóż, zdaniem jego, nie z tej strony, z której następował, trzeba było iść do ataku. Sułkowski prowadzi więc swoich grenadyerów tyłami; napotyka tam niezajęty cmentarz, panujący nad baterią nieprzyjacielską; dzieli swoich grenadyerów na dwie części, jedną z nich prowadzi tyłami na cmentarz i tam ją umieszcza i wówczas uderza na kanonierów nieprzyjacielskich z frontu i z boku.

Wskutek tego manewru, bateria wzięta została bez potrzeby zagwożdżenia dział, które, skierowane natychmiast przeciw wojsku niemieckiemu, wprowadziły je w nieład.

W taki to sposób zdołał Sułkowski dopiąć celu, zdobywając baterię Saint-Georges w dniu 15-go września 1796 r. (29-go Fructidor roku V).

Ta świetna korzyść dała nie tylko wyobrażenie o odwadze i zimnej krwi młodego kapitana-adjunkta, lecz świadczyła o jego niepospolitych zdolnościach.

Naczelny wódz, Bonaparte i szef sztabu głównego, Berthier chcieli zaraz nazajutrz wziąć młodego Polaka na adjutanta. Sułkowski przyjął ten obowiązek przy Bonapartem i odtąd zdaje się rozpoczynać jego świetna karyera wojskowa. Od owego czasu Bonaparte zaczął powierzać Sułkowskiemu najważniejsze zlecenia.

(*H. de St. Albin*) Pamiętniki Sułkowskiego.



FRANCUZI W POZNANIU

(1806)



W listopadzie r. 1806 przemaszerowały wojska francuskie do Poznania. Pierwszy regiment strzelców konnych pod dowództwem pułkownika Exelmans, wsławionego później generała, nasamprzód wszedł, pod wieczór, do miasta. Szwadrony pierwsze pospieszyły klusem przez całe miasto, z dobytymi pałaszami, zaraz za Wartą rozstawić placówki na drodze warszawskiej i toruńskiej, drugie spokojnie stanęły na rynku, gdzie część ludności się zbiegła i wiwatami ich witała; dlatego mówię, że część ludności, ponieważ i wtedy połowa była złożona z obcych. Przodkowie nasi podczas prześladowań religijnych w Niemczech przyjmowali ze zwykłą tolerancją naszą przybyszów ztamtąd, a po rozbiórce kraju napłynęło ich jeszcze daleko więcej. Po utworzeniu Księstwa warszawskiego wyniosło ich się znów dużo, zwłaszcza urzędników, ale w r. 1806 stanowili oni wraz z żydami, jak i teraz, prawie połowę ludności Poznania.

Szwadrony francuskie na rynku zsiadły z koni, i, po rozmowach z mieszkańcami cisnącymi się do nich, pomiarkowali, że są w przyjaznym kraju, o czym już po kilkudniowym marszu po Wielkopolsce przekonali się byli; rozkwaterowali się tedy spokojnie. Generał Dąbrowski przybył w dwa dni potem, zastał w mieście już wielu obywateli przybyłych ze wsi, uformował zaraz gwardyę honorową dla przyjęcia cesarza Napoleona,

złożoną ze stu koni, i oddał komendę nad nią Umińskiemu, którego znał z wojny kościuszkowskiej, był on bowiem, mając 15-cie lat, adjutantem przy generale Madalińskim.

Przed przybyciem cesarza gwardya honorowa mustrowała się codziennie na polu, od strony Buku, za wiatrakami, ćwiczyła się w obrotach plutonowych i szwadronowych. Umiński zrobił mnie adjutantem szwa-



Bitwa pod Jeną
(według obrazu Horacego Verneta).

dronu i instruktorem, wiedział bowiem, że cztery lata służyłem był w dragonach, którzy naówczas pełnili służbę jazdy i piechoty. Była to formacja pierwiastkowa dragonów, skąd też ich nazwa, później zmieniono ich w Prusach na lekką jazdę.

Będąc w służbie pruskiej, tylko sześć tygodni na rok, podczas manewrów jesiennych, bywałem przy regimencie, resztę czasu odbywałem nauki w Berlinie w szkole wojennej, udzielane wtedy przez oficerów ar-

tyleryi i inżynieryi, z których kilku później się wslawiło, jako to generał Scharnhorst, wówczas kapitan i nasz profesor, a później twórca obrony krajowej (Landwehr); moim zaś nauczycielem, czyli raczej korepetytorem, był porucznik Perlitz — z nim powtarzałem to, co na kursie było wykładanem. Służyłem od r. 1801 do 1805. W tym ostatnim roku, gdy ów regiment dostał rozkaz marszu nad Ren, ojciec mój, nie chcąc, żebym



Bitwa pod Itawą
(według obrazu barona Grosa).

przerywał nauki, wyrobił u komenderującego nim generała Brüsewitz, wymazanie moje z kontroli i pozostałem w Berlinie aż do wejścia tam Francuzów 1806 r.

Stąd to Umiński użył mnie, najmłodszego może z gwardyi honorowej, do uczenia mustry, której sam wtedy nie umiał, ponieważ, chociaż był adjutantem przy Madalińskim, w liniowym pułku żadnym nie służył, nauczył jej się dopiero później. Piesza służba bardzo dobrze poszła z tak

chętnymi obywatelami, z jakich była złożona gwardya honorowa, ale konna była bardzo trudna, gdyż wszyscy mieli konie za żywe do szeregu, i równania się zawsze psuły.

Do szeregu należy unikać za żywych koni, zawsze one się dosyć ożywią połączone razem. Przyjemne to wspomnienie, że w tej gwardyi



Napoleon w Berlinie (1806)
(według obrazu Berthona).

służyli: Suchorzewski, Morawski, Tomicki, Ziemecki, późniejsi generałowie. Zjeżdżali się także jeden po drugim z Włoch, nasi legioniści, generał Kosiński, Sokolnicki, Downarowicz, Sierawski, Muchowski, Hauke, Cedrowski etc. etc. Serdeczne były ich powitania z nami.

Pierwsza dywizya piechoty francuskiej z korpusu Davoust, która przymaszerowała, dziwne na mnie zrobiła wrażenie. Wyjechało nas na przeciw niej kilkunastu, spostrześliśmy o milę od miasta całe pola po-

kryte pojedynczymi żołnierzami, w surdutach różnej barwy, nieśli wszyscy broń kolbą do góry i szukali suchych przepraw po polach, na drodze bowiem było błoto po kolana.

Przed samem miastem obok wiatraków uderzono w bębny, zbiegli się wszyscy i stanęli w kolumnie szeregami, w mgnieniu oka pozwijali płaszcze, poprawiali kapelusze na głowie (cała liniowa piechota jeszcze wtedy nosiła kapelusze trójrogate), wojsko jak najregularniejsze się zjawilo, maszerując z muzyką na czele, krokiem żywym, podwójnym do miasta. Stanęli około rynku, broń w kozły złożyli, dobyli szczoteczek, trzewiki pochędożyli z błota i żwawo bawić się pomiędzy sobą zaczęli, jak gdyby zamiast 150-ciu mil jedną tylko milę marszu byli odbyli.

Przypatrywałem się ze zdumieniem tej piechocie, złożonej z tak ochoczych ludzi, dotąd niezwycięzonych. Wszyscy jakby do tańca gotowi. Nie taką kilka tygodni temu widziałem wychodzącą piechotę z garnizonu, w tej każdy żołnierz wyższy o głowę od tamtych, barczysty, daleko silniejszym być się wydawał, ale sztywny, nie ruchawy, uszedłszy pół mili, skoro kolumna stawała, pokładał się do spoczynku. Z historii wojen wiedziałem, że piechota bitwę wygrywa, a najczęściej ona je rozstrzyga, a lubo niekiedy jazda je także decyduje, to zazwyczaj, po wygranej dopiero, korzyści odnosi. Przypatrując się tej dzielnej i tak lekkiej francuskiej piechocie, zrozumiałem to lepiej, i utwierdziłem się w myśli zaczęcia służby mojej na wojnie w piechocie.

(Chłapowski Dezydery, generał).



BAŚKA MARKIETANKA

(1812)



EPIZOD Z ROKU 1812
(według obrazu Philippoteaux).



W sławnych wyprawach Napoleona, za każdym maszerującym pułkiem na kampanię, widziałeś zwykle przy bagażach pułkowych kilka kobiet, pod nazwiskiem markietanek; przy wymarszu z garnizonu, każda z nich musiała uzyskać upoważnienie od dowódcy pułkowego do dzielenia trudów wyprawy, bez tego bowiem z pierwszych stacyj wrócona była do domu, i z tej przyczyny, kiedy żołnierze przysposabiali się do marszu, mnóstwo zachodziło intryg między kobietami garnizonu o uzyskanie tak dla nich pożądanego pozwolenia; zwykle jednak dowódcy pułkowi, nie zważając ani na wiek ani na urodę, dawali pierwszeństwo tym, które, dzieląc poprzednicze wyprawy pułku, dobrze się sprawowały i trudno było zaiste wymówić się ostrzelanym amazonkom, kiedy z ognistą wymową stawały w obronie swych praw, wyliczając strawione lata na usługach całego pułku.

Postać, ubiór i umysł tych kobiet, różniły ich zupełnie od innej płci niewieściej, zahartowane w obozach, ogorzałe od słońca i niewywczasów, naśladowujące zwyczaj i mowy prostych żołnierzy, szczególny częstokroć przedstawiały widok; dzieliły się one na stopnie; i tak widziałeś najzasłużeńsze, a przeto w lepszym bycie, jadące w małych wózkach okrytych ceratą, z biczem w rękę; mając na głowie czepek z wielkimi ko-

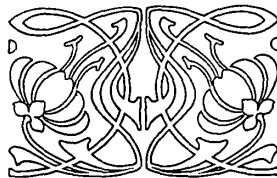
kardami; drugie konno przy ostrogach w pantalonach obcisłych, w damskim kapeluszu; inne zaś, świeżo przybyłe, przykrywszy lekką sukienkę dolmanem huzarskim lub wielkim spencerem grenadyera, z utrefionymi lokami biegły piechotą, niosąc baryłkę wódki na plecach, z pewną nadzieją, że po pierwszej bitwie czeka je rumak z całym rynsztunkiem; przybierały one do swego imienia zwykle nazwisko swojego pułku, do którego trzeba wyznać, zawsze szczerze były przywiązane; dla tego o honor pułkowy częstokroć w obozach, do krwawych między nimi przychodziło sprzeczek; nie będąc rozwiązłe, zdradzały często swych kochanków i mężów, gdyż miłość liczyły między ogólne potrzeby żołnierza; wytrwały na wszelkie trudy i marsze, nad podziw odważne, na kwaterach kłótlive, te miały cnoty, iż mało dbając o własne zyski, całą myśl zwracały na potrzeby pułkowe, rannym i chorym niosły troskliwą pomoc, a w głodnych chwilach, nawet pod ogniem armatnim, przebiegały szeregi z żywnością i napojem, i wtenczas za żadne pieniądze nie udzieliły kieliszka wódki żołnierzowi z innej broni.

Taką była markietanka Baśka z pułku ułanów polskich gwardyi Napoleona; odbywszy szczęśliwie kampanię w Hiszpanii i Niemczech, gdzie zawsze wózek jej był licznie otoczony wesołym żołnierstwem, roku 1812 poszła za pułkiem w kampanią do Rosyi, lecz tam tak, jak tysiące innych, doznała srogiego losu; w mieście Moskwie, po krótkiej chorobie, straciła męża, który był piekarzem pułkowym, w kilka dni po urodzeniu pierwszego syna, którego z niewymowną radością awansowała na wachmistrza ułanów gwardyi; w nieszczęsnym odwrocie armii francuskiej, zdołała stanąć szczęśliwie, z swym wózkiem nad brzegami Berezyny, lecz tu, nie mogąc się dostać na most, z przyczyny strasznego natłoku bezbronnej zgrai maroderów, stała czas długi, tuląc swe dziecko do piersi w największej rozpacz, a kiedy granaty rosyjskie zaczęły padać wśród tych nieszczęśliwych, Baśka odcina konia od wózka, (bez żalu opuszcza wózek z całym majątkiem) porywa dziecko, a dosiadłszy konia, rzuca się na nim w nurty Berezyny. Już miała szczęśliwie dostać się na przeciwny brzeg rzeki, kiedy koń zmęczony w wodzie, pod nią upada i w tej chwili nieszczęśliwa Baśka traci swego małego wachmistrza; w takim stanie nie-

doli skostniała od zimna, przyszła wieczorem do pułku ułanów, lecz wszystkie starania żołnierzy, nie zdołały jej przynieść pociechy.

A tak, kiedy Baśka codziennie patrzyła na krwią zboczonych rycerzy, na płonące pożarem grody i na okrytych nędzą mieszkańców obojętnem okiem, jedno uczucie matki, wstrząsnęło jej duszę uśpioną, zrosiło lice rzewnymi łzami i na całe życie wyryło w jej sercu smutne wspomnienie!

(Ze wspomnień wojskowych nieznanego autora «5. H» drukowanych w roku 1839 w Tygodniku Literackim «Rozmaitości», wydawanym we Lwowie).

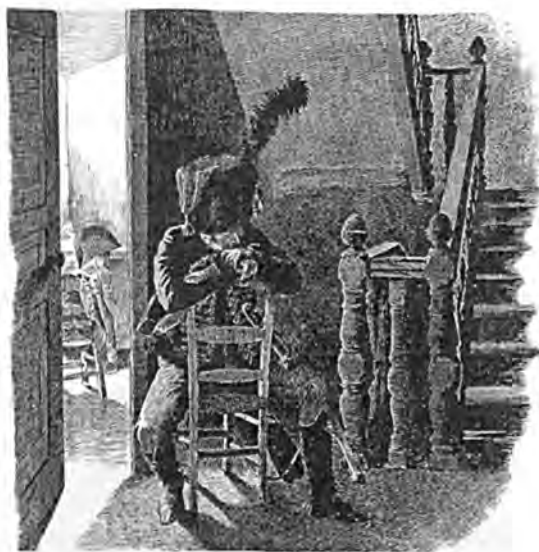


WŁOSY CESARZA

(1814)



WIZYA NAPOLEONA W PRZEDEDNIU UPADKU
(według obrazu E. Dupain'a)



Cały prawie dzień nie ustępowałem z pokoiów pałacowych w Fontainebleau. Co chwila coś nowego się działo i coraz to smutniejszego. Dezerce oficerów, otaczających Cesarza, wzgardą i gniewem mię przejmowały.

Szukałem sposobności w pałacu, abym mógł jeszcze raz widzieć Napoleona i w tym celu nazajutrz znów do przedpokoju służbowego poszedłem. Gdy tam się znajduję, patrzę, iż z pokoiów cesarskich wychodzi dobrze mi znajomy kamerdyner Cesarza, Constant, i trzyma w lewem ręku nożyczki i snopek mały włosów. Pytam się skwapliwie Constanta, czy to nie są włosy Cesarza. Powiada, że istotnie tak. Daj mi je pan! — mówię. — Weź je pan! — Wziąłem. Włosy te mam dotychczas, oprawione nad miniaturą Cesarza, którą mi mój przyjaciel, H. S., darował i która jest pędzla sławnego malarza Isabey.

Miałem tych drogich włosów więcej, lecz gdy się moi koledzy dowiedzieli, że je mam, nie mogłem odmówić i musiałem podział zrobić, że mi się mało zostało, dosyć jednak na pamiątkę.

Francuzi znajomi napierali mi się ich także, ale tym dałem bez skrupułu fałszywe włosy. Może te włosy dziś są gdzie w obserwie wielkiej i w złoto oprawne, a to są realnie włosy jednej ładnej panienki, która, w Fontainebleau, w kwaterze mojej była.

Był przy Cesarzu generał Kossakowski, jak już wyżej wspomniałem. Nie miał żadnej czynności, lecz się trzymał ciągle głównej kwatery. Był to człowiek nader godny, już w pewnym wieku i bogaty. Całe życie strawił na zbieraniu starożytności i pamiątek po osobach znakomitych. Podczas rewolucji francuskiej bawił w Paryżu i skupował pamiątki po królach fran-



Napoleon na wyspie Elbie
(według portretu Delaroche).

cuskich i sławnych ludziach, więc autografy, meble, tabakierki, portrety różne etc. Przez znajomość swą ściłą z hrabią Turenne, szambelanem Cesarza, dostał kompletny mundur wraz ze szpadą i kapeluszem, które Cesarz nosił. Miał nawet szklankę, z której Cesarz pił po raz ostatni przed swym wyjazdem na wyspę Elbę, a co kazał wyryć na tej szklance.

Dałem także generałowi odrobinę prawdziwych włosów Cesarza.
(*Grabowski Józef, oficer sztabu Napoleona*).



U PASZY WIDDYŃSKIEGO PASWAN-OGU

(1789)



SZARŻA ODPARTA (ARMIA REŃSKA 1796)
(według obrazu L. Sergenta).



Za przybyciem do Konstantynopola, do pałacu ambasadora francuskiego w Pera, byłem od tego łaskawie bardzo przyjęty, — dał mi w swym domu mieszkanie, i o różnych szczegółach misyi mojej obszernie rozmawiał, wypytując mnie się szczególnie o wszystkich Polakach, jaką grali w Polsce rolę, do jakich partyi należeli, i o ich związki z magnatami polskimi.

W tym czasie zobaczyłem tam Michała Ogińskiego. Ten panek był mi dobrze znany, po przywitaniu się z nim, dziwiłem się jego bytności, — oświadczył mi, iż był w Konstantynopolu w charakterze agenta od deputacyi Polskiej, w Paryżu egzystującej. Ja, jakbym niewiedział o tej deputacyi, zapytałem go się o tę, — on zakomunikował mi aktualne zlecenia od tej deputacyi. Czytając podpisy tej deputacyi, spostrzegłem pomiędzy nimi i naszego Dąbrowskiego. Podziękowawszy za ufność, poszedłem do ambasadora oświadczyłem mu, jak znajdował się w Polsce Ogiński, jakim tchnie duchem, jak był przez króla Stanisława za partyzanta obcej monarchii uważany, — wyjaśniłem wszystkie szczegóły tak dalece, że ambasador dziwił się deputacyi polskiej w Paryżu, że mogła go wysłać, — wreszcie rzekł: «Wszakże i wasz Dąbrowski podpisał się na upoważnieniu,

które Ogińskiemu dano?» Wytłumaczyłem mu, że Dąbrowski wówczas był jeszcze w bardzo młodym wieku, kiedy Ogiński już grał rolę na sejmie, i był litewskim podskarbis; że on go znać dobrze nie mógł, bo nie miał wpływu do interesów politycznych, a te osoby, które składają teraz deputacyą w Paryżu, jedne są albo Litwini z nim połączeni, uważający go jako magnatę, drudzy, którzy żadnego wpływu do ówczesnych politycznych obrad nie mieli, przyzwyczajeni są wysoko cenić magnatów, z których liczby był Ogiński. Ambasador, po przekonaniu się później od rozmaitych osób, chciał się grzecznie pozbyć Ogińskiego, i mniejszy mu dawał do siebie przystęp.

Tymczasem odprawił mnie z Konstantynopola z poleceniami następującemi: 1. że co się tyczy negocyacyi, z paszą Widdyna, daję zupełną moc Dąbrowskiemu, o czem osobną drogą uwiadomi tegoż paszę; 2. że wyrobi broń i konie dla nas. Powróciłem do Bukaresztu, gdzie uwiadomiwszy o wszystkim, tak Dąbrowskiego, jako i konsula francuskiego, odpoczywałem kilka dni, po których wyjechaliśmy: ja, pułkownik Jabłonowski, pułk. Krynicki, Melford kapitan, Żurawski porucznik, Bogdanowicz i Krystodolo tłumacze orientalnych języków, z czterema żołnierzami do Widdynia, do Paswan-Oglu.

Trzeba tu wiedzieć, co był ten pasza, czyli rządzca rozległych prowincyj; był on podobno z rodu francuzkiego, bogaty, nadzwyczajnie mężny, dobry wojownik i polityk, umiał do siebie przywiązać swych poddanych, i tych tak ujął, że uchylił się z pod władzy sułtana, wszędzie zwyciężał wojska jego, tak, że sułtan nie śmiał go więcej zaczepiać, ani haraczu od niego żądać.

Miał on piękną artyleryę i armaty nowego kalibru, których sułtan nie miał, a przytem kilkudziesięciu doskonałych oficerów, złożonych z Francuzów, Niemców i Włochów. To mając, uważał jednak, że jego panowanie jest tylko czasowe, chciał być coś więcej i pewnego, lecz nie miał pory; ta właśnie wydarzyła mu się, kiedy robiąc przysługę Francyi, mógł od niej silnego oczekiwać wsparcia.

Dąbrowski, korzystając z wiadomości, jaką miał o tym paszy, przygotował plan, przez który Paswan-Oglu mógł, pomagając Francyi i Polakom, stać się dziedzicem obszernych prowincyj: a ten był taki: 1) pro-

fitując z wojny, w jakiej ościennie państwa znajdowały się przeciwko Francji, a mając dostateczną siłę oparcia się sułtanowi, ażeby ogłosił się dziedzicznym księżciem swych prowincyj; 2) ażeby zajął księstwa Wołoszczyznę, Transywalnię, Bośnię, uwiadomiwszy wprzód o tem Francję i otrzymawszy od niej zapewnienie, że przy jeneralnym pokoju wymagać będzie Francya potwierdzenia tych zaborów; 3) aby zaś uczynił sobie wstęp do przyjaźni i protekcji Francji, winien dla tejże dać dowód w wojnie, toczącej się przeciwko niej, a ten będzie najmocniejszy, kiedy pasza da swego wojska 15,000, z którem pójdzie na pomoc Francuzom, robiąc dywersję w krajach nieprzyjaciół Francji. Gdyby to uczynione było, wojska nieprzyjaciół Francji musiałyby rozdwoić się, widząc kraj swój opanowany przez Polaków i Turków, a w ten sposób Francya prędzej i skuteczniej ukończyłaby wojnę.

W takim duchu wyjechaliśmy; aż tuż prawie na granicy prowincyi Widdynia, zatrzymały nas forpocztę tegoż paszy; wytłumaczyliśmy, że jedziemy do Widdynia, zatrzymano nas, a paszy znać dano; trzeciego dnia przyszło zalecenie konwojować nas, stanęliśmy w dwa dni przed miastem, które było fortyfikowane, zatrzymaliśmy się i posłaliśmy oficera z tłumaczem, prosząc paszy o pozwolenie wjechania do miasta, dla złożenia mu uszanowania.

W ośm godzin dopiero powrócili nasi delegowani; już był wieczór. Nocowaliśmy w domu zajezdnym za miastem, bo przyjęcie nas do następnego dnia odłożone zostało. Nazajutrz, o godzinie piątej rano, przybył tłumacz paszy, a z nim dwudziestu konnicy, oświadczył, że tenże przyjmuje nas, i honorowy konwój przysyła. Ta konnica była jego przyboczna, na dzielnych koniach, i bogato ubrana.

Wjechaliśmy do miasta, potem do pałacu paszy, w którym był dziedziniec obszerny, obstawiony żołnierzami, a wokoło stały armaty, zsiadliśmy z koni, wprowadzono nas do trzeciego pokoju, przy drzwiach którego stało dwóch Turków w ponsowych sukniach, bogato szameroowanych, w białych zawojach, z frendzlami złotemi, miał każdy pistolet za pasem w złoto oprawny. Ci, za posunięciem się naszym ku drzwiom, otworzyli drzwi, w których stał tłumacz, ten sam, co nas prowadził.

Wszedł Dąbrowski marszałek najprzód, a tłumacz szedł obok niego; wtenczas pasza, który z obydwóch stron był otoczony kilkudziesiąt najpiękniej i najbogaciej ubranymi Turkami, podniósł się z sofy, kiwnął głową, przyłożył rękę do serca i podał ją Dąbrowskiemu, kazawszy powiedzieć tłumaczowi, że kocha szczerze Francuzów i Polaków — potem prosił nas siedzieć; myśmy byli kolejno prezentowani, a tłumacz rangi nasze powiedział paszy; poczem przyniesiono mały taborecik, bo Turcy zwykle na sofach i na ziemi siadają, i ten podano Dąbrowskiemu marszałkowi, który, usiadłszy, miał krótką mowę, wyrażając, że wielkie dzieła i talenta paszy sprowadzają go na to miejsce dla poznania osoby jego i zrobienia mu w imieniu narodu polskiego uszanowania, dodając, że się spodziewa, iż pasza, uwiadomiony przez ambasadora francuskiego o jego tu przybyciu, zechce pozwolić mu później sekretnej audyencji; na co odpowiedział pasza, że poprzednio będąc o przybyciu naszym zawiadomiony, oczekiwał momentu, żeby mógł przez swoją grzeczność okazać, jak daleko jest przyjacielem każdego Francuza i Polaka.

Poczem, przyniesiono sorbety w małych srebrnych, połączonych kubkach, a zaraz za tem kawę czarną w filiżankach z chińskiej porcelany i lulki zapalone; przyczem pasza przez tłumacza zapytał się o wzięciu Kościuszki i dziwił się, że król polski poddał się. Kiedy mu na to odpowiedział Dąbrowski marszałek, że wielka przemoc była, on wyrzekł z uniesieniem: «czemu tak nie zrobił, jak Karol XII, byłby u nas lepszą jeszcze znalazł protekcję, bo my umiemy szanować traktaty».

Po krótkich jeszcze rozmowach o zwycięztwach Francyi, o których widać, że pasza był doskonale zawiadomiony, kazał oświadczyć Dąbrowskiemu marszałkowi, że w jego pałacu mamy przygotowane pokoje, do których dla odpoczynku nas zaprosił, i przez tłumacza, po pożegnaniu zwyczajnem, odprowadzić kazał; tam przybywszy, zastaliśmy wszelkie wygody, we dwie godziny po tem jedliśmy u stołu paszy obiad, który prawie cały był z baraniny i kapłonów, a chociaż Turcy wina, ani żadnego trunku nie piją, przecież dla nas dawano wina. Po obiedzie zwyczajnie Turcy śpią, i my też na spoczynek udaliśmy się.

Wieczorem mieliśmy satysfakcję z jednym oficerem, który był ro-

dowity Francuz; ten nam różne opowiedział rzeczy o tym paszy, i kiedy mówiliśmy temu oficerowi, nazwiskiem La Port, że dziwno jest nam, iż pasza może tak opierać się sułtanowi, daleko mocniejszemu od niego, powiedział nam, że oprócz tego, że ten pasza ma wiele rozumu i geniusz wojenny, umiał jeszcze, szczególnym sposobem, przywiązać sobie Turków, oświadczając przed zaczęciem wojny przeciwko sułtanowi w manifestie swym, który rozesłał po całym kraju tureckim, że pochodzi z linii bocznej Mahometa.



Ten odgłos takie zrobił na Turkach wrażenie, że wcale przeciwko niemu bić się potem nie chcieli i na jego stronę przechodzili.

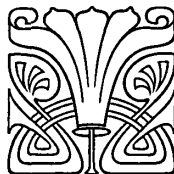
Życie tego paszy było prawdziwie wojskowe. Nie zachowywał on azyatyckiej pompy, oprócz wtenczas, kiedy przyjmował u siebie jakie znakomite osoby. Wojsko jego tem się od tureckiego różniło, że przy szerokich rajtuzach, nosiło buciki, oraz kurtki długie, na których był pas szeroki, w którym było dwa pistolety na smyczy, zawoje zaś mieli niskie koloru czerwonego z białym. Potem pasza zaprosił nas na manewra. 3000 konnicy, 10 batalionów piechoty i park artylerji robiły ewolucye,

którymi sam pasza dowodził. Postawa i zręczność tego wojska zadziwiła nas; manewra były zupełnie podług francuskiej taktyki.

Gdyby takich było 300.000 żołnierza, możnaby obawiać się o los całej Europy.

Po skończonych manewrach zapytywał nas się pasza o opinię, oddawaliśmy sprawiedliwość jego staraniu i talentom, poczem pokazywał nam artylerję lekką, która była tak dobrze urządzona jak francuska, oprócz tego w samym Widdyniu miał 200 armat.

(Kosmowski Stanisław, podpułkownik).



O SIŁACZACH



ŻOŁNIERZE FRANCUSCY W ŚWIĄTYNI KARNAKA
(według obrazu G. Clairin).



Józef Stadnicki, brat rodzony Jana hrabi Stadnickiego, prezesa stanów galicyjskich, będąc szeregowym, a potem brygadyerem w gwardyi, jedną ręką podnosił zad każdego konia; a gdy się koń nie dawał kuć, to jak go ujął za ucho, obalał konia na ziemię. Te dwie czynności były u niego codzienne, nie robił tego dla chwalby, albo jakby co szczególnego, on to sobie miał za nic. Był nadzwyczajnej siły i zręczności, przytem postać i uroda, które niezawodnie mogły stanąć obok owego husarza Krajewskiego, co to na wieczery imponował wodzom szwedzkim przed rozprawą kircholmską. Zdarzyło się w r. 1807, że w Frankfurcie nad Menem mieszczanin tameczny obraził szwależera, szkalując go jako Polaka; wskutek tego dom jego w oka mgnieniu stał się ofiarą... mieszkańcy ledwie puciekali, a lekkokonna jazda polska potłukła i powyrzucała przez okna na ulicę wszystko... aż do pieców — (Uwaga: nie był to rabunek chciwości, było to uniesienie gniewu, za znieważenie imienia polskiego) przyszła kolej na małe dzieci w kolebkach... Brygadyer Stadnicki, słysząc hałas, nadbiegł, nie dopuścił okrucieństwa, skarcił i uspokoił towarzyszków, lecz wtem nadchodzi silny patrol żołnierzy arcybiskupa księcia würzburgskiego, a zastawszy tam Stadnickiego, chce go aresztować... Stadnicki się tłumaczy, że nie on był sprawcą zgiełku, ale, że go owszem uśmierzył...

gdy to nie pomagało — chociaż Stadnicki doskonale po niemiecku mówił — wyrwał następującym na niego żołnierzom dwa karabiny, a uchwyciwszy każdą jedną ręką za koniec lufy, tak zaczął gromić kolbami, zamiatając ulicę od muru do muru, że cały patrol liczny pędził przed sobą. Jednakże, gdy dwóch żandarmów francuskich wystąpiło by go aresztować: «A to co innego!» rzekł do nich: «was uznaję za moich kolegów, i słucham prawa» i udał się z nimi najspokojniej do aresztu. Nazajutrz marszałek Kellerman, co był służył w Konfederacyi barskiej i znał nazwisko Stadnickiego, kazał go uwolnić; śmiał się bardzo z tej przygody, gdzie jeden pędził dwudziestu i przepowiedział: że to będzie dzielny oficer jazdy... Jakoż wkrótce jeszcze znacznie przed bitwą pod Somosierra przeszedł Stadnicki na oficera do sławnego pułku ułanów nadwiślańskich; tam miał sobie za przyjemną powinność: przyprowadzać obce placówki za kark, obraniać i odbijać jenerałów, kómdantów, kolegów z rąk nieprzyjaciół — jakoż postępował w awansie, został kapitanem, i byłby wyszedł niezawodnie nierównie wyżej, gdyby wojna była potrwała. Gdy po zapadłym pokoju wrócił do kraju, okryty ranami i zwałtony na zdrowiu, był jeszcze takiej siły, że był w stanie zgruchotać rękę nieproszenie mu podaną jednym ściśnięciem.

Podobnie jak Stadnicki z karabinami, postępował sobie Piotr Wasilewski z proporcami czyli lancami. Był on jako brygadyer jednym z bohaterów Somosierry, cudownym sposobem ani tknięty w tej szarży — był później oficerem w pułku i kapitanem strzelców konnych gwardyi królestwa kongresowego, i wystąpił jako podpułkownik. On kładł dwie lance na ziemi. — Lance te były z drzewa twardego, podwójnie okute od grotu aż do połowy drzewca, którego tylec był także grubo okuty. Wasilewski ujmował każdą ręką po jednej lancy za tylec, podnosił obie naraz i wywijał obiema z największą łatwością. Można sobie z tego wystawić jakiej był siły. Postawy był wysokiej, wysmukłej, twarzy męskiej, oficer wzorowy w służbie, męstwa jak Francuzi mówią: «à toute epreuve» to jest niezawodnego, skromności panieńskiej.

Ambroży Skarzyński, od porucznika I-szej klasy, aż do szefa szwadronu w pułku, później generał brygady w wojsku polskim, był podobnie

nadzwyczajnej siły i zręczności.... między innemi miał dar rzucania porpcem, jak Turcy rzucają dzirytem — trafiał w cel i był w stanie przeżyć tym sposobem nieprzyjaciela, czego nie widziałem na własne oczy, ale słyszałem, że tego dawał dowody nawet już będąc generałem; żyje jeszcze, i w dobrym zdrowiu. Seweryn Fredro, oficer, później szef



Lefebvre książę Gdański
(według portretu Mirwaulte'a).

szwadronu, był także niepospolitej, zręczności i lekkości, a każdego konia przeskakiwał z największą łatwością; przytem był postaci wspaniałej; mało kto, albo raczej nikt nie mógł się odważyć iść z nim w zapasy na siłę. Gdy dowodził szwadronem strzelców konnych gwardyi francuzkiej i polskim, przy boku króla neapolitańskiego pod Połockiem, gdzie Napoleon był się z Wilna obiecał, ale w inny kierunek się udał, oficerowie francuzcy, obiadując u stołu szefa Fredry, według możliwości czasu i miejsca,

ganili chleb żytni razowy litewski, jakiego nam obywatele z gościnności do obozu dostarczali, i twierdzili ci oficerowie: że chleb żytni sprawia w żołądku kwasy, że pszenney jest o wiele zdrowszy, że oni wychowali się na pszennem pieczywie, — a byli to oficerowie nie z markizów i vicomtów, ale z prostych guidów Bonapartego awansowani, okazałych postaci, jak to mówią «chłop w chłopu». Znudzony Fredro tem kazaniem cudzoziemskim, odezwał się z wrodzoną sobie żywością: «No, moi panowie! kiedyście wychowani na białym chlebie pszennym, to ja wam powiadam, że się wychowałem na żytnim, a jak mnie widzicie, nie jestem ułomek... więc spróbujmy się; kto z nas mocniejszy? a który chleb daje więcej siły? — a... Francuzi znając olbrzymią siłę pułkownika i przeważną jego postać, przy której oni schodzili na miarę zwyczajną... ustąpili z uśmiechem i przyznali — bez próby — że i chleb żytni może tak dobrze, i lepiej nawet wychować, jak pszenney.

Benedykt Zielonka pułkownik, był nadzwyczajnej siły i postawy, lecz tu wzmianka się o nim czyni z powodu, że nigdy nic nie pijał prócz wody, co zaprzecza owej miękkości i zbytkom, jakie nam wydawca «Obrazów starodawnych» zarzuca.

Dominik książę Radziwiłł, ordynat kilku ordynacyi, najmajątniejszy z Polaków, urodzony z księżniczki Turn-Taxis, a zatem panicz delikatnej postaci, tak jeździł na koniu przesadzając najszerze rowy i najwyższe płoty, i tak się rzucał na nieprzyjaciela, wyprzedzając swój pułk 8-my ułanów, że ściągnął podziwienie samego Napoleona, a nawet Murata; podobnie postępował będąc majorem gwardyi, z podziwem Drezna, króla i królewskiej familii; o nim można było powiedzieć: że nie znał przeszkód.

W roku 1810 poznałem w Hiszpanii szeregowego z pułku naszego nazwiskiem Kłoczewskiego, który nie miał jak około 20 lat mniej więcej; atletycznej postaci, był tak silny, że przy pobieraniu obroku, jeden wór jęczmienia brał i zarzucał na jedno, a inny na drugie ramie — trzeba wiedzieć, że w Hiszpanii nie karmią koni owsem i sianem, ale jęczmieniem i słomą na grubą sieczkę w młóceniu mułami startą. Kiedy była budowla stajen dla jazdy w Castroxeriz, brał belki na ramie i niósł z łatwością; zdarzyło się, że go Mamelucy wyzwalali na różne próby siły; on wyszedł na belkę

wysoko umieszczoną, i spuścił im linę, kazał im czepiać się tej liny, a że on będzie ich podnosił; Mameluków przeciwnie chwyciło się jedenastu liny, i usiłowali go z tamtego miejsca ściągnąć, co gdy im się nie udało wezwał ich, żeby się teraz mocno liny trzymali, i wszystkich jedenastu podniósł. Ten Herkules miał te wady na wojskowego, że dużo jadł i musiano mu dostarczać podwójne racje mięsa i chleba, a był tak ciężki, że nie można było dobrać pod niego konia, każdego odpsuł, jakoż — o ile pamiętam — w jakiejś potyczce przewrócił się pod nim koń i Hiszpany zakłuły tego mocarza.

(Józef Zająski, generał).



PIĄTY PUŁK W ROKU 1811



W późnej jesieni r. 1811 dostał nasz pułk rozkaz udania się do Warszawy. Nastąpiło to szczególnie z powodu, że pułk nasz nadzwyczajnie regularny w służbie, miał przytem mundur strojny, a spodziewany zjazd króla saskiego, a księcia warszawskiego, na sejm odbywać się mający, wymagał porządnego wojska. W marszu tym nastąpił wypadek w pułku, który mię na czas niejaki z pułkownikiem Kurnatowskim poróżnił. Oficer ze służby saskiej pan G, przez protekcję generałowej Fiszerowej, której był krewnym, przysłany był do pułku w stopniu porucznika, co już niechęć ku niemu wzbudziło, lecz im bardziej dał się poznać, tem mocniej ta niechęć ku niemu rosła; i miał zwyczajnie niegodne oficera, gdzie mógł tylko co zarwać u kogo z cywilnych, tego się bezczelnie dopuszczał. Już nie pamiętam powodu, lecz z magazynierem jednym tak mocno się pokłócił, że aż do razów ręcznych przyszło, a że tego pojedyńkiem nie zamazał, zdecydował korpus oficerów, że z nim służby robić nie można. Trwał ten gwar w pułku parę miesięcy; nie chcieli oficerowie lekce występować, lecz on chciał mieć dowody do skargi; ja się w to bynajmniej nie wdawałem, bo oficerowie pułku byli po największej części Poznańczyki i Kujawiaki; ja zaś, jako z Kra-

kowskiego, nieco obcy w pułku byłem; jednakże gdy korpus oficerów już wyraźną determinację wyprowadzenia rzeczy na jaw przedsięwziął, zażądał, abym ja, jako porucznik, z dodanym podporucznikiem, jako delegowany pułku oświadczył pułkownikowi służbowie tę stanowczą decyzję korpusu oficerów. Na placu więc Saskim, po odbytej paradzie i zaciągu warty, przystąpiliśmy do pułkownika Kurnatowskiego i służbowie tę wolę pułku oświadczyliśmy. Przyjął to z dużą nieprzyjemnością, jednakże bez gniewu, oświadczał, że się nad tem zastanowi. Że pan G. podobno był także krewnym pułkownika, a przynajmniej w dobrej żył z nim zażyłości, bo do jednej z pierwszych rodzin należał, chciał pułkownik pana G. wyratować i nazajutrz do kwatery jego zostałem powołany. Tam chciał mnie koniecznie nakłonić, abym tę rzecz zatarł, lecz oświadczyłem, że to nie w mojej mocy, bo jedynie wolą jednomyslności oficerów wyznaczony do tego oświadczenia, tej nieprzyjemnej podjąłem się misji, lecz że zarazem dzielę ich przekonanie, iż czyn pana G. mundur nasz plami; przypominał mi, że mnie świeżo, pomimo kolei, awansował, lecz i to nie pomogło, owszem posłużyło mi za dowód, że żaden interes osobisty mną nie powoduje, gdy jeden i ten sam stopień co pan G. posiadam.

Pan G. chciał niejako wybiegiem wyjść z tego położenia i wyzwał oficera pana Edwarda Potworowskiego, który, jako świadek czynu oburzającego, o nim korpus oficerów był uwiadomił. Potworowski mnie za sekundanta wybrał, poszedłem więc do pana G. i oświadczyłem mu, że oficerowie zdecydowali, iż pan Potworowski bić się z nim nie może, dopóki pułku nie opuści. Pan G. obruszył się na moje oświadczenie i przypominam sobie nawet, że się porwał z łóżka i za pałasz uchwycił, lecz z zimną krwią odkryłem płaszcz kolisty i pokazałem mu, że i ja mam pałasz przy boku i że napaść odepchnąć potrafię, lecz że tego za pojedynków nikt uważać nie będzie. Nie wiem, jakby się rzecz była skończyła, gdyby nie silne protekcyje, jakie miał pan G. Te zrobiły, że cała ta sprawa, przedstawiona została naturalnie z jak najlepszej strony dla pana G. księciu Poniatowskiemu i książę kazał nam oświadczyć, że wolą jego jest, aby pan Potworowski dał satysfakcyje panu G., a ten tym sposobem

w służbie pozostał. Głęboki szacunek i miłość, jakąśmy mieli dla naszego naczelnego wodza, sprawiły, żeśmy się bez najmniejszego oporu do decyzji jego zastósowali. Bił się pan G. z Potworowskim, i ten ostatni został lekko ranny. Żeby już o tym panu G. nie wspominać i zarazem przekonać, jak słuszne było nasze żądanie wydalenia go z pułku, co zarazem i sprawiedliwość pułkownika Kurnatowskiego wykryje, przerwę tok opisu życia mego, by karierę pana G. opisać. Na początku 1812 r., gdyśmy na



Bitwa pod Austerlitz
(według obrazu Gérarda).

prawy brzeg Wisły całą jazdą przeszli, był brak furazu i żywności wielki. Kraj wyniszczony ciągłymi datkami, nie był w stanie nietylko wojska opłacić, ale nawet i wyżywić. Książę Poniatowski wydał rozkaz arbitralny, upoważniający pułkowników do wysłania w okrag stanowisk swoich oficerów z oddziałami wojska, którzy mieli prawo wszystko to, co do żywności lub furazu służyć mogło, zabierać. Pan G. między innymi oficerami w okolicach Mińska, gdzie stał pułk, podobną misję otrzymał, a zajęchawszy do bogatego młynarza, kilkadziesiąt korcy kaszy jaglanej wziął mu sposobem rekwizycyjnym. A że produkt ten nadzwyczajnie drogo

sprzedawał się w Warszawie, młynarz 80 dukatów, sposobem łapowego dał panu G., aby mu kaszę zostawił, co ten przyjął, lecz dodawszy drugie łajdactwo, po odmaszerowaniu, posłał oficera z czterema żołnierzami, aby tę kaszę zabrać. Młynarz oczywiście skargę do pułkownika podał i ten we 24-ch godzinach pana G. z pułku wyprawił. Przy pierwszym spotkaniu się ze mną mówi Kurnatowski: «Patrzajno, ktoby się był po G. tego spodziewał», odpowiedziałem z westchnieniem, że może widzieć, żeśmy wszyscy w pułku to przewidywali. Widocznie była nie-miłą Kurnatowskiemu ta moja odpowiedź, jednakże czyn G. tak mu utkwiał w pamięci, że 1814 r. po abdykacyi Napoleona, pan G. (który się był przy jakimś sztabie generała francuskiego zawiesił, przy nim kampanią 1812 r. odbył, i stopnia szefa szwadronu się dochrapał, przeniósłszy się do sztabu generała Wincentego Krasieńskiego, który komendę Polaków był już z woli cesarza Aleksandra objął), gdy razu jednego do Kurnatowskiego, wówczas generała brygady, z rozkazem generała W. Krasieńskiego przybył, napisał Kurnatowski służbowo, że imieniem Polaków prosi, aby pan G. nigdy z rozkazami nie przyjeżdżał, bo te będą zmuszeni za niebyłe uważać. Co oczywiście jego karierę wojskową zakończyło. W czasie bytności naszej w Warszawie, pomimo służby, jakąśmy odbywali przy królu saskim, organizacja pułku szybko postępowała, t. j. że zamiast sześciu kompanii (półszwadrony) zostało ich ośm utworzonych, każda po 120 koni. Wtedy nastąpiła wielka zmiana w dowódcach szwadronów i kompanii. Pomimo niedawnego żalu prywatnego, jaki Kurnatowski z powodu pana G. miał do mnie, przeznaczył mnie, chociaż tylko porucznika, na dowódcę wyborczej kompanii, t. j. grenadyerów pułku, bo jazda wtedy miała grenadyerów tak jak piechota; lecz przez zbytnią skromność odrzuciłem tę tak podchlebną ofiarę i prosiłem, aby mnie przy dowództwie kompanii 6-tej, którą już byłem sobie uorganizował, zostawiono. Była to skromność prawdziwie przesadzona, bo kompanie 5-ta i 6-ta były sformowane z ludzi, których inne kompanie z liczby swoich wysunęły; kto więc miał pijaka, złodzieja, niechluję, lub rekrutę, ten się go pozbył. Kurnatowski mocno na mnie nalegał, abym grenadyerów wziął w komendę i, po długich oporach moich przysłał do mnie kapitana adjutanta, majora

Stanisława Jezierskiego, aby raz jeszcze do przyjęcia komendy skłonić mię. Pocziwy Jezierski sumiennie polecenia dopełnił; wszystko co mógł przytoczył, aby mię przekonać, nawet argument, że będąc u grenadyerów, mniej na cel kul nieprzyjacielskich będę wystawiony, mając bermycę tak jak moi żołnierze, lecz wszystko było na próżno. Im bardziej widziałem trudność utrzymania porządku w kompanii, którą dowodziłem, tem mo-



Jan Moreau
(według rysunku Girardeta).

cniejsze było moje przekonanie, że w ręku innego, ta kompania pójdzie w poniewierkę. Gdy już Jezierski widział, że stanowczo komendy tamtej kompanii nie przyjmę, dopiero wtenczas zapytał mię, czy nie będę miał za złe, jeżeli on to dowództwo obejmie i z największą radością mię uścił, gdym mu powiedział, że to najchętniej widzieć będę. Że miłe są wspomnienia młodości, wyliczę tu dowódców niektórych szwadronów i kompanii: grenadyerami dowodził kapitan Jezierski; kompanią 2-gą ka-

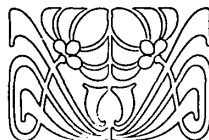
pitán Sosenkowski; 3-cią kapitan Jagmin; 4-tą nie pamiętam; 5-tą porucznik Ignacy Miroszewski, kapitan; 6-tą ja; 7-mą kapitan Wyderowski; 8-mą kapitan Augustyn Brzeżański (później pułkownik Poznańczyków t. j. 1831 r.). Szwadronem 1-szym dowodził szef szwadronu Siemiątkowski (później generał); 2-gim kapitan Kornecki; 3-cim kapitan Jaskulski; 4-tym, ile mi się zdaje, szef szwadronu Konarski; grossmajorem pułku był Fredro (później generał), pułkownikiem Kurnatowski.

Służba w Warszawie była dość męcząca, bo patrole nocne musiały co noc wszystkie rogatki miasta i główne odwachy zwiedzać, co przy mało brukowanej naówczas Warszawie na przedmieściach, a błotnistej ziemi było uciążliwym, tem bardziej, że tę służbę trzeba było zmieniać na służbę w pałacu, gdzie oczywiście czystość całego rynsztunku musiała być wielka. Pułk nasz odbywał służbę jakoby gwardyi. Szedł co dzień na służbę; kapitan jeden, porucznik lub podporucznik z 30-tu grenadyerami, trzymającymi odwach w przedpokoju królewskim na 1-szem piętrze, oprócz tego porucznik lub podporucznik w 30 koni dla tworzenia eskorty powozów króla, który codziennie na spacer wyjeżdżał. Oprócz tej służby jazdy zaciągał zawsze na służbę batalion piechoty, który warty trzymał na dole w pałacu.

Oficerowie tak jazdy jak piechoty jadali zawsze u stołu marszałkowskiego, gdzie i adjutanci królewscy, którymi wtedy byli Pakosz i Paszkowski, pułkownicy i, o ile pamiętam, damy honorowe siadały. Oznaka służby, oficerów jazdy, pieszo służbę odbywających, była czarna laska z białą gałką; tę kapitan oddawał do rąk kapitanowi, schodzący zaś z warty komendant 30 grenadyerów pałasza z pochwy nie dobywał, lecz trzymając laskę w ręku, broń schodzącej warcie zaprezentować kazał; zaciągający zaś na wartę z pałaszem dobytym wchodził do salonu przedpokoju, a uszykowawszy się naprzeciw schodzącej warty, po komendzie prezentuj broń, postępował kilka kroków naprzód dla spotkania się ze schodzącym ze służby oficerem, tam dopiero pałasz chował do pochwy, laskę jako znak służby do rąk odbierał i cichym głosem zdanie służby, t. j. obowiązki, jakie były do wykonania, odbierał. Słowa te zdawania służby były zwykle następujące: «Nie pij białego wina, tylko czer-

wone, bo lepsze, bierz dużo na talerze, abyś wszystkiego nie zjadł, służba dworska to lubi, kieliszek pełny, jak będziesz wstawał od stołu, zostawiaj, a wtedy z ochotą liberya służyć ci będzie». Kto tę aryngę pierwszy zaprowadził, nie wiem, ale się szybko upowszechniła.

(Henryk Dembiński, generał).



OŚMNASTY BRUMAIRE'A

(9 LISTOPAD 1799 R.)



OŚMNASTY BRUMAIRE'A (9 LISTOPAD 1799)
(według obrazu Fr. Bouchota).



Wiele szły rzeczy we Włoszech, gdzie się koalicja zgromadziła. Dąbrowski widział nękane legie, lecz ani energii nie stracił, ani nadziei ich odbudowania. W Marsylii, uformowawszy «depo», zgromadził co pozostało i co zgromadzić się dało i odnowił je znakomicie, bo miał sześciu tysięcy, dziewięć na nowo sformował.

Ważna epoka, bo zbliżał się powrót Bonapartego. Chociaż zostawił w Egipcie Klebera i Desaix, sam wystarczał na odrodzenie pomyślności. Co do nas, mając o wszystko do traktowania, co do zaczęcia legii było nieodbicie potrzebnem, wysławszy po zakładach, gdzie niewolników wojennych mieszczono, by między nimi wyszukiwać rodaków, sami bawiliśmy w Paryżu, przypatrując się pilnie miejscowym wypadkom.

Przybycie generała Berthier, uprzedził o niewiele powrót Bonapartego. Ci, co widzieli Berthiera u pani Visconti, z którą miał bliższe stosunki, zapewniali, że wieść o powrocie Bonapartego nie jest częścią pogłoską tylko.

Nakoniec Bonaparte jest już w Paryżu. Biegną najcelniejsi generałowie, co później nosili buławy marszałkowskie, na walną z nim naradę. Wielki militarny obiad przez radę pięciuset ma być dany. Na niego Kościuszkę i Kniaziewicza wezwano. Tymczasem Bonaparte Dyrektoryat odwiedza. Jedzie potem na zgromadzenie rady pięciuset, a stamtąd prosto do Kościuszki wieść się każe.

Była to godzina, gdyśmy właśnie u niego byli. Wszedł bohater do

Naczelnika naszego, a pierwszym jego słowem było: — Chciałem usilnie poznać bohatera północy. Kościuszko odpowiedział mu skromnie, że jest szczęśliwy z widzenia zwycięzcy Europy, bohatera Wschodu.

Niedługo zapewne Bonaparte bawić miał tu potrzebę, a powiódłszy po nas oczyma, witał Kniaziewicza jako znajomego sobie. Stąd dopiero do rady starszych i do ministra wojny pojechał.

Zwyczajem znanym w Paryżu, przekupki od składów żywności, korporacją całą wizytować zwykłe, przyszły i do Bonapartego. Naczelnicy frakcyi powszechnie je przyjmowali z uprzejmością, bo one w tłumnych zaburzeniach Paryża wielką grały rolę; tu pierwszy raz zapewne zawiedzione zostały. Bonaparte odparł je niespodziewanie, mówiąc: — Wyście witały z poklaskami Robespiera i przed Burbonami równie ochotnie płaszczyć się będziecie.

Krótko potem, Bonaparte mianowany został komendantem Paryża; skarb był wyniszczony, wojsko w upadku. On, co znał nadużycia w nieporządku popełniane i bogactwo krajowe w ręku administratorów zagrzęzłe, ściśle ich dóbractw uczynił u siebie obliczenie i wyznaczył proporcję, wedle której na ratunek kraju udzielić się byli powinni. Zapowiedział, że zażąda obwołania niebezpieczeństwa ojczyzny, które doszło prawie do dyktatury, a ta do majątku i życia każdego. Tą drogą wycisnął przecie ogromne sumy, a na uzbrojenie nieodbitie potrzebne i temi zaraz rozporządził dla armii, co pod Marengo zwyciężyć miała.

Tymczasem, posiadłszy radę starszych, miał Bonaparte rozporządzenie od niej, aby rada pięciuset, od której doznawał oporu, do Saint-Cloud przeniosła posiedzenia swoje.

Wigilią przeniesienia tego, które się tajemnicą jeszcze być zdawało, kazano garnizonowi stanąć pod bronią i każdemu wojskowemu, co się znajdował w Paryżu, być tam przytomnym. Garnizon nie był wielki, ale oficerów liczba znaczna bardzo. Z większą częścią tych generałów, których imiona świetnie błyszczały, zdawało się, że Jourdan był frakcyi przeciwnej dowódcą. Na tę myśl naprowadzony zostałem z tego, co nam, jako dowódca w Turynie, później mówił.

Garnizon pod bronią. Gdy cały Paryż był zwykłym domowym swym

codziennym zajęciom oddany, samo tylko wojsko w ogrodzie Tuileries żadnej nie zapowiadało niespokojności.

Patrzyliśmy na zwycięzcę, co się spokojnie przed szeregami przechodził, nie przeglądając jego przyszłości. Pierwszy Sieyer, jeden z dyrektorów, jak prywatny człowiek przechadzał się z Bonapartem, naradzając się z godzinę może.

Dopiero adjutant wielkim głosem zawołał: — Barras w drodze do



Generał Bonaparte
(według portretu Guérina).

Belgii aresztowany na wyjeździe z Paryża, jak z nim dalej postąpić należy?! — Zdało się, iż rzecz poszła już w układy. — Puścić! — odpowiedział Bonaparte, tak, żeśmy to nawet słyszeć mogli.

Po tem rozkaz dzienny, że armia ma natychmiast do Saint-Cloud maszerować i że obecni oficerowie są wezwani.

Więc żeśmy ruszyli, pytając się wzajemnie, coby to znaczyć miało; gazeta wieczorna doniosła każdemu, że się tam władze prawodawcze na dzień następny przenoszą.

Nazajutrz, zrana, pałac Saint-Cloud był otoczony obozem; sala rady pięciuset miała i nas spokojnymi widzami. Lucyan Bonaparte był naówczas jej prezesem.

Przed dyskusją nawet już wrzawa i niepokój panowały między członkami. Bonaparte był na radzie starszych, gdzie rozwiązanie rady pięciuset i nową konstytucję konsularną układano. Po jej ukończeniu, Bonaparte z papierem w ręku szedł już jako pierwszy konsul do sali. Wrzawa tymczasem w sali aż do rozruchu dochodziła. Lucyan, dla uspokojenia, raz po raz, wedle formy, nakładał kapelusz, bo gdy prezes się nakrył, podług prawa, nikt ani mówić ani się ruszyć z miejsca legalnie nie mógł.

Nasze oczy ku drzwiom zwrócone, oczekiwały sceny.

Wszedł Bonaparte. Lecą ku niemu z wściekłością deputowani i Arena z puginałem w ręku.

I tu się biedny Polak zamieszał. Bawił w Paryżu niejaki pan Szalcer, Polak, utrzymywany w Warszawie hojnością niewiadomej nam osoby. On tu właśnie najbliżej się znalazł i piersią swoją Napoleona zastonił.

Bonaparte wchodził, piniąc się na ten napad, nie był krwi zimnej wcale, ale bębny już do szturmowania były i Murat na czele grenadyerów z bagnetami do sali leciał. Był to napad legalny; prezes bowiem, nakrywszy głowę, widząc izbę w takim rozruchu, zszedł dobrowolnie z krzesła do wchodzącej warty i z nią się połączył.

Deputowani łamali okna, wychodzące na otaczający izbę ogród. Każdy z nich swój płaszcz, ubranie obrzędowe i piórami ozdobioną czapkę ciskał, a sam szukał schronienia.

Wojsko pod bronią stojące nie ścigało nikogo. Rozrzucano tysiącami buletyn, opowiadający o zmianie rządu przez radę starszych ogłoszoną.

W Paryżu spokojnie to przyjęto. A nas powracających pytano tylko o część dramatyczną tej politycznej sceny. O poświęceniu się Szalcera żadne opisanie urzędowe nie wspomniało, choć o puginałach pisano wiele.

(Drzewiecki Józef, oficer legii włoskiej).



ZA TREMONA

(1799)



Lazarz Hoche
(według portretu Schöffera).



W sam dzień Nowego Roku 1799 zdobył Kniaziewicz Traette — a idąc nieustannie w przedniej straży, zagarnął pozostawioną w Mandragone stadninę królewską. Zdobyta, w połączeniu z końmi, pozostałymi po kawaleryi w Gaecie, spowodowała Eliasza Tremona do podniesienia od dawna już życzonego projektu sformowania legionu kawaleryi. Myśl ta trafiła do przekonania Dąbrowskiego oraz Kniaziewicza, którzy, za zgodą Championeta, przystąpili niezwłocznie do formacyi pułku jazdy. Broni tudzież rzędów na konie dostarczyły magazyny w Gaecie a z nadliczbowych oficerów oraz z legionistów, którzy dawniej służyli w kawaleryi, utworzono pierwsze kadry pułkowe. Szefami szwadronu mianowano Eliasza Tremona i Biernackiego, w liczbie zaś kapitanów znalazł się głośny Berek Joselowicz, dzielny żołnierz, który poległ, jako szef szwadronu w kampanii austriackiej pod Kockiem. Dowództwo świeżo utworzonego pułku jazdy, po dopełnieniu szeregów do cyfry tysiąca dwustu żołnierzy, poruczono generałowi Karwowskiemu.

Formacya jazdy nie przeszkadzała bynajmniej legionowi w uczestniczeniu w blokadzie Kapuy, a jakkolwiek dwór neapolitański umknął na

angielskich okrętach do Palermo, zdając stolicę swą na los Opatrzności, to jednak Championet przyjął zaofiarowany mu przez generała angielskiego Macka w dniu 11 stycznia rozejm, gdyż na tyłach jego armii poczęło znów szerzyć się powstanie górali, posiłkowane przez maruderów i rozbitków armii neapolitańskiej. Powstańcy niszczyli mosty, przecinali dowóz



Most Arcôle
(według obrazu H. Verneta).

żywności i prowadzili wojnę podjazdową przeciw Francuzom z powodzeniem, mając w swych szeregach doświadczonych bandytów i przemytników, obeznanych jak najdokładniej z miejscowością. Natomiast w otwartym polu nie zdołali stawić czoła wojskom francuskim, które kolejno zajmowały Sezze, Itri, Castiglione, Cascano i Castelforte, wypierając powstańców z tych miejscowości.

Właśnie legion stał w Sezzi, gdy nadeszła wiadomość, iż powstańcy

opanowali Traettę, gdzie niedawno nasi stali załogą i przychylnego doznali przyjęcia. Wówczas Tremo, zaufawszy zbyttno legalności włoskiej, wybrał się w kilkanaście koni do tego miasta, gdyż sądził, że perswazyą zdoła mieszkańców nakłonić do złożenia broni. Ufność swą przypłacił jednak męczeńską śmiercią. Udając bowiem chęć poddania, zwabili go powstańcy między domy miasta, gdzie pochwyconego z nienacka upieklili żywcem na wolnym ogniu, zawiesiwszy go na sznurze nad płonącym stołem szuwaru. Zginął również od kuli towarzyszący mu porucznik Vareli, a z dwudziestu legionistów sześciu tylko zdołało się przebić przez tłum buntowników, by przynieść swoim wieść hiobową o zgonie jednego z najgorętszych pomocników Dąbrowskiego w dziele tworzenia legionów. Zginął waleczny Tremo w dniu 9-go stycznia 1799 roku. Dopiero w dwa miesiące później dosięgła buntowników zasłużona kara. W drugiej połowie marca dwa pułki piechoty francuskiej wraz z pierwszym batalionem legionu podstąpiły pod Traettę. Mieszkańcy chcieli się zdać na łaskę i niełaskę, ale komendant wyprawy, generał Vactin, trzymając się ściśle otrzymanych rozkazów, zdobył miasto szturmem i w pień wyciął ludność wraz z buntownikami. Na gruzach zburzonych domostw umieszczono z jego rozkazu napis — «Tu była Traetta. Zbuntowała się przeciw wojsku francuskiemu i nie ma jej».

(Według opracowania Stanisława Pełowskiego).



OBRONA GDAŃSKA

(1813)



BONAPARTE W TULONIE
(według obrazu A. Le Dru).



Napoleon, uderzony pozycją Gdańska, przez naturę samą wzmo-
cnioną, oblaną rzekami Wisłą, Radaun i Motlau, opasaną górami
obronnymi, uznał za potrzebę wznieść to miejsce do pierwszego
rzędu fortec i nakazał był dzieła, których wykonanie potrzebowało wię-
kszego czasu, a które zaledwie rozpoczęte były.

Garnizon złożony był z tłumu żołnierzy różnych wojsk i broni, któ-
rzy, jako niedobitki wielkiej armii, tamże się schronili. Było ich, jak się
rzekło, 38.000 Francuzów, Niemców, Polaków, Włochów, Hiszpanów i in-
nych, lecz ledwo 10.000 zdatnych do boju. Wszystkie rowy, fosy zasy-
pane śniegiem, a wylewy rzek pokryte lodem na stóp kilka głębokim,
który koniecznie ruszyć trzeba było, żeby ochronić twierdzę od pierwszego
napadu. Roboty te przy nieustających mrozach, 28 stopni przenoszących,
były nad wszelki opis mozolne i prawie niepodobne. Musiano użyć sił
nadmierzających, brać się do sposobów różnych, rozpalania ogniów, utrzymy-
wania ustawicznej cyrkulacji wody, lecz najbardziej energii wodza samego,
generała Rapp, trzeba było, żeby przezwyciężyć tak niezwykle trudności.

Lubo nieprzyjaciół kroków oblężenia jeszcze był nie rozpoczął, wię-
kszy wróg, bo choroby epidemiczne, wskutku tylu trudów i niewygód,
nie tylko pomiędzy garnizonem, ale nawet i pomiędzy mieszkańcami, okro-

pne wyrządzały zniszczenia. Pomimo starań najusilniejszych gubernatora, niemożna było zaradzić temu nieszczęściu, gdyż i lekarstwa i świeże pożywienie z największą przychodziły trudnością.

Wkrótce też nastąpiła odwilż i nowe przygody. Nagle wezbrane rzeki niesłychany wyrządziły wylew. Wszystkie bardziej oddalone twierdze i dzieła, zalane i po części zniszczone zostały.

Wojska tymczasem nieprzyjacielskie nie umiały lub nie śmiały korzystać z naszego położenia i starały się bardziej intrygami podburzać wojska cudzoziemskie, składające garnizon. Robili wprawdzie przygotowania do szturmów, przysposabiali drabiny i niemi się odgrządzali.

Generał Rapp przedsięwziął silnie nań odpowiedzieć i sam zacząć kroki nieprzyjacielskie. Dnia 29 stycznia zatem jen. Grandjean ze czterema batalionami i dwoma działami artylerii lekkiej, polskiej, wyruszył ze Stries, i rozprószył otaczających to miejsce nieprzyjaciół; posunął się potem ku Nehrung i Bohusach, dokąd były świeże wojska nieprzyjacielskie zgromadzone.

Jenerał Detrées, dowodzący przednią strażą, wraz z pułkownikiem Heringiem zapuścił się nieco gwałtownie za nieprzyjacielem, w przemagającej sile ustawionym, i o mało otoczonym nie został: lecz jenerał Grandjean, ujrawszy jego położenie, z 8-ma batalionami 5-go, 10-go i 11-go pułku piechoty polskiej i 4-ma działami, wyprowadził go z niebezpieczeństwa i rozprószył nieprzyjaciół. Lecz w tejże samej chwili, oddział Neapolitańczyków, zostawiony w Langfuhr, obkoczonym został przez chmurę kozaków, popartych liczną piechotą. Niechybnieby poddać się musiał, gdyby go była odwaga podpułkownika Szembeka, na czele batalionu polskiego, z niebezpieczeństwa nie wyratowała.

Takowe utarczki zawsze ze stratą oblężających kończące się, odjęły im ochotę ponawiania ich.

Lecz tymczasem choroby, niewygody, brak zdrowej żywności, umniejszały siły oblężonych. Korzystając z tego położenia, nieprzyjacieli 5 marca ze świtem, ze znaczną siłą napadł na przednie straże. Pod Langfuhr dwa bataliony francuskie rozproszyły kolumny daleko mocniejsze i nawet trzy działa im zabrały.

Pod Altschotland mniej dobrze się powiodło generałowi Franceschi. Nieprzyjaciel, po trzykrotnym ataku, opanował Stolzenberg, i już mieli brać flank kolumn naszych, gdy wtem jen. Detrées i pułkownik Degenerro, śmiałym atakiem przymusili nieprzyjaciela do odwrotu.

Wtem generał Bachelu z 4 batalionami i artylerią konną polską, pod dowództwem kapitana Władysława Ostrowskiego, postępuje na wzgórze



General Rapp.
(według portretu Cibot'a).

Schidlitz, napada z boku na kolumny nieprzyjacielskie, łamie je i przymusza do schronienia się pomiędzy domostwa, lecz i stamtąd wyruszone ze stratą jednej armaty zdemontowanej, i przez sierżanta artylerii konnej polskiej, Szaszkiewicza, uprowadzonej, cofają się. Już była godzina trzecia z południa a sprzymierzone wojska jeszcze opanowywały Schottland i Ochre. Generał Rapp, nie mogąc ich z frontu atakować, przedsięwziął wziąć im tył, fałszywym napadem. Jakoż generał Bachelu z 5 batalio-

nami polskimi, ze 150 konnicy i baterią konną polską Wł. Ostrowskiego uskutečnił ten manewr jaknajpomyślniej.

Tenże kapitan Ostrowski, na pół strzału armatniego posunawszy swe działa, postępujące kolumny piechoty przymusił do odwrotu. Uciekający do miasta nieprzyjaciół napróżno w niem szukał schronienia. Walka przemogła na stronę naszą. Wszystkie nasze dawne pozycje zdobyte na nowo zostały. Nieprzyjaciół stracił w tym dniu do 2000 zabitych, 1200 niewolników i jedno działo. Oblężeni mieli do 600 ludzi zabitych i rannych, pomiędzy którymi generał Deviliers, pułkownik Egloffstein. Dzień ten był jednym z najchlubniejszych z całego oblężenia.

Pomimo tych korzyści, spostrzegł generał Rapp, ile potrzeba wymagała użyć nadal środków ostrożności, dotkliwych dla mieszkańców. I tak klasztor kapucynów, który nieprzyjacielowi ułatwił przystęp do Bischofsbergu musiał być zniesionym; podobnie wiele domów w Schottland, którego zdobycie tylu ludzi kosztowało. Choroby tymczasem nie ustawały, 6.000 ludzi padło ich ofiarą a 18.000 leżało po szpitalach: między pierwszymi był generał francuski. Żywności brakować zaczęło, nie było ani bydła, ani nawet słomy dla posłania chorym.

Wycieczka dla znalezienia tych niezbędnych potrzeb była jedynym środkiem. Generał Rapp przedsięwziął jej tentować, biorąc za cel Quadendorf, który miał we wszystko obfitować. Generał zatem Deviliers wyprawiony został, żeby zająć wzgórze Wonneberg i Pitzkendorf, mając prawe skrzydło oparte o Zigangenberg, a lewe poparte brygadą generała Hussion. W czasie gdy nieprzyjaciół odpowiadał na ten atak, generał Heudelet opanował dolinę Malzklau.

I tu generał Bachelu*szedł na czele z Polakami; w drugiej linii postępował generał Gault i formował rezerwę. Na próżno starali się sprzymierzeni wstrzymać kolumny, nim się formować zaczęli, napadnięci, rozsypani, ledwo iż w ucieczce ratunku szukać mogli. Polacy osobliwie ze wściekłością walczyli, nie dając im czasu do odwrotu. Zajadłość ich była taka, iż dobośz Matuzalik, w braku oręża, pałeczkami dobijał uciekających, którzy opuścili swe stanowiska, zostawiwszy w naszym ręku lazarety, zapasy w Schweiskopf i St. Albrecht.

Położenie garnizonu codziennie stawało się przykrzejszem przez brak wiadomości o głównych operacjach wojennych wielkiej armii, przez niedostatek żywności a osobliwie choroby, które, rozciągając się i do okolic, porwały do 12000 wojskowych i 5000 mieszkańców. Wojska sprzymierzone, korzystając z tego nieszczęścia, oczekując od chorób i nędzy, naszej zagłady, same wachały się stanowczo działać i poprzestawały na ustawicznych nocnych alarmach. Gubernator chcąc im dać odwet, wyprawiał porą nocną szefa batalionu Szembeka i Potockiego. Ci, udając się do Brentan, gdzie nieprzyjaciół utrzymywał sygnały nocne i redutę uzbrojoną, podstąpili pod nią; szturmem zdobyli, a pędząc nieprzyjaciela pod samą Oliwę, alarm w całym ich obozie wznieśli i sami bez wielkiej straty wrócili do miasta, zrządziwszy pomieszczenia niemałego w sztykach nieprzyjacielskich, które przez 28 godzin stały pod bronią.

Nietylko takimi wycieczkami umiał gubernator imponować oblegającym, lecz częstokroć na widok tychże występował garnizon z bronią nie nabitą, odbywał lustracje i rewie, i nigdy napadany nie był.

Gdy jednakowoż żywności coraz bardziej brakowało, gdyż nieprzyjaciół ją z pobliskich miejsc zabierał, generał Rapp przedsięwziął wyprawę na Nehrung. 1.200 ludzi wyborowych, po większej części Polaków, 350 koni i 6 armat artylerii konnej polskiej, zawsze Wł. Ostrowskiego, pod rozkazami generała Bachelu podstąpiło pod Heubude.

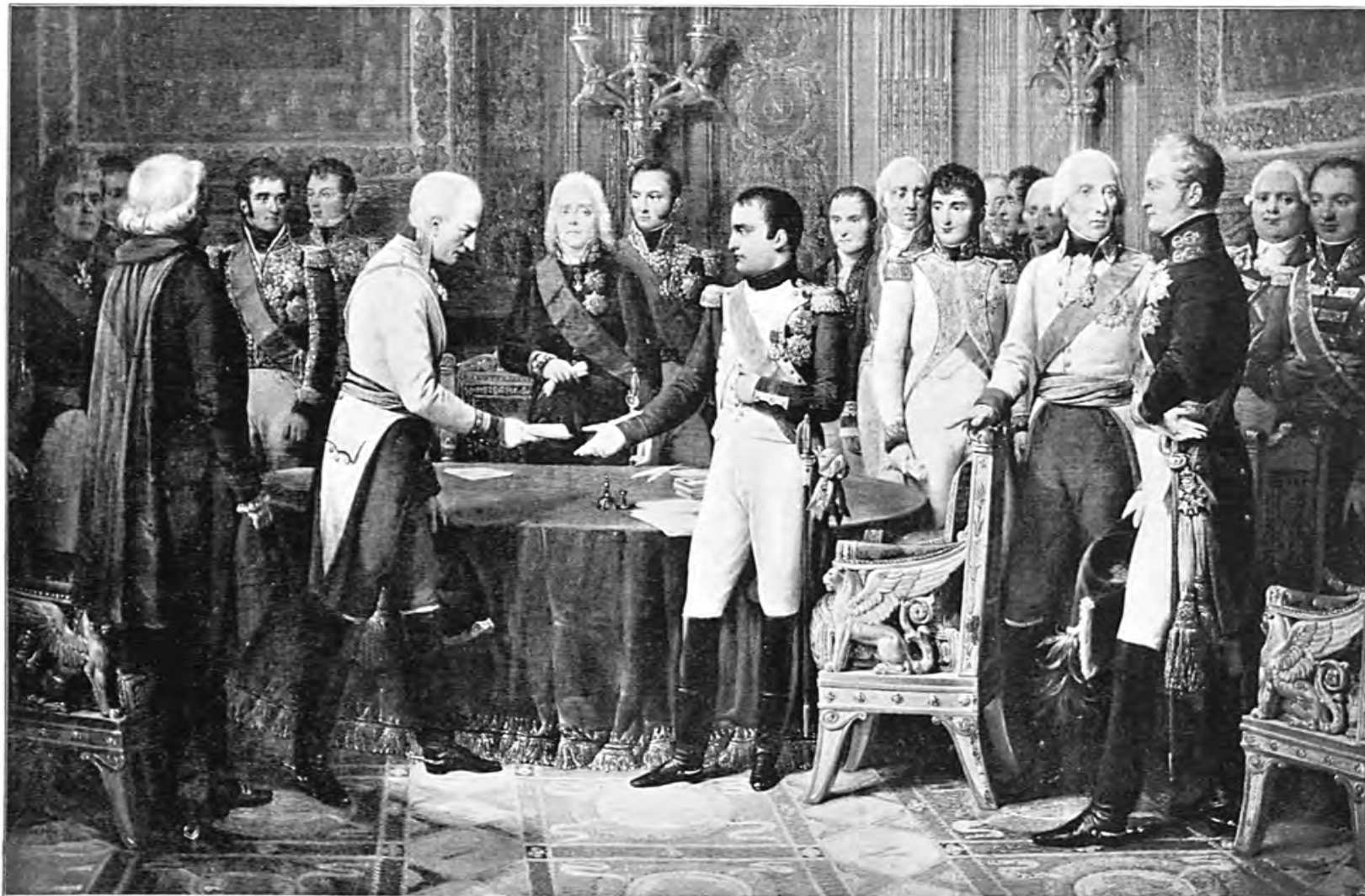
Pięć tysięcy wojska nieprzyjacielskiego broniło tego punktu, lecz z taką natarczywością napadnięci zostali, iż czasu nie mając, zostawili swoje działa; kartaczami zaś w nieład wprawieni, utracili całą linię tyralierów i wielu rannych, między którymi był dowódzca ich kawalerii, reszta w rozsypkę poszła aż do Wolden.

(Ostrowski Antoni).



SZWOLEŻERZY W HISZPANII

(1810)



NAPOLEON NA ZJEŹDZIE ERFURCKIM (1808) PRZYJMUJE POSŁA AUSTRYACKIEGO BARONA VINCENT
(według obrazu N. Gove).



Weszliśmy zatem do Hiszpanii mniej więcej z początkiem r. 1810 staliśmy znowu niejaki czas w Salvatierra, w górzystym położeniu, na drodze z Vittoryi do Pampeluny, zawsze pod komendą szefa szwadronu Mameluków, pułkownika Kirmann. Kapitan Szeptycki, który był dostąpił tego stopnia i dowództwa kompanii 5-tej po Stanisławie Gorajskim pod Wiedniem, oznajmił mi, że ja istotnie byłem przedstawiony cesarzowi na kapitana, ale że to przedstawienie wiele nominacyj obejmujące, jeszcze podpisane nie zostało. Konsystencya nasza w Salvatierra przedłużyła się, bo istotnie w górach Pirenejskich trudno było o tej porze roku jakie ruchy przedsiębrać. Śniegi zalegały całą przestrzeń naokoło, konie musiały być szeroko rozkwaterowane, bo nie było innych stajen, tylko szczupłe po domach pojedynczych, które, chociaż po większej części piętrowe i z ciosowego kamienia, nie dostarczały jednak wygody w zimie ani dla koni ani dla ludzi — były to albowiem budynki okazalsze nad zwykle wiejskie, opatrzone herbami nad wchodowymi drzwiami, ale bez okien, okiennicami tylko zaopatrzone, a jeżeli gdzieś były okna, to w nich zamiast szkła, szyby z papieru oliwą napuszczanego. Urządzenie takie może być bardzo stósowne w czasie lata ale w zimie okiennice zawiane śniegiem, a domy bez kominów, tem mniej pieców dostarczają bardzo niepokojących kwater, do tego jednak dodać

wypada, że w krajach tamtejszych, na cały dom, bywa tylko jedno ognisko, to jest obszerna kuchnia na poziomie, nad którą wisi kocioł na ciepłą wodę na łańcuchu; ognisko to otoczone jest z trzech stron ławkami, na których cała rodzina z gośćmi przesiaduje naokoło ognia czyli kuchni, przed którą się jakie takie pieczone na mechanicznym przyrządzeniu różna obraca. Ognisko domowe jest patryarchalnym środkiem zebrania rodziny, nie różniące się od prostoty wieśniaków, pomimo herbu i tytułu hidalgo (szlachcic), który w północnej Hiszpanii w prowincjach: Asturya, Alava, Guipuscoa, Biskaja, jest niemal powszechny; w czasach albowiem, kiedy Maurowie zawojowali większą część Hiszpanii, nie mogli się nigdy dostać w te północne strony, dlatego te prowincje mają swoje właściwe przywileje i mnóstwo dawnego rycerstwa uszlachconego, jak u nas w Polsce, tak, że niemal nad każdym domem jest herb wyryty.

W Salvatierra staliśmy ciągle pod bezpośrednim dowództwem pułkownika Kirmann, i z tego miejsca mniej więcej z nim jak i bez niego, odbywaliśmy różne wyprawy na poskromienie, snujących się coraz więcej po kraju, guerillasów, których my nazwaliśmy brygantami. Nim się rozstanę na długo z szefem Kirmannem i z jego Mamelukami, nie mogę pominąć anegdoty, którą miałem w jednej ekspedycji odbytej pod tym komendantem Alzarczykiem z jego podwładnymi z Oryentu. Przenocowawszy w jakiejś wsi hiszpańskiej wspólnie, gdy zbieraliśmy się do wy marszu, nadbiegło kilku Hiszpanów zdesperowanych do siedzącego już na koniu szefa Kirmanna, żaląc się z płaczem, że zostali od Polaków zrabowani; oficerowie Mameluków, Abdala i Soliman, podburzyli swego dowódcę przeciwko szwoleżerom polskim; ten kazał mnie przywołać i, pokazując mi skarżących Hiszpanów, rzekł do mnie: «*zest les Bulinais foyez pien!*» — ja na to zapytuję się Hiszpanów: po czem poznają że to Polacy ich zrabowali?... — «Bo ciągle nawoływali się: Polaco! Polaco! — A jakże byli ubrani? odrzekłem ja — «*Tenian calzones muy largos encarnados*» — mieli szarawary bardzo szerokie, czerwone. — Tu sam Kirmann nie mógł się wstrzymać od śmiechu, i obracając się do swoich Solimana i Abdali, rzekł do nich po swojemu: «*zest les Mamelik foyez pien!*» — a czytelnicy, którym tę przygodę z Hiszpanami przekazuję, po-

znają, że i Turcy i Egipcjanie umieją dyplomatyzować przeciwko Polakom, kiedy im samolubny interes tak każe.

Z początkiem wiosny, to jest kiedy śniegi ustępując, uwalniały komunikację w Pirenejach, oddzieliliśmy się od strzelców konnych i od bezpośredniego dowództwa szefa Mameluków Kirmanna; cały nasz oddział dotąd, jak wyżej powiedziałem, nie więcej jak 150 koni wynoszący,



Jan Junot, książę Abrantu
(według obrazu Raverota).

udał się pod komendą kapitana Wincentego Szeptyckiego do wsi Granon (Granion), na drodze z Vittoryi do S. Domingo de la Calzada, tam czekaliśmy na przybycie pułkownika Delaitre, ćwicząc się przez ten czas w manewrach i mustrze z porożkami.

Nie mogę wyraźnie oznaczyć w jakiej liczbie i pod którymi datami oddziały naszego pułku z Francji przybywały. Kolega Mikułowski podaje mi, że on dopiero z Saint Quentin wyprawiony był przez marszałka

Bessiéres do Paryża i Chantilly z rozkazem wysłania nowego oddziału naszego do Hiszpanii; ale że cesarz dopiero 27-go kwietnia 1810 roku udał się z cesarzową Maryą Ludwiką do Saint-Quentin, a kolega Mikułowski podaje, że udał się do Hiszpanii pod komendą kapitana Jerzmanowskiego, i zastał już w Hiszpanii pułkownika Delaitra, więc z tego wszystkiego wynika, że pułkownik Delaitre, z oddziałem nowym zaraz z wiosny przybył do Hiszpanii, jakoż z tego czasu pamiętam kilka wypraw do których należałem: do Logrono, do S. Domingo de la Calzada, a najdalsza do Calahorra, sławnego niegdyś Calagurris przez zaciętą Rzymianom obronę. W tym więc z dawna patryotycznem mieście zdarzyła mi się scena pocieszna; byłem proszony na tertulią, tak Hiszpanie nazywają wieczorną zabawę, gdzie się rozrywają rozmową, grą w karty (naypes), muzyką, częstują czekoladą (chocolate) wodą con azucar rosado, to jest z lekkim biszkoptem z cukru, olejkiem różanym zaprawnym i t. d. Były damy, kawalerów mało, grano na gitarach i śpiewano; koledzy moi i ja byliśmy z naprzykszeniem proszeni, żeby śpiewać; wymawialiśmy się, że nie śpiewamy, tem mniej gramy na gitarze; gdy to nic nie pomagało, więc ja powiedziałem: «że chyba zaśpiewam co po hiszpańsku». — Ach jak to dobrze! — całe zgromadzenie nadstawia ucha a ja zaczynam.

*Puesque sois Espagnoles valientes — es preciso lo dars a intender
Al infame Opressor del Europa — que sus leyes os quizó imponer,
A las armas corred patriotas — a lidiar, morir o vencer —
Guerra siempre al infame tirano — Odio eterno al impio Frances.*

Te słowa znaczą po polsku:

Kiedy Hiszpanie jesteście waleczni — trzeba żebyście to dali poznać.
Niegodziwemu ciemieżcy Europy — co swe prawa nam chciał narzucić.
Do broni spieszcie patryoci — walczyć, umierać lub zwyciężyć. —
Wojna zawsze niegodziwemu tyranowi! nienawiść wieczna bezbożnemu Francuzowi! —

Można sobie wystawić, jaki popłoch wszczął się w zgromadzeniu... niechcieli mi dać dokończyć zwrotki... «Ach skądże to pan takie okropności powziąłeś?» i t. p. Ja na to — «Widzicie, panie, nie trzeba nas, nieumiejących śpiewać, na śpiewanie narażać... zresztą, co do treści tego

śpiewu, i wielu marszów waszych, jakże chcecie żeby nam były obce, kiedy po tylu dziennikach hiszpańskich je rozrzucone czytamy, równie jak i odezwę do naszego pułku: «Polacy! porzućcie barwy wasze, karmazyn i białe, honoru i bez plamy. Wy, co sami wolności pozbawieni, nacieracie obcy kraj, katolicki jak wasz, żeby go w niewolę pogrążyć?». Niechże panie będą spokojne; jest cokolwiek prawdy w tej odezwie narodu hiszpańskiego do nas, Polaków, my nie jesteśmy Francuzi, możecie panie i przy nas śpiewać wasze patryotyczne pieśni». My zaś ten epizod tu przytaczamy, dla dania poznać czytelnikom naszym choć jedną piosnkę patryotyczną, jakimi się wygłaszał duch Hiszpanów przeciwko mocarzowi, który się względem Hiszpanii tak niepojętym sposobem zapomniał.

Calahorra, która leży nad Ebrem, jest miejscem najdalszym na południowy wschód Hiszpanii, do którego podjazdy naszego pułku dosięgały; czynności nasze były zawsze więcej ku północno-zachodniej stronie i ku Portugalii skierowane. Od Calahorry aż w okolice Leonu przechodziliśmy w różnych ekspedycjach, większych i mniejszych, wiele miejsc, których pamięcią objąć nie mogę, wszędzie wywiadując się o gueryllasów i podjazdami ich spędzając, albowiem ta wojna drobna ze strony Hiszpanów raz wraz się wzmacniała i wszelkie ruchy większe wojsk francuskich tamowała. Najdalszym, w tym samym co Calahorra kierunku, był dla nas posterunek Riva-belloso, miejsce pięknie położone nad Ebrem, godne swego nazwiska, w któremśmy kilka dni stali, mianowicie z kapitanem Jerzmanowskim, ale którego na mapie znaleźć nie mogę, — to tylko pamiętam, żeśmy, złączeni pod dowództwem pułkownika Delaitre, stanęli wkrótce na niejaki czas w miasteczku Bello-rado, które, pomimo swego nazwiska, położone było nad rzeczką wcale małą.

Tuśmy się połączyli z oddziałami z Francji przybyłymi kapitana Jerzmanowskiego i szefa szwadronu Stokowskiego, z strzelcami konnymi gwardyi, którymi dowodził najstarszy szef szwadronu Martin, i z Mamelukami, jak już wiadomo, pod szefem Kirmannem. — Oddział naszego pułku tym sposobem wynosił do 400 koni, a cały regiment pochodowy pułkownika Delaitre więcej jak koni 800.

Wypocząwszy i zabrawszy się w Bello-rado, gdy już generał Dor-

senne był objął komendę całego korpusu gwardyi i północnej Hiszpanii, w głównej swej kwaterze w Burgos, cała lekka kawaleria gwardyi pociągnęła do miasteczka Castroxeriz (Kastrocheryz), blisko rzeki Pisnergi, i w tem mieście, oraz w okolicy się rozłożyła.

Ten ruch odbywał się w końcu maja lub początkach czerwca 1810 r.

Podtenczas znaczny oddział naszego pułku towarzyszył Napoleonowi i jego nowej małżonce do Paryża przez St. Quentin, Cambrai, Bruxellę, Antwerpię i inne miasta i porty północne; podobne wycieczki dworu powtarzały się przez cały rok 1810.

Nim generał Dorsenne zajął swoją główną kwaterę, miasto Burgos, był w niem i okolicznej prowincyi gubernatorem generał dywizyi Solignac. Nad brzegiem rzeki Arlanzon, w tych samych miejscach, gdzie się biliśmy 10-go listopada 1808 r., zastaliśmy nowy spacer, założony przez może zbyt żarliwego czasowego władcę dawnej stolicy Kastylii, który, zapominając o nietrwałości rzeczy i spraw ludzkich, wpadł na myśl przeniesienia nad rwisty brzeg rzeki Arlanzon, na upiększenie francuskiej promenady zwłok bohaterskich Cyda i Ximeny (Chimeny) do umyślnie dość gustownie, ale tak niestosownie wymurowanego nagrobku, a to wszystko — jak się zdaje, — jedynie dla tego, żeby w trzech językach podać potomności, że generał dywizyi Solignac, kości tak drogie pamięci Hiszpanów, z miejsca, gdzie nie dość ozdobnie przechowane były, sprowadził etc. etc.

O tę uczynność patryoci hiszpańscy nietylko pana generała francuskiego nie prosili, ale boleśnie byli dotknięci tem świętokradztwem, którego się dopuścił na tak drogiej pamiątce bohatera Don Ruiz Dias de Vivar, przezwanego od Maurów el Cid, a od Hiszpanów Campeador, co jedno i drugie znaczy zwycięzcę. Mnie samego, choć nie jestem Hiszpanem mocno obeszło to zarożumienie cudzoziemca, który poważne zwłoki dwóch osób narodowi tak drogie jak Cyd i Ximena, od roku 1099 spoczywające razem w świątobliwym miejscu w mieście S. Pedro de Cardena, przeniósł nad brzeg rwącego potoku i zuchwale naraził może na zniszczenie. Sądzę, że Hiszpanie, jak tylko się oswobodzili od jarzma francuskiego, z pobożną procesyą, znowu zwłoki Cyda i Ximeny na miejsce dawnego spoczynku odprowadzili.

Korpus gwardyi pod dowództwem generała dywizyi Dorsenne, pułkownika grenadyerów pieszych gwardyi, wynosił, według dzieła p. Thiersa, od 15 do 18-tu tysięcy, główną jego kwaterą było, jak powiedzieliśmy, miasto Burgos, ale Napoleon chciał, żeby ten korpus gwardyi stał w rezerwie na wypadek jego przybycia, a tymczasem, żeby utrzymywał spo-



Suchet książę Albufery
(według portretu Guerina).

kojność na trasie madryckim, od granic Francji aż do Valladolid, gdzie była główna kwatera generała dywizyi Kellermanna, syna marszałka, sławnego niegdyś natarciem jazdy pod Marengo, które się dzielnie do tamecznego zwycięstwa przyczyniło. Oba ci generałowie zajęci byli ciągle poskromieniem, bo więcej powiedzieć nie można, gueryllasów, którychśmy napróżno przezywali tylko brygantami. Od Bajonny do Madrytu, nietylko żaden pojedynczy żołnierz, ale nawet mały oddział, nie mógł się przemknąć

bez napaści; wystawić sobie można, jak trudną i kosztowną była komunikacja kuryerów; według wyrazów generała Kellermana do generała Berthier, księcia de, Neufchatel, majora generalnego, trzeba by «głowy i ręki Herkulesa» żeby tej wojnie hiszpańskiej dać radę! — To mi przypomina konwersację jednego ministra hiszpańskiego z Napoleonem przed r. 1808, gdy mu Napoleon w złym humorze oświadczył: «że w razie doznanych trudności rządu hiszpańskiego, gotów jest wyprawić do Hiszpanii korpus 30 tysięcy wojska». — Tenże Hiszpan mu odrzekł: «Wcm, tak jesteś poważany przez naród mój, że i jednego żołnierza nie potrzebujesz użyć; dość jest pisma, tłumacza woli jego; ale przestrzegam wcm, że gdybyś chciał, wbrew woli i praw narodu, narzucić mu jakie jarzmo, i 300.000 wojsk jego na to nie wystarczy». Były to słowa wieszczce, które Napoleon lekceważył, bo nie znał narodu hiszpańskiego; jakoż, prawdę mówiąc, żadnego narodu nie znał, prócz może Francuzów i Włochów. Owo zgoła, wracając się do stanu Hiszpanii w roku 1810, kraj ten, a mianowicie te okolice, w których nasze oddziały konsystowały i były czynne, był nieustannie przebiegany przez dowódców partyzanckich, hiszpańskich, jako to: El Pastor, Polier czyli Marquesito, Longa, Marino, El Cura, Amor, Empecinado, Mina, Don Julian i wielu innych. — Raz wraz z naszej strony chodziły oddziały przeciwko tym, tak zwanym, brygantom, którzy przynajmniej z kawaleryi bali się tylko Polaków, tak dalece, że ich wcale nie, albo rzadko zaczepiali; dla tego też nie było marszałka lub generała starszego, któryby nie chciał mieć przy sobie większego lub mniejszego oddziału ułanów nadwiślańskich, a ci z generałów, którzy przejeżdżali z Francji na Valladolid, albo na Valladolid do Francji wracali, starali się o eskortę naszego pułku. Generał Dorsenne, lokując regiment marszowy pułkownika naszego Delaitre w Castroxeriz, miał zamiar zasłonić swoją główną kwaterę Burgos od strony zachodnio-północnej, od źródeł rzeki Pisnergi, która płynie od Asturyi do Valladolid, jakoż w te strony północne odbywaliśmy najwięcej podjazdów. Ponieważ cały marszowy regiment lekkiej jazdy gwardyi nie mógł się zrazu pomieścić w Castroxeriz, więc znaczna część oddziałów z każdej broni, zajęły czasowo wieś Sasamon dość znaczną, ale której nie znajduję na mapie Hiszpanii. Pułkownik Delaitre, założywszy główną kwaterę swoją

w Castroxeriz, gdzie także powołaniem jego było ściągnąć z okolic w jak najobszerniejszym ile możliwości obszarze podatki i liwerunki, umyślił postanowić komendanta placu, któryby mu w tem zatrudnieniu pomagał; a jako daleko lepszy Francuz, niż gros-major pułku polskiego, powołał na ten



Bitwa pod Somo-Sierra (1808)
(według obrazu H. Verneta).

niby urząd rodaka swego kapitana od szaserów gwardyi, Caire, wojskowego i oficera nierównie starszego od nas wszystkich Polaków, ale który, zwyczajem Francuzów, nie umiał ani słowa po hiszpańsku. Nie szło to jakoś, i pułkownik Delaitre, zamiast oczekiwanej pomocy, miał tylko kłopot i niecierpliwił się. Skończyło się na tem, że mnie zaszczycił swoim za-

ufaniem, tytułem komendanta placu de Castroxeriz y de Sus Alrededores, t. j. miasteczka i jego okolic.

Ale ponieważ gueryllasy i znaczniejsze nawet siły zbrojne Hiszpanów, to zbliżały się, to zagrażały, więc odebraliśmy rozkaz przemienienia klasztoru, leżącego u stóp pagórka, na którym stoi w długiej linii miasto, w koszary ufortyfikowane ile możności; klasztor ten był przez zakonników opuszczony, ale kościół, choć podrujnowany, istniał; przedsięwzięto więc z wszelką możliwą przyzwoitością oswobodzić kościół z ruchomości świątobliwych, jako to: ołtarzów, konfesyonałów, organów i t. p., co lubo nie odbyło się bez trudności i kłopotliwych zabiegów, to jednak, w krótkim ile możności czasie, kościół i dolne korytarze klasztoru po większej części pomieściły konie, a cele i korytarze piętrowe zamienione zostały na koszary dla ludzi.

Ponieważ w mieście Castroxeriz znajduje się dawny starożytny zamek hrabiów de Castro i wspaniała kolegiata, opatrzona kilku kanonikami, więc zamiana przybytku, poświęconego służbie bożej, na użytek wojenny, działa się tu z ciągłym udziałem duchowieństwa.

Cały obszar zabudowania klasztornego z kościołem okolonv został częstokołem czyli palisadą, tak, że między kołami były luki czyli naturalne strzelnice, któremi jazda nasza, zbrojna w karabinki, mogłaby się w razie napadu bronić, choć do czasu, ogniem strzelby. W obrębie tym był dzień i noc oddział konny gotowy do wycieczki. Służbowy kapitan i oficerowie mieli kwatery w celach. Refektarz był zamieniony w izbę dla chorych, a niektóre korytarze i obszerniejsze stancje urządzone zostały jako koszary z naśladowaniem możliwem école militaire w Paryżu i Chantilly, dla szaserów i naszych, z tą różnicą, że zamiast materaców, były sienniki, zamiast dostatku stolicy Francyi, chędogie ubóstwo wojskowe; korytarze i izby nosiły według broni napisy imion poległych współtowarzyszów, których pamięć była drogą.

Gdy te koszary zostały ukończone, sprowadził pułkownik Delaitre cały pułk swego dowództwa do siebie, i ulokował stósownie, to jest: wszystkie konie ile możności w rzeczonych koszarach, a kwatery oficerów skoncentrowane; ponieważ zaś miasteczko składało się, jakżeśmy już

powiedzieli, z jednej długiej ulicy, więc u dwóch końców tejże stały mocne pikiety konne, strzegące we dnie i w nocy od niespodziewanego napadu.

Taki jest obraz naszego kilkomiesięcznego pobytu w Castroxeriz; wyprawy większe z rozporządzenia generała Dorsenne, mniejsze z polecenia pułkownika Delaitre, w miarę dochodzących go wieści o partyzantach hiszpańskich, a w miejscu bezustanne czuwanie, jak to Francuzi mówią: *sur le qui vive*.

Oto jest obrazek tego naszego położenia: blisko płynęła rzeka Pi-snerga, sławiona w poezjach hiszpańskich z swego wdzięcznego koryta; gorąca letnie zachęcały do użycia kąpeli; za daleko płynął ten strumień, żeby żołnierze szeregowi mogli z niego korzystać, prócz podbradzania koni z należytą eskortą; my zaś, oficerowie, za opowiedzeniem się starszym, naprzemian używaliśmy kąpeli konno, to jest, że nasi służący trzymali nam konie u brzegu, żeby w razie napadu choć bez munduru, w stanie Hypocentaurów, mogliśmy uchodzić do miasta.

Castroxeriz jest dawną bardzo, w mgle czasów ginącą pamiątką starożytności; na górze, pod którą w wieniec rozłożone jest miasto, znajduje się płaszczyna dość obszerna, starymi wałami jeszcze widnymi okopana; twierdzą, że tu Juliusz Cezar obozował, że stąd pochodzi miano: Castroxeriz, jakoby w zepsuciu: *Castrum Caesaris*. W każdym razie jest tu poniżej góry Cezara, ale w miejscu dość podwyższonem, zamek czyli pałac z czasów bliższych, ale w stanie spustoszenia, znacznego rozmiaru i z obszernym dziedzińcem, w obrębie którego odbywały się nasze zaciągania warty, parady i inne wojskowe zgromadzenia; zamek zaś zamieniliśmy po części w areszt; ponieważ jednym z zatrudnień naszej komendy było exekwować podatki i liwerunki, przeto można się domysleć, ile ta operacja była trudną, pracowitą dla naszych żołnierzy i koni, a połączoną z wielkim i niepotrzebnym rygiorem.

Gdy więc okazało się, że wysyłane na egzekucye oddziały, wracały z drobnym pieniężnym okupem, ale bez istotnego uiszczenia podatków i bez liwerunków, więc jedną i drugą salę zamkową urządzono na areszt dla Hiszpanów znaczniejszych, jak się to mówi: *honoratiores*. Gdy z wio-

sek okolicznych nie wpływały podatki i kontrybucje zboża i furazów, posprowadzailiśmy z każdej wsi: plebana, szlachcica, jeżeli jaki był, alkałdego czyli wójta, corregidora czyli podwójciego, słowem osoby znaczniejsze, jakich można było w której wsi dostać; tych osadzono w tych arestowych celach, gdzie starano się z miasta dostarczać im wygod, wiktuałów, póki ich współsąsiedzi i przyjaciele nie zaopatrzyli, a czego im nasze warty nie broniły. Ci, tak aresztowani zakładnicy, póty zostawali w tych salach zamku hrabiów de Castro, póki ich wsie nie wykupiły, dostarczeniem należności rozpisanych z pomnożeniem egzekutnego dla oddziałów żołnierzy, tą przykrą dla nas służbą trudniących się.

Z początku poczytywali sobie Hiszpanie, zwłaszcza księża, te militarne aresztowania za wielki wstyd i nieszczęście; ale jak się przekonali, że to dopełniano, prawda z nieprzełomnym rygorem — ale zresztą z obejściem się ludzkim, nawet z pewną grzecznością; gdy pojęli perswazyą: że to się dzieje z konieczności, i że lepiej było ich na krótki czas aresztować, niżeli wsie i dobytki ich na rabunek wojskowych narażać; tak się ci zakładnicy i wsie okoliczne przyzwyczaiły do tego systemu surowej bezstronności, że wszelkie zaległości i bieżące należytości, nietylko zostały pouiszczane, ale za wypuszczeniem zakładników z lekkiego aresztu, odtąd regularnie wpływały, tak dalece, że sale z aresztantów wypróżnione, za staraniem znakomitego naszego kolegi, porucznika Józefa Hofmana, Lwowianina niepospolitej nauki, pełniącego przy pułkowniku Delaitre urząd oficera płatnika i jakoby szefa sztabu, te sale, miejsce aresztów, zamienione zostały w sale balowe! Nie było tam sprzętów, elegancyi i wygody, ale ławki naokoło murów oczyszczonych, posadzki ceglane wygładzone, oświetlenie w zawieszonych improwizowanych pająkach, strojnych w wieńce i kwiaty, równie jak i ściany; kapela z trębaczów szaserskich i naszych, między którymi byli i wirtuozi na różnych instrumentach. Otwarcie tych sal balowych, które nic podobnego od wieków nie pamiętały, był obchód imienin Karola Delaitre, pułkownika, transparentem przez czcigodnego Hofmana ozdobiony. Tego dnia był nacisk wielki nietylko matron i dziewcz hiszpańskich, ale i obywateli z miasta i okolic, na uczczenie pułkownika, komendanta przybyłych, którego rządy

polskie, acz surowe, nadto korzystnie odbijały od rządów gdzieindziej przez Hiszpanów doznawanych.

Odtąd kiedy sale były już wolne od aresztantów a wyczyszczone i odświeżone, bywały częste zabawy taneczne, niedzielne i świąteczne, na które Hiszpanki, zwłaszcza młode, chętnie przybywały, przekładając nad Francuzów Polaków, którzy lepiej pojmowali język hiszpański, i młodszy byli od weteranów gwardyi Napoleona. Pomiędzy gośćmi bywali i księża; jednego muszę tu dla osobliwości wymienić: był to ksiądz ze wsi Sasamon, którego rzemiosłem zdawało się być tancmistrzowstwo. Różnił się od współksięży strojem zupełnie świeckim, nosząc frak barwy tabaczkowej: do obu tydek przyczepiał dwa naprzeciw sobie sterczące noże (*cuchillos*), porozkładał jaja w pewnych od siebie rozmiarach jakby w szachownicę, zawiązał sobie oczy i tańczył po hiszpańsku z kastanietami (*castanuelas*), dając skoki gwałtowne, tak zwane *entrechats*, żadnego jaja nie zgniótł i nie okaleczył się. Był to taniec sztuczny, ale bez żadnego wdzięku; tu się przytacza ten szczegół, jako odznaczający duchowieństwo krajów południowych. Tam, gdzie jest księży bez liku, muszą być i nadużycia, w naszej Polsce nie ważyłby się duchowny popisywać takim kuglarstwem skoczka.

Co do tańców hiszpańskich, te lubo mają wiele wdzięku, przypisać to wszakże należy kobietom, bo tancerze mężczyźni, zwłaszcza na teatrze, więcej ubiegają się za sztuczną, jak za wdziękiem.



Jenerałowie Dorsenne w Burgos, Kellerman w Valladolid, dawali częste bale, zwłaszcza obchodząc różne uroczystości dworskie i polityczne, na które oficerowie nasi, według wyboru pułkownika Delaitre, jeździli. Nie pamiętam, która z dam pełniła obowiązek gospodyni balów jenerała Kellermana w Valladolid, ale mi się zdaje, że Hiszpanka, margrabina San Felices; zaś w Burgos przyjmowała pani jenerałowa Dorsenne, Paryżanka, z dworu cesarskiego, wspaniała i pełna wdzięku osoba, zachęcała ona towarzystwo do wesołości i zabawy, lecz mężczyźni hiszpańscy unikali ile możliwości tych balów, składających się wprawdzie z licznego towarzystwa pań hiszpańskich z córkami, ale tancerze byli prawie wyłącznie wojskowi.

Ponieważ jenerał Dorsenne, o ile pamiętam, prócz nas, nie miał innej kawalerii, zatem często, żeby nie powiedzieć, bezprzestannie, nakazywał większe i mniejsze wyprawy w różne strony, czasem z piechotą pod dowództwem jakiego jenerała lub wyższego oficera od piechoty, czasem tylko z samej jazdy. Nieraz oddalał się z Castroxeris na podobne wyprawy sam pułkownik Delaitre; ja nie pamiętam, żebym z Castroxeriz był brał udział w takiej wyprawie, jak raz ze szefem szwadronu Stokowskim, aż do miasta Palencia, gdzie wszelako żadnego oddziału hiszpańskiego nie natrafiliśmy, bo od naszych proporców z daleka widocznych, Hiszpanie radzi się usuwali. Kiedy pułkownik Delaitre opuszczał Castroxeriz, to ja musiałem zostawać na jego miejscu, bo na mnie polegał zarząd administracyjny tego miasta i jego okręgu.

Między wyprawami, które pamiętam, zaszła bitwa pod tem samem Bello-rado, w któremieśmy, jak się wyżej mówiło, dość znaczny odbyli spoczynek; odznaczył się tam kapitan Szeptycki pod komendą generała piechoty Roguet, i był o tej potyczce artykuł w ówczesnym Monitorze.

W czasie tym różne przychodziły urządzenia króla Józefa za wcześnie, obrażające zwyczaje narodu; między innemi zakaz chowania zmarłych w kościelnych grobach, i polecenie zakładania cmentarzów w polu. Zdarzyło się, że jakiś obywatel poważniejszy umarł, przyszła deputacya do mnie z prośbą, żeby tę szanowną osobę pozwolono było pochować w kościele, ofiarując za to zapłatę, jakiejby żądano. Ja, który nie pojmo-

wałem użyteczności takich reform, niepokojących lud hiszpański, pozwoliłem bez trudności i bez opłaty... odeszła deputacja uradowana, a gdy się potem ukazał pułkownik Delaitre, idący w niedzielę do kościoła, otoczony swym sztabem, towarzyszyły mu orszaki muzykantów i tańczących z bukietami i kastanietami.



Napoleon w Madrycie
(według obrazu Karola Vernet).

Jednakże nabożeństwa nasze nie podobały się Hiszpanom starszym, a zwłaszcza kanonikom, bo do mszy asystował oddział wojska z bronią, i lubo podczas podniesienia prezentowano broń, wszelako żołnierze zachowywali czapki na głowie, a oficer komenderujący paradą kościelną odzywał się głośno po kościele, co było, według zwyczajów wojska francuskiego; prócz tego w korpusie oficerów, towarzyszącym pułkownikowi,

zasiadającemu w krześle przed wielkim ołtarzem, znajdowali się i Mamelucy; z tych powodów Hiszpanie zwali ten obrząd: misa politica.

Miałem więc takie zdarzenie i to z księdzem, u którego sam stałem kwaterą: przyszlismy do kościoła o godzinie naznaczonej, z paradą kościelną i pułkownikiem na czele; nie zastaliśmy księdza. Na zapytanie, na kogo kolej mieć mszę? odpowiadają: że kanonik, u którego ja stoję — posyłam do niego, kazał odpowiedzieć: «że chory i leży». — Delaitre się rozgniewał, wyszedł z kościoła z całą paradą kościelną, i polecił mi ten wypadek sprawdzić, a w razie zmyślonej choroby ukarać. — Ja, wiedząc i widząc, że ksiądz acz stary jest zdrowy, ale nie chce odprawiać nabożeństwa, które uważał tylko za polityczne, kazałem mu w łóżku leżeć 24 godzin przynajmniej, żeby sił nabrać, a dostawiłem mu dwóch żołnierzy, coby siedzieli przy nim i pilnowali, żeby łóżka nie opuszczał; ci zaś zmieniali się co godzinę, a imć ksiądz płacił każdemu po pesecie (peceta wartość i pierwszy typ cwancygiera). Po tej kuracyi ksiądz kanonik już nie chorował i mszę świętą odprawiał, gdy kolej na niego przychodziła.

Jakkolwiek powszechność hiszpańska była przeciwko Napoleonowi, a w skutku i przeciwko Francuzom uniesiona, miał w tem winę sam mocarz, który, jak się tyle razy mówiło, niepotrzebnie i niegodziwie podszedł naród i rząd sąsiedni, nietylko przyjazny, ale podziwiający go... Zdarzali się więc nawet i księża światli, ubolewający bezstronnie nad tem nieszczęciem... a byli i tacy co sprzyjali reformie, a tych nazywano Afrancezados. Takim był w Castroxeriz alcalda (wójt czyli burmistrz) nazwiskiem D. Manuel Cobo, u którego miał kwaterę pułkownik Delaitre. Ten Cobo, rozżalony był na Hiszpanów, że ojca żony jego, jak twierdził, niewinnie rozstrzelali; do tego zapaleńca jeszcze raz wrócimy, ale teraz jest na czasie wspomnieć o innym wypadku i onego następnościach.

Jakieśmy to już tyle razy powtórzyli, ani obecność króla, ani wielokrotne zwycięstwa nie pomagały; gueryllasy czyli powstania, we wszystkich okolicach wzmagaly się, komunikacye nasze coraz stawały się trudniejszemi. Zrazu posyłaliśmy z Castroxeriz raporta nasze do generała Dorsenne do Burgos i korespondencye na pocztę przez dwóch konnych żołnierzy. Gdy ci częstokroć dojechać nie mogli, posyłaliśmy brygadiera

z 4-ma ludźmi, a gdy i takie małe oddziały nie były dostateczne, musieliśmy dla pojedynczego listu wyprawiać oficera z 25 końmi, co u nas stanowiło pluton, czyli czwartą część szwadronu; była to korespondencja zbyt kosztowna; następujący wypadek spowodował jej zmianę,

Razu jednego porucznik Maciej Mierzejewski był komenderowany



Szwależer gwardyi cesarskiej
(według obrazu H. Verneta).

na taką korespondencję do Burgos, a doktor pułkowy Deplace, znękany słabością i tęsknotą za krajem, otrzymawszy pozwolenie, wracać miał do Francji i w towarzystwie swego służącego miał rozpocząć swoją podróż pod zasłoną plutonu Mierzejewskiego. Ale gdy literat, filozof, dosiadł raz konia, niecierpliwy nie chcąc czekać na zebranie się plutonu, zawołaawszy swego służącego także konnego, puścił się w drogę ku Burgos, a oddalwszy się tak, że go eskorta widzieć nie mogła, zostali oba zamordowani

a konie ich i wszelkie rzeczy zabrane, ciała zaś obnażone i porzucone. Mierzejewski nadciągnawszy, przysłał zaraz paru ludzi z raportem o tem zdarzeniu, a sam podążył do Burgos, upatrując nieprzyjaciela po drodze.

Nim do dalszego dochodzenia tego zabójstwa przystąpimy, mamy sobie za obowiązek podać pamięci czytających osobistość dra medycyny Deplace; był to mąż wysokiej nauki i jako taki miał udział w wyprawie egipskiej, w której się zaznajomił z pułkownikiem Delaitre, wówczas adjutantem generała Klebera. Deplace był charakteru najszlachetniejszego i najśłodszego, od wszystkich powszechnie szacowany i kochany. Wielki przyjaciel narodu naszego a zwłaszcza zdrowej krwi i urodziwości ludu polskiego; twierdził i opisał medycznie: że nigdzie podobnej urody, a mianowicie tak pięknych i zdrowych piersi nie widział, jak w Polsce. Dzieło jego w tym przedmiocie wydane drukiem pod tytułem: *Sur l'ataitement maternel* — nosi godło oddające zwięźle usposobienie autora: «*Incipe parve puer, risu cognoscere matrem*»!

Miałbym się za szczęśliwego, gdyby ta krótka wzmianka o doktorze Deplace i jednym z jego dzieł posłużyła rodakom do pocieszenia rodziny Deplace, o której z żalem naszym, nie mieliśmy nigdy bliższej wiadomości.

Po takim wypadku, gdy nas doszła wieść, że ten mord był popełniony przez bandę 13 do 14 ludzi, na koniach czy mułach, która się zjawiała na drodze naszej do Burgos, wyruszyliśmy przededniem we dwa szwadrony polskie; ja prowadziłem jeden szwadron z lewej, kapitan Jordan Hermelaus drugi szwadron, z prawej strony, i mieliśmy się w wyznaczonym punkcie zejść. Przetrzęsnawszy całą okolicę... cóż się stało?.. nie nadybaliśmy nic... a gdy oba szwadrony razem wróciły, znużone ogromnym upałem, na który nam zachorował w marszu porucznik Wincenty Mikułowski, upewniali nas niektórzy Hiszpanie, że ta banda ścigana widziała nas przechodzących w odwrocie, ukryta w parowie... Taka to była wojna hiszpańska: wiele trudu, wiele straty pojedynczej, a skutku mało lub nic. — Po tym wypadku umyśliłem korespondencyę naszą urządzić w sposób, któryby nie utrudzał wojska, nikogo nie narażał, a był najpewniejszy. Wysyłałem po kolei wszystkich starszych księży z miasta, municypalność dostarczała muła z wygodnem siedzeniem i przewodnikiem na mule; przywoływałem ka-

nonika lub plebana i, ofiarując mu pieniądze na drogę — jeżeli chciał — doreczam ekspedycję do sztabu generała Dorsenne, oświadczając: że za całość i dostateczny pośpiech odpisu, odpowie mi cały majątek ruchomy jegomości, pozostający w Castroxeriz. Kolega Mikułowski podaje mi w swych notatkach, że pierwszym z księży których tym sposobem wyprawilem do Burgos, był jego gospodarz D. Antonio Itero.

Józef Załuski generał.



Soult, ks. Dalmacyi
(według obrazu Ronillarda).

WSPOMNIENIE Z KAMPANII

(1812)



roku 1812, gdy Napoleon, sam bawiąc w Dreźnie, swe zwycięskie wojska posuwał nad Wisłę, na początku miesiąca maja przybył Hieronim Napoleon, ówczesny król Westfalski, z swoją przyboczną gwardią, i wojskiem, do byłego Księstwa Warszawskiego. Stanął w Warszawie w pałacu Brylowskim. Gwardya jego rozlokowała się w mieście, a reszta wojska po lewej stronie Wisły się rozłożyła. Wojsko polskie, wówczas zostające pod komendą księcia Józefa Poniatowskiego, a liczące do 50 tysięcy, musiało przybyłym gościom ustąpić kraju po lewej stronie Wisły, a przenieść się na prawy; nawet i pułki, składające garnizon warszawski, wyruszyły 20 maja na prawy brzeg i w okolicach tegoż miasta się rozłożyły. Ponieważ zaś całe polskie wojsko przechodziło pod ogólną komendę króla Westfalskiego, razem zatem z wojskiem Westfalskiem stanowiły korpus 5-ty wielkiej armii. Reszta pułków polskich pieszych i konnych z Hiszpanii dążyła ku wielkiej armii, jako legie nadwiślańskie.

Co do polskiego wojska, to miało ono trzy dywizye piesze, razem z przyłączoną do nich kawalerią i artylerią. Oprócz tego kawalerii polskiej siła większa osobną dywizyę składała z konną artylerią; jedna zaś dywizya piechoty była w Gdańsku, i jedna brygada kawalerii w wielkiej armii w jednym z korpusów francuskich.

Pod komendą księcia Józefa dywizyjami dowodzili generałowie Zajączek, Dąbrowski i Kamenecki, po którym później objął komendę Kniaziewicz; korpusem naszym kawaleryi dowodził generał dywizyi Różniecki.

Czyn, który tu właśnie chcę opisać, zdarzył się w dywizyi generała Kameneckiego, zatem o ruchach tej jedynie dywizyi wspominać będę.

Dywizya Kameneckiego miała dwie brygady piesze. Jedną brygadą dowodził generał brygady Grabowski (w tej pułk 2-gi pod dowództwem pułkownika Krukowieckiego i 8-my pod dowództwem pułkownika Stuarta), drugą brygadę miał Stanisław Potocki (w tej 12-ty pułk Weissenhoffa, najmocniejszy podówczas co do liczby żołnierza).

Wypadek zaszył między generałem Grabowskim i pułkownikiem Krukowieckim wystawi tu dwa charaktery przeciwne. Generał Grabowski łagodny, dobry Polak, poświęcający się, pełen ambicji, był dawniej dowódcą 1-go pułku, w którym pod jego komendą Krukowiecki dowodził batalionem. Będąc dawniej Krukowiecki w służbie austriackiej oficerem, nabrał tam zarożumienia o swych zdolnościach wojskowych, przytem był młody, popędliwy, pracowity, co tem więcej powiększało w nim niespokojność, lekceważenie starszych od siebie i chęć wyniesienia się na wyższe stopnie.

Gdy generał Grabowski w roku 1806 wprost na dowódcę pułku dla swych poświęceń i ofiar był wyniesiony, Krukowiecki, jako dawniejszy, zaczął go lekceważyć, stąd wszczęła się między obydwoima niechęć, która na moment ustała gdy Grabowski i Krukowiecki, pierwszy posunięty na generała, drugi zaś na generała majora do 3-go pułku piechoty, rozeszli się z sobą. Dopiero po regulacyi wojska przed kampanią 1812 roku, generałowi Grabowskiemu dostała się brygada w dowództwo, w której właśnie Krukowiecki dowodził pułkiem 2-gim, porządnym, licznym i faworytalnym księcia Józefa.

W pierwszych dniach czerwca 1812 r. dostały pułki, składające dywizję generała Kameneckiego, rozkaz zebrania się w mieście Pułtusk, gdzie za rzeką Narwią obozem rozlokowane zostały. Do Pułtuska również król Westfalski i książę Józef przybyli.

Po kilkodniowym tam odpoczynku dywizya ruszyła ku Ostrołęce;

upały wielkie zaczęły dokuczać wojsku, tak że tylko nocami marsz odbywać było można, i że trzeciego dnia stanąwszy w Ostrołęce rano, odpocząwszy w obozie przez cały dzień, wieczorem dopiero w dalszy marsz udać się mieliśmy.

Na dany rozkaz do marszu cała dywizya stanęła pod bronią. Pułk 2-gi, który z porządku swego numeru na czele maszerował, miał dać całą kompanię do awangardy, zatem generał Grabowski, będący przed frontem swej brygady na koniu, daje rozkaz, żeby pierwsza kompania grenadyerska udała się w awangardzie, pułkownik Krukowiecki zaś pierwszej jeszcze wyznaczył kompanię 1-szą fizylierską, która też, za danym pierwszym znakiem do marszu, naprzód wystąpiła.

Widząc generał, że nie grenadyerzy idą na straż przednią, i że jego w tem rozkaz nie został wykonany, a zarazem oddawna wiedząc, że Krukowiecki nie lubił wykonywać rozkazów starszych, przysłał swego adjutanta z poleceniem, żeby kompania fizylierska wróciła się na miejsce a kompania grenadyerska, podług poprzedniego rozkazu, wystąpiła. Krukowiecki jednak i tym razem nie chce dopełnić woli generała, mówiąc adjutantowi, że kolej wypada na 1-szą kompanię fizylierską, nie na grenadyerską, i że generał nie ma prawa mieszać się do raz uczynionego porządku w pułku.

Skoro adjutant generałowi oświadczył odpowiedź pułkownika Krukowieckiego, urażony generał niedopełnieniem danego rozkazu, unosi się gniewem, przypada konno przed front pułku 2-go i donośnym głosem powtarza dany rozkaz.

Krukowiecki się sprzeciwia, powstaje spór przed frontem, wcale dla całego pułku nieprzykładny; obadwa zapalają się w gniewie, tak dalece, że generał Kamenecki to spostrzegłszy, wpada między Grabowskiego i Krukowieckiego, poleca im udać się na miejsca i daje wyraźny rozkaz Krukowieckiemu, żeby kompania grenadyerska zaraz w awanagrdzie ruszyła.

Krukowiecki, lubo uniesiony gniewem, jednak wypełnić nakoniec musiał dany rozkaz.

Cała dywizya ruszyła ku Rajgrodowi. Grabowski lubo łagodny, delikatny, jednakże uniesiony ambicyą, obrażony pokrzykiem Krukowieckiego,

którego porywczy humor znał, i wyraźnem nieposłuszeństwem i lekceważeniem osoby swej, wyzywa go w Rajgrodzie przez generała Paszkowskiego na pojedynek. Krukowiecki łatwy i obeznany z pojedynekami, których wiele odbył, wyzwanie to przyjmuje i obiera na swego sekundanta generała Pakosza. Ci dwaj rozsądni sekundanci uznali, że to właśnie nie czas i miejsce w marszu, w bliskości granic nieprzyjacielskich, odbywać pojedynki, że to i zły przykład dałoby wojsku, gdyby się ten pojedynek rozgłosił, nareszcie i książę Józef byłby wcale z postępowania takiego niekontent, uradzili zatem, aby pojedynek odłożyć aż do czasu po pierwszej wydarzonej bitwie, stanowiąc, że jeżeli oba wyjdą cali, zaraz nazajutrz pojedynek będzie mógł się odbyć, zaś przed wydarzoną bitwą, z ogólną całego wojska byłoby szkodą, gdyby który z tak walecznych miał przez ranę lub śmierć nie być przytomnym w poprowadzeniu do boju wojska, jego dowództwu powierzonego. Wypadało pierwaj wypełnić obowiązek a potem swego szukać zaspokojenia.

Na tak rozsądny wniosek generała Paszkowskiego i Pakosza zgodzić się musieli obadwaj, to też z wojskiem coraz dalej za ustępującym nieprzyjacielem maszerowali, jednak w obu tłała utajona niechęć wzajemna i oba wyglądali rychło nastąpi czas, w którym wojsko nasze z nieprzyjacielskiem zetrzeć się będzie mogło.

W Grodnie, oczekując wyzdrowienia króla Westfalskiego, utraciliśmy najdogodniejszy czas spotkania się i odcięcia korpusu generała Bagrationa od głównej armii. Napoleon, słusznie za to rozgniewany, odbiera komendę swemu bratu, rozkazawszy mu powrócić do kraju swego, a dowództwo korpusu oddaje księciu Józefowi z poleceniem, żeby ile możności starał się błąd zrobiony naprawić, a dla łatwiejszego odcięcia Bagrationa wysyła marszałka Davoustą z korpusem, aby z boku drogę od Dniepru nieprzyjacielowi odciął.

Wyszedszy zatem z Grodna, lotnym marszem ciągle postępowaliśmy nawet bez odpoczynku za nieprzyjacielem, a pomimo takich natężeń marszu, przybywszy do Mohilowa, w mieście tem zamiast Bagrationa zastaliśmy korpus marszałka Davoustą, który, chociaż pierwaj od nas przybył, tylko nad rzeką Dnieprem z tylną strażą Bagrationa miał do czynienia, która

jednakowoż zdążyła się przez Dniepr przeprawić i na tamtej stronie połączyć z resztą swej armii.

Połączenie Bagrationa o wiele armię nieprzyjacielską wzmocniło, a sam doświadczony tego korpusu wódz wiele potem się przyczynił do zaciętej walki pod Możajskiem. Napoleonowi wiele zależało na tem, aby ten korpus cząstkowymi walkami rozbić. Później spostrzegłszy błąd uczyniony przez Hieronima, Napoleon rzekł:



Napoleon, otrzymujący wiadomość o ocaleniu ks. Eugeniusza w 1812 r.
(Obraz Jana Chelmińskiego).

— O trzy lata przedłużyła mi się ta kampania!

Korpus Davoust'a z Mohilowa wyszedł; nasz korpus w tem mieście został dla odpoczynku i ściągnięcia w marszu pozostałych żołnierzy. Napoleon w tymże czasie, strudziwszy swe korpusy i nie mogąc stoczyć głównej walki z ustępującym zawsze nieprzyjacielem, był przymuszony również odpoczywać i zdawał uważać ruchy nieprzyjacielskie, a tymczasem myślał jakby dalej szyki mu popsuć?

Po tygodniowym odpoczynku nagle cała armia ruszyła ku Smoleńskowi, a z nią i nasz korpus, który prawe skrzydło armii składał. W miasteczku Krasnem, o parę mil odległym od Smoleńska, przechodziliśmy przez pobożowisko, gdzie wielu Rosyan zginęło z dywizji Rajewskiego: tu dowiedzieliśmy się, że Napoleon przybył także pod Smoleńsk. Jakaż była radość nasza, że owego bohatera będziemy mogli oglądać i pod jego okiem i rozkazami walczyć. Zdawało nam się, że na nowo siły nam przybywają i że szczęście i zwycięstwo po naszej będą stronie. Jakoż, przenocowawszy w obozie, około wsi, nie daleko Smoleńska, na drugi dzień, to jest 15-go sierpnia, w sam dzień imienin Napoleona, po południu przybliżyliśmy się pod miasto.

Napoleon, uwiadomiony o naszym przybyciu, wyjechał konno, otoczony licznym sztabem. Przed nim mieliśmy szczęście przededefilować i już wtenczas zdawało nam się, że niezwyciężonymi zostaliśmy!

Napoleon siedział na siwym, ślicznie anglezowanym, koniu, miał na sobie surdut jasny, perłowy, pod tym mundur zielony, szaserski, mała gwiazdka u boku, spodnie białe, buty długie, a na głowie kapelusz trójkorony. Twarz miła, wzrok bystry, a w rysach tyle potężnego wyrazu i myśli, że trudno było się nasycić oglądaniem! Nie był on z owych wodzów co się uśmiechali do wojska, przymilali, jakby chcieli złudzić ich i przywiązanie uzyskać, a jednak zdradzali tylko nicość i próżność z fałszem połączoną. Napoleon odrazu okazywał się człowiekiem nadzwyczajnym i takie mniemanie w każdym wzbudzał.

Po przededefilowaniu przed Napoleonem wskazano nam miejsce, gdzie mieliśmy stanąć obozem. Przed nami stała linia kawaleryi, zakrywająca nas, a opodal trochę widzieliśmy mury miasta Smoleńska i wieże kościołów; z drugiej strony miasta słychać było częste strzały z ręcznej broni i niekiedy z dział, gdzie się korpus marszałka Davoustu ucierał i ścieśniał miasto. Rozdano nam zaraz żywność i polecono opatrzyć broń i ładunki i być na jutro zrana gotowymi do ataku.

Tę wiadomość każdy przyjął z radością. Wieczorem przy ogniu o niczem nie było mowy, tylko jak jutrzejszego dnia będziemy się bili i z któ-

rej strony dobywali miasta? Nareszcie każdy udał się na odpoczynek dla pokrzepienia zmęczonych marszem sił.

Ledwie świtać poczęło, już cały obóz był w poruszeniu. Jedni zaczęli broń świeżymi ładunkami nabijać, inni ostre skałki zakładać, gotując się do boju, inni zaczęli ogień rozkładać dla ugotowania pokarmu, który jednym może na cały dzień służyć, a drugim apetyt na zawsze zaspokoił. Równo z słońca wschodem dostały rozkaz kompanie wszystkich pułków wołyżerskich ruszyć naprzód pod mury, dla spędzenia nieprzyjaciela z przedmieść. Kompanie pułku 2-go walecznych kapitanów Trębickiego, Kępińskiego i Zielińskiego, skuteczniły zaraz ten rozkaz, reszta piechoty oczekiwała dalszego rozkazu, aż tu około godziny 9-tej zrana dały się widzieć, od strony głównej kwatery cesarskiej, tumany kurzu, a niebawem przybył adjutant ze sztabu, dający znać, że cesarz wkrótce przybędzie przed front naszego obozu.

Natychmiast kawaleria na koń powisała, działa były gotowe, piechota stanęła pod broń. Wkrótce przybywa cesarz Napoleon. Za nim liczny sztab z marszałków, generałów różnego stopnia i broni i adjutantów ordynansowych. Wszyscy oblani prawie złotymi haftami, ozdobieni kitami z piór, jeden tylko cesarz skromnie, tak jak w dniu wczorajszym, był ubrany.

Całe przed nim znajdujące się nasze wojsko przywitało go okrzykami najżywszej radości, on zaś, przejechawszy wolno przed frontem, rozkazał księciu Józefowi, aby piechota maszerowała za nim.

Trudno sobie wystawić, jaki ogarnął nas zapal, gdyśmy ujrzeli tego bohatera przed sobą na czele, wiodącego nas osobiście do boju! Każdemu z nas zdawało się, że natychmiast mury Smoleńska jak ptaki przelecimy — takim to potężnym urokiem widok tego człowieka przejmował żołnierza!

Zaraz ruszyliśmy kolumnami za cesarzem, gdy tymczasem on naprzód pojechał inne obozy oglądać.

Zbliżywszy się do murów Smoleńska, strzelanie tylko z ręcznej broni i huk z dział słyszeliśmy. Wydawało się jakoby w jakim piekielnym kotle się gotowało, już bowiem tak francuskie wojsko jako i nasi wołyżerowie ucierali się z nieprzyjacielem; od strony tylko mostu, prowadzącego z miasta na drugą stronę przez Dniepr, widać było wojsko nieprzyjacielskie,

nie zaczepione jeszcze od nikogo, przechodzące z fortecy na drugą stronę. Nagle najeżdża Napoleon do nas, każe się czołom kolumn rozwijać i sam na czele 1-go batalionu 2-go pułku naprzód maszeruje, a przybliżywszy nas pod zasłoną dział grających pod same przedmieście, zatrzymuje i księciu Józefowi poleca, żeby swą piechotę na przestrzeni od mostu muranego, na przedmieściu, aż do mostu będącego na Dnieprze, atakował miasto, a szczególnie zwracał uwagę na dawną breszę, Zygmuntofską zwaną, którą, jako nie umocnioną bardzo, możnaby do miasta wejść. Ten rozkaz dawszy, jak błyskawica zniknął nam z oczów i udał się w inną stronę. Nam zaś zostawił ciężkie zadanie do wykonania.

Wszystkie pułki polskie do ataku zajęły swe stanowiska; jedne już naprzód udały się, drugie do wspierania walczących stały w kolumnach.

Do pułku 2-go, stojącego na czele, przysłał książę Józef swego adjutanta, kapitana Kickiego, z żołnierzem, który dawniej służył w rosyjskim wojsku, któremu wszelkie drogi w tem mieście znane były — ten tedy miał wskazać drogę do tej breszy pułkowi 2-mu, a adjutant Kicki miał razem z pułkiem udać się do tego ataku.

Adjutant Kicki, waleczny, młody, żywy, przyjeżdża do czoła pułku 2-go, przed którym się znajdował generał Grabowski i dowódca pułku Krukowiecki, i oznajmia rozkaz księcia Józefa, aby pułk 2-gi szedł do ataku drogą, która mu wskazana będzie.

Pułkownik Krukowiecki, porywczy i pragnący się odznaczyć, rozkazuje pułkowi iść naprzód. Wtem odzywa się generał Grabowski:

— Pan pułkownik zapominasz, że masz mnie przed frontem i ruszasz z pułkiem bez mego rozkazu; wiedz o tem, że i ja chcę stanąć na jego czele!

Porywają zatem obadwa pułk za sobą i, wyprzedzając jeden drugiego, lecą ku wyłomowi, spuściwszy się z góry na przedmieście dosyć szeroką ulicą.

Zaraz grad kul ręcznych i działowych zaczął nas witać, tak z murów miasta, jakoteż z przedmiejskich domów, również z drugiej strony Dniepru.

Ludzie nam zaczynają padać, lecz nasi dowódcy, zajęci sami sobą, jeden drugiego przebiega, żeby pokazać, że oba śmierci się nie lękają.

Nareszcie, gdy za sobą usłyszeli jęk rannych i padających, jak ze snu i otrętwienia budzą się i widzą potrzebę rozdysponowania siłami, pod ich ich rozkazami zostającymi. Wysyłają zatem zaraz 29-ty batalion pod komendą kapitana Bogusławskiego ku Dnieprowi, aby strzelców z tamtej strony do nas strzelających odpędzić, zaś 3-ci batalion, pod komendą



Odwrót marszałka Ney (1812)
według obrazu Ivona).

podpułkownika Gawarda, otrzymał rozkaz udania się ku mostowi i przeskadzania, żeby mostem nieprzyjacieli nie postępowali.

Gdy tylko te dwa bataliony na swoje przeznaczenie się udały, nasz 1-szy batalion coprędzej porwali generał Grabowski z pułkownikiem Krukowieckim i lecieli ku wyłomowi, pewni, że wkrótce i do miasta się dostaną, a każdy z nich chciał być pierwszy na murach.

Kawał drogi jeszcze szliśmy przedmieściem, nareszcie nasz przewodnik nagle wskazał nam na lewo uliczkę wąską, którą aż do samego wyłomu musieliśmy się dostać. Żwawo ruszyliśmy z dwoma adjutantami ulicą wskazaną, mając zawsze przed sobą generała z pułkownikiem i adjutanta Kickiego, za nimi szedł kapitan Hiż, dowódzca batalionu i ja, jako adjutant pułkowy. Zaraz za nami piękna kompania grenadyerska kapitana Rajnickiego, a za tą cztery fizylierskie. Grad kul wyrwał z szeregów naszych ludzi, lecz na to nie zważając, spieszenie dążyliśmy, jedynie zajęci myślą, aby wejść jaknajprędzej do miasta.

Ulica, którą dążyliśmy, trochę krzywa była; wyszedłszy w dyrekcyi prosto do murów miasta, ujrzelśmy nagle przed sobą dawny wyłom, uczyniony w murze, założony mocno drzewem, a przed tym wyłomem kolumnę strzelców i przed nią dwa działa.

Generał jak tylko zoczył nieprzyjaciela, zawołał:

— Dalej za mną grenadyerzy! Do ataku broń! — i sam z swymi adjutantami rzucił się na nieprzyjaciela.

Pułkownik znów swoim rozkazuje dać ognia i również leci ku stojącej kolumnie. Nieprzyjaciel, nie czekając naszego ruchu, dał do nas z dział ognia kartaczami, potem strzeliła kolumna z ręcznej broni.

Kompania grenadyerska w swem postępowaniu naprzód na bagnety, obsypana gradem kul, na chwilę się wstrzymała, jednak dobywając się wszelkich, jeszcze naprzód postąpiła.

Kłęby dymu z prochu zaciemniły światło dnia i nie dozwoliły widzieć nic przed sobą, krzyk tylko mocnego «hurra» dał się wkoło słyszeć — wtem, gdy cokolwiek dym opadł, spostrzegamy generała leżącego już nieżywego z adjutantem jednym. Krukowiecki ranny w rękę i bok od karabinowej kuli, kapitan Hiż w rękę, kapitan Rajnicki w bok śmiertelnie, porucznik Hube w nogę, kapitan Konarski w rękę i porucznik Prek w plecy, żołnierzy do kilkunastu powalonych na ziemi. Ja tylko z adjutantem Kickim, którzy byliśmy na czele także grenadyerów, szczęśliwym trafem jakimś ocaleliśmy.

Widząc nieprzyjaciel takie nasze straty i sądząc, że gdy już nie mamy na czele generała i pułkownika, będzie mógł nas zabrać do nie-

woli, całą kolumną ruszył na nas. Ja, jako najstarszy, zostawszy w tym całym oddziale, widziałem potrzebę, dla ochrony od niewoli rannego pułkownika i drugih oficerów, oraz dla zebrania całego oddziału i uporządkowania go do nowego ataku na ośmielonego nieprzyjaciela, trochę w tył się cofnąć.

Wysławszy wszystkich rannych w tył, długi czas wstrzymywałem



Stefan Macdonald, książę Tarentu
(według portretu Casanovy).

rzęsim ogniem nieprzyjaciela, tak, że nie śmiał dalej za mną postępować, dopiero za nadejściem znacznej pomocy z wewnątrz miasta nieprzyjacielowi, naparty z przodu i boku, przemocy ustąpić musiałem, cofając się także do pułku 16-go piechoty, dowodzonego przez księcia Konstantego Czartoryskiego, który w odwodzie stał opodal na przedmieściu.

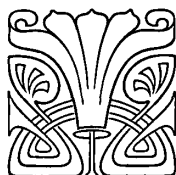
Z tym pułkiem znów naprzód poszedłem i nieprzyjaciela znów do miasta zagnaliśmy, uczyniwszy mu znaczną szkodę w zabitych i rannych.

Bylibyśmy wiele mogli i do niewoli zabrać, ratował się jedynie tem nieprzyjaciel, że wszelkie domy za sobą zapalał, chcąc tym sposobem wstrzymać naszą natarczywość, a tak wielu naszych i jego rannych popaliło się haniebnym i okropnym sposobem.

Tak zakończyło się nieporozumienie i taki to osobliwy pojedynek odbył się między tymi dwoma walecznymi oficerami, generałem Grabowskim i pułkownikiem Krukowieckim.

Pierwszy poległ przedwcześnie, choć mężnie, a drugi, lecząc się czas długi z odniesionych ran, przez całą tę kampanię roku 1812 czynnym być nie mógł. Gdyby nie ich nienawiść ku sobie, więcejby mogli być użytecznymi i może z skutkiem większym byłby ten atak poprowadzony, a tak przez chęć zemsty i obopólną ku sobie nienawiść zapomnieli, że mieli prowadzić do ataku tylu walecznych za sobą!

(Generał Roman Wybranowski).



CAMPO-FORMIO

(1797)



Bitwa pod Hohenlinden
(według obrazu Schopina).



W czasie kiedyśmy do Maestre przybyli, ruch był wielki z powodu przybycia do legii wielu oficerów z kraju. Doniósł o tem Dąbrowski głównej kwaterze, stojącej pod Campo-Formio. Sułkowski odpisał, że jest życzeniem Bonapartego widzieć nowo przybyłego generała i my natychmiast naszą przedsięwzięliśmy podróż.

Przybywszy do Passiniano, mundurem i czapkami różni między sobą, spotkaliśmy w surducie jadącego oficera, który nas spytał skąd jedziemy i wskazał nam dokąd się mamy udać i czekać na generała en chef.

Weszliśmy na piętro do obszernej sali, mnogość generałów w kornej postawie oczekiwała z nami. Przy kominie dwóch adjutantów skądciś przybyłych osuszało mokre podróżne odzienia. Jeden z nich, widząc nasz mundur, zapytał generała Kniaziewicza o nazwisko i oświadczył, iż był pożądanym. Że adjutant ten po polsku mówił, zgadliśmy, że to był Sułkowski. Między zebranymi dostrzegliśmy i zagranicznych oficerów, bo ich nieznane naówczas we Francyi orderzy zdobiły, kilku było w albańskim i greckim stroju.

Naraz drzwi się otwierają, wchodzi Bonaparte — ten sam właśnie oficer, który nam pokazywał drogę przed chwilą i wskazywał dokąd się mamy udać.

Wódz, zimno przywitawszy zagranicznych i pozdrowiwszy generałów, wprost do Kniaziewicza się zbliżył i w głęboką framugę okna go wprowadził.

Z uszanowaniem ta część pokoju opróżnioną została przez zebranych.

— Wiem o ruchu u was — rzekł Bonaparte — świadczy go młodzież, przybywająca do legionów i WPan, który tu zjechałeś. Radbym dopomódz szczerze, ale żadnej reprezentacyi nie widzę, z nikim traktować nie mogę! Gdzież jest Małachowski, Sapieha, gdzie członkowie ostatniego sejmku, pragnąłem ich zebrać w Medyolanie.

— Nie wszyscy mogą przybyć — odparł Kniaziewicz — Małachowskiego i Ignacego Potockiego widziałem w Karlsbadzie pod nadzorem austriackim, Sapiehę w Wiedniu, inni zapewne równego doznali losu.

— Wkrótce zawieszenie broni się kończy — mówił Bonaparte — postąpię do Węgier, które nas wzywają równie jak Grecya i wyspy! — Widzisz tu WPan ich posłanników. Mogę brzeg Karpat opanować!

— Druga ich strona ruszy się sama.

— Dobrze! Lecz skądże broń, artylerya? Choć wprowadzie Turcy może nam je przesłać dozwolą, ale czy się to da w jednym czasie uskutecznić?

— Broń dostaniemy z rąk nieprzyjaciela — imię twoje dopomoże do zwycięstw.

— Poszlę was w awangardzie, a generał, który nią komenderuje, zrobi wasz przegląd, — z tą wiadomością wracajcie do swoich.

Po nas Bonaparte Greków i Węgrów przywoływał.

Kniaziewicz oddał mu list Hoch'a, przebiegł go Bonaparte oczyma.

— Na tego, to liczyć można, ja go szczególnie poważam!

Chwilę zatrzymaliśmy się w sali; pytałem o nazwiska zebranych osób. Byli tu Kleber, Dessaix, Bernadotte, Massena, Augereau, Murat i inni. Z cudzoziemców Kobenzel i austriaccy posłowie do zawarcia traktatu umocowani. Do tych ostatnich zbliżył się Bonaparte, cisnął papier, który trzymał w ręku, i na cały głos zawołał:

— Co to za warunki? Niema pokoju! Podyktujemy go w waszej stolicy!

Lekki szmer poszedł po sali. Każdy wierzył w nowe boje i w zwycięstwa nowe. W nas także żołnierska krew zawrzała, radzi byliśmy nowinę wojny jak najrychlej zanieść swoim.

Pospieszaliśmy z powrotem. Przyjazd nasz do legii był pełen na-

dziei. Zaraz gotować się zaczęło do zapowiedzianego przez Bonapartego przeglądu.

Było kim zapelnąć szeregi oficerów. Ustanowiono komisję pod prezydenturą Wielhorskiego dla porządku w przyjmowaniu nowozaciecznych. Kniaziewiczowi dano komendę pierwszej legii, drugą rozpoczęło w Me-



Jan Kleber
(według portretu Ansiaux).

dyolanie. Pułk formujący się artylerii pieszej dano Aksamitowskiemu, jeden batalion w Cuneo z Kosińskim, drugi w Medyolanie z Dębowskim zaraz rozpoczynać miały formację.

Za nami przyszedł rozkaz wyruszenia legii. W marszu dogonił nas Beregnedilliers. Towarzyszyła mu piękna żona, chcąc z nim dzielić przygody. Rewia przy niej coś czarującego miała; mówię to z faktów, bo Tremo, adjutant Dąbrowskiego, tak się w nią wpatrywał, że zapomniał,

iż stał nad kanałem i wpadł z koniem w wodę; z trudnością został uratowany.

W ciągu marszu, co za zmiana! Jednego wieczora przylatuje adjutant Bonapartego z własnoręcznym jego listem.

— Ja pokój zawieram, zapewne krótkotrwały; wojsko nasze jest z żołnierzy austriackich złożone; na tę wiadomość może chorągwie swoje gotowe opuścić. W chwili odebrania rozkazu ruszaj więc WPan forsownym marszem i aż w Bolonii się wstrzymasz i tym się sposobem ocalisz.

Generałowie potracili głowy. Puszczono krew Wielhorskiemu, zachorował Dąbrowski, Kniaziewicz z połowę swej energii utracił, legię jednak poprowadził.

W tym odwrocie żał mi było Wenecyi nie widzieć. Dostałem urlop i pospieszyłem do niej.

W Wenecyi słaby był garnizon i z naszych w części złożony, były to kompanie strzelców pod komendą majora Chłopickiego.

W mieście panował niepokój, garnizon stał pod bronią. W jednym prawie czasie dwa zdarzenia!

Zamknięto teatru, na placu świętego Marka nie puszczano nikogo, a równocześnie przeznaczeni do tego, z pomocą naszych żołnierzy spuścili konie na froncie kościoła stojące, trofea wielkiej sławy z pięknych czasów sztuki. Wenecyanie te konie w Konstantynopolu zabrali. Że niebezpieczeństwo groziło ze strony ludności, wszyscy oficerowie, których sprowadziła ciekawość, byli przy wojskowej, acz skromnej sile, która się na placu znajdowała. Zamknięto drzwi kawiarni w godzinach, w których najliczniej do nich się zbierano. Działa stały u wylotów ulic. Jak się to bez rozruchów obeszło, pojąć nie mogliśmy.

Wtem, jakaś osoba znamienita przysła z rozkazem, aby kilkunastu pewnych żołnierzy i kilku oficerów dać pod jej rozkazy, czego jeśliby nie spełniono, groziła najsroższa odpowiedzialność. Ciekawość tej tajemniczej wyprawy dała mi ochotę towarzyszenia jej.

Prowadzono nas do gmachu, gdzie władze rządowe miały posiedzenia, lecz tak ciasnym wchodem, że ledwie jeden za drugim mógł postę-

pować. Oficer wprowadził nas do przedpokoju, w którym nie było nikogo, wymagając od nas, aby tego, kogo tu wprowadzi za chwilę, opanować, związać mu ręce wtył i wtrącić na schody, gdzie stali żołnierze, którzy go mają już sprowadzić do przygotowanej gondoli i dalej do zamku świętego Michała, na jedną z wysepek w Lagunie odwieść. W przedpokoju było ustronne miejsce, w którym nas oficer umieścił, aby wychodzący przy otwarciu drzwi nas nie postrzegł. Oficer wyszedł z przedpokoju do sali. Niedługo zabawiwszy, wprowadził olbrzymiego wzrostu mężczyznę w płaszczu dyrektorskim i kapeluszu z piórami. Był to ubiór zwyczajny tych, co rząd najwyższy sprawowali. Gdy oficer drzwi zamknął za sobą, pomocy naszej zawołał. Wybiegliśmy z ukrycia, lecz że sala przyległa pełna była weneckiego żołnierza, straż przy Dyrektoracie pełniącego, napadnięty zawołał na nią: «do broni!» — i nas odpychał i do swoich przedrzeć się usiłował. Lecz nie puściliśmy go, a przybiegli żołnierze pomogli nam go ubezwładnić. Ten zaś, który nas przyprowadził, wbiegł do żołnierskiej sali i broń złożyć rozkazał, mówiąc, że zdrajcę biorą.

Poszedł więzień i niósł prawie na sobie tych, co go jak pijawki obsiedli, taka siła jego była wielka i postać olbrzymia.

Był on rodem z wysp Sklawońskich, myślał o zamieszaniu i ilość znaczną ludzi w tym celu dniem przedtem zgromadził. Dalszej jego historii nikt mnie pouczyć nie umiał.

(Drzewiecki Józef, oficer legii włoskiej).



EGIPT

(21 WRZEŚNIA 1798 ROKU)



Sułkowski.

Bonaparte.

BONAPARTE W EGIPCIE (1798)

(według obrazu M. Orange).



Jadąc na wyprawę do Egiptu, Bonaparte wziął tylko do powozu żonę Józefinę, którą uważał jeszcze wówczas za swój talizman, a która ze swej strony pragnęła towarzyszyć dostojnemu małżonkowi aż za morze, lub przynajmniej do portu, w którym miał wsiąść na okręt.

Sztab główny udał się naprzód przed naczelnym wodzem do Tulonu, Sułkowski miał za towarzysza swej podróży Vanture'a tłumacza i sekretarza naczelnego wodza i oddawna swego serdecznego przyjaciela. Mieszkali oni w Paryżu na wybrzeżu Lunettes, w domu sławnego zegarmistrza Brènta; z tego też domu ci dwaj przyjaciele wyjeżdżali pocztą, gdy na zwrocie z wybrzeża na most nowy, (pont neuf) przed statua Henryka IV, powóz ich łamie się, i nasi podróżni zmuszeni są wrócić do domu.

Sułkowski przejęty najsmutniejszym przecuciem, rzekł naówczas do pana Vanture. — Mój przyjacielu, my już nie powrócimy! My pozostaniemy w Egipcie!

A nawet gdy już pojazd został zreparowany i gdy do niego wsiadać mieli — Sułkowski śmiał się znów melancholijnie.

— Bądź zdrowa na zawsze Francyo! Lecz idźmy za naszym przeznaczeniem, powinność nas woła!

Nizka ranga Sułkowskiego nie przeszkadzała mu wcale być wkrótce poznanym i ocenionym w armii egipskiej, Mianowany w Paryżu członkiem instytutu egipskiego w wydziale ekonomii politycznej, dał się w nim niedługo poznać, jako znakomity kolega ludziom tak już znanym w świecie naukowym, jak Kafarelli, Mange, Conté. Polecano mu nadzwyczaj ważne prace i przydawano go z panem Desgenette'm do komissyi, pracującej przygotowawczo nad ułożeniem słownika arabskiego, któryby mógł ułatwić Francuzom możliwość porozumienia się w ich stosunkach z mieszkańcami Egiptu w przedmiocie zaspokojenia ich pierwszych potrzeb życia.

Sułkowski odkrył nad brzegami Nilu, pod Féraneh, popiersie Irys, a w ogrodzie tej samej wsi dwa kamienie bardzo ciekawe z hieroglifów na nich umieszczonych, których znaczenie sam wytłumaczył w sposób najzupełniej zaspakajający.

Opis drogi z Kairu do Szalehhieh, który Sułkowski zostawił, jest nie tylko statystyką dla swego przedmiotu lecz nadto częścią bardzo znakomitą przyczynkiem historycznym. Aż dziwić się trzeba, widząc tyle spostrzeżeń, faktów i świadomości wszelkiego rodzaju, nagromadzonych na dziesięciu kartach.

Prace literackie i ekonomiczne Sułkowskiego, będące wypoczynkiem powinności służbowych, zapełniłyby całkiem życie mniej strudzone działalnością.

Sułkowski brał najnieszczęśliwszy udział we wszystkich bitwach egipskich. Od wniknięcia tam Francuzów nie było spotkania, w któremby nie był rannym. Przy oblężeniu Aleksandryi był po dwakroć zepchnięty z muru tak, że Bonaparte napisał wreszcie do dyrektoryatu: — proszę o stopień szefa szwadronu dla obywatela Sułkowskiego, jako oficera najznamienszych zasług.

W bitwie pod Szalehhieh, 19 thermidora, Sułkowski na czele ataku, nakazanego przeciw Mamelukom Hraluna-Beya, otrzymał ośm ran od pałasza i kilka od strzałów.

Szczęście aż dotąd czuwające nad nim wśród tylu niebezpieczeństw



BITWA POD BENOUTH W EGIPCIE (8 MARCA 1799)
(według obrazu Ch. Langlois).

opuściło go teraz zupełnie. Zdawał się zbliżać do owej fatalnej chwili którą Bonaparte w swoim raporcie do dyrektoryatu o śmierci generała Muireur, jak mówi, zwykle dostrzegał towarzyszącą ludziom blizkim skonu.

Dnia 30 Vendémiaire roku VII (1798) wybuchł w Kairze groźny rozruch, w którym generał Dupuy zginął. Następnego dnia Bonaparte, dowiedziawszy się, że Arabowie zbliżają się do Kairu w celu połączenia się z powstańcami, chciał poznać ruchy nieprzyjaciół, poczynające się za miastem. Sułkowski podjął się wykonania tego rekonesansu.

Opowiadali naoczni świadkowie, że Bonaparte dał Sułkowskiemu rozkaz w sposób absolutny, «gestem wschodnim», w którym wielu obecnych dopatrywało się zamiaru wysłania nieszczęśliwego adjutanta na śmierć.

Plastry z ran Sułkowskiego nie były jeszcze zdjęte. Jego przyjaciel i towarzysz podróży, poczciwy tłumacz Vanture, chciał go od tej wyprawy powstrzymać.

— Wygój się naprzód z ran! — mówił do niego ze łzami w oczach.

— Nieprzyjaciel nie czeka, trzeba iść naprzeciw niemu! — odparł Sułkowski z tą wrzącą niespokojnością, która uśmiecha się na widok bitwy, i ruszył spieszenie w towarzystwie piętnastu kawalerzystów ze straży przybocznej naczelnego wodza.

Powracając z rekonesansu został Sułkowski napadnięty przez całą ludność przedmieścia i, gdy koń jego poślizgnąwszy się upadł, Sułkowski, ze wszech stron otoczony, na drobne części posiekany został.

Częstki ciała Sułkowskiego wierny jego sługa na miejscu zabójstwa wysledzić ledwie zdołał. Ten poczciwy sługa opowiadał później, że, w chwili gdy koń Sułkowskiego upadł, Sułkowski, będąc już pastwą swych zabójców i niewidząc znikąd ocalenia, zawołał podnosząc oczy ku niebu: — «Mój biedny Vanture!»

Nigdy Sułkowski nie mógł nad sobą panować i nie wstrzymywał nigdy swego zapału, gdy szło o rzucenie się na niebezpieczeństwo. Szczęk broni, dym armatni napełniał go jakimś urokiem; czuł się panem siebie, bo był nieporuszonym w ogniu; lecz ten nawet spokój był dopełnieniem skupionego uniesienia, prawdziwem upojeniem.

Bonaparte był na obiedzie w Kairze, gdy go wieść o zamordowaniu

Sułkowskiego doszła. Wstał natychmiast od stołu, bez okazania najmniejszego wzruszenia. Mówił jednak potem (a może mu się samemu zdawało), że płakał nad śmiercią Sułkowskiego. Później przecież, więcej szczerzy w podobnych zdarzeniach, gdy wielkie straty mogły mu dać sposobność okazania czułości czy wzruszenia, utrzymywał, że mu nie wolno płakać!

Bonaparte w swoim sprawozdaniu przesłanem dyrektoryatowi wykonawczemu dodaje, mówiąc o Sułkowskim — był to młody człowiek pełen wielkich nadziei — i nazwał jego imieniem jedną z cytadel, przy której znaleziono szczątki jego ciała.

(H. de St. Albin o Sułkowskim).



POD LIPSKIEM

(1813).



ZALAM WATERLOO (1815)
(według obrazu V. Checa).



Pod Wachau, dnia 16 października, szczególnie się odznaczył książę Poniatowski, a to przez szarżę kawaleryi. Ułani polscy wzięli do niewoli generała austriackiego Meerfelda. Generała odprowadzono do Cesarza, rozmawiał z nim długo, znał go bowiem jeszcze z czasów włoskiej kampanii. Cesarz spodziewał się, że za pośrednictwem Meerfelda trafi do Cesarza austriackiego, i że generał wróci z propozycjami pokoju. Uwolnił zatem Napoleon Meerfelda i z poselstwem do cesarza Franciszka wyprawił. Poniatowski, którego Napoleon o tem powiadomił, rzekł: — *N'y croyez pas, sire, il ne reviendra pas!*

Gdy potem Meerfeld nie wracał, Cesarz ozwał się do księcia Berthier: — *Poniatowski a eu raison Meerfeld ne revient pas.*

Tegoż dnia wieczorem posłał Cesarz księciu Poniatowskiemu buławę marszałkowską.

Generał Latour-Maubourg utracił w bitwie pod Wachau nogę.

Thiers znów w tomie XVI, str. 565 podaje, że nie Poniatowski, lecz grenadyerzy gwardyi pod generałem Curial wzięli do niewoli Meerfelda, a to fałsz.

Armia francuska, parta przez nieprzyjaciół, zatrzymała się dnia 15-go

października pod Lipskiem na ogromnych równinach, o milę od tego miasta leżących.

Nie wspominam tu o różnych misjach, odbywanych przezemnie i w dzień i w nocy bez wypoczynku prawie i to od wymarszu naszego z Drezna, ani o spotykaniu się mojem z forpocztami nieprzyjacielskimi ani o kilku strzałach, które za mną poszły. Ognie obozowe zwodzą w nocy i zupełnie zmieniają okolicę. Luna, blask, ruch ludzi, wszystko to w nocy mami, tak, że trzeba wielkiej nieraz przytomności, by wrócić w nocy do miejsca, z którego się za dnia wyruszyło, szczególnie, gdy się jedzie polami.

Nastąpił dzień 16-go października, pamiętny światu!

Armia francuska, połączona jeszcze z wojskiem niemieckiem, to jest z Sasami, Bawarczykami, Wirtembergczykami, Badeńczykami i Westfalczykami i korpusem polskim, zajęła pozycję około Lipska.

Od rana ogień armatni na całej linii zaczął się z obu stron. Opisywać tej bitwy nie będę i nie potrafiłbym, gdyż widziałem jedynie oddzielne potyczki to na prawem to na lewem skrzydle, to w pobliżu Cesarza, stojącego na wzgórzu a otoczonego całym sztabem, podaję więc to tylko, czego byłem świadkiem.

O jakieś tysiąc kroków od Cesarza była wielka cegielnia. Tam to bowiem Larrey, ów sławny doktor i chirurg naczelny armii, założył tak zwany embulence, to jest punkt, gdzie opatrywano rannych, których liczne furgony zwoziły tu z całej linii bojowej, a szczególnie z centrum armii. Widziałem tam ku wieczorowi, nie przesadzam, kupę odciętych rąk i nóg ludzkich na jakie sześć łokci wysokości i odpowiedniej szerokości. Krzyk i jęk rannych był okropny. Kilkadziesiąt razy przejeżdżałem w pobliżu stodoły, więc napatrzyłem się i nasłuchałem tego ambulansu.

Książę Poniatowski był na prawem skrzydle, nad głębokiem parowem. Armaty strzelały do siebie ze wzgórków, w dole stali tyralierzy.

Byłem wysyłany podczas bitwy do różnych korpusów z rozkazami.

Wojska niemieckie jeszcze dnia tego z nami trzymały. Nieprzyjaciel nie nacierał, lecz tylko się odstrzeliwał. Przy szarży, wykonanej przez Polaków, jak to wyżej zaznaczono, dostał się do niewoli generał austriacki

Meerfeld, którego Cesarzowi przyprowadzono. Cesarz rozmawiał z nim długo, zaczem odesłał go napowrót. Podobno dał mu cesarz polecenie przyjazne do Cesarza Franciszka, lecz to się na nic nie zdało.

Dzień ten skończył się bez żadnej korzyści dla wojska francuskiego, tyle że się utrzymano na pozycjach.

Korpus polski poniósł niemałe straty.



Jan Bernadotte, książę Ponte Corvo, król szwedzki
(według obrazu Rincona)

Z moich znajomych ranni byli Kicki, i Skórzewski, adjutanci księcia, Potworowski adjutant generała Umińskiego, i Wężyk adjutant generała Sokolnickiego. Drugi adjutant Sokolnickiego, Lascorin, został zabity. Kicki, ranny lekko, był jeszcze przy księciu, Skórzewski zaś, mając nogę strzaśkaną od kuli, został przewieziony na taczce do Lipska.

Że na pozycyi, zajmowanej przez księcia Józefa, nie wyginęli wszy-

scy, to prawdziwy cud, bo można powiedzieć, że grad granatów i kul armatnich i karabinowych ją obsypywał.

Wojsko całe obozowało na pobojowisku. Cesarz nocował w Lipsku. Król Saski z oddziałem swej gwardyi pieszej, przybocznej także się tam schronił.

Trudno pojąć jak Cesarz, tak zawsze przezorny i wódz tak sławny, mógł wybrać lipskie pola na stanowisko do bitwy! Boć za sobą miał miasto z ciasnymi ulicami i błotnistą rzeczką Elsterę, na której był tylko jeden most. O innych mostach dla ułatwienia przeprawy nawet nie myślano. Tyle chyba że bagażom, rannym i całemu niepotrzebnemu do bitwy taborowi rozkazano iść drogą ku Weissenfels i Erfurt. Wprawdzie i niewolnicy, wzięci pod Dreznem, oddawna byli ku Francyi wyprawieni, ale też i Kozaków mieliśmy już za sobą, którzy napadali na transporty niewolników i odbijali ich. A ileż nadto widziałem na drogach furgonów z amunicjami, spalonych przez krążące za armią oddziały partyzantów.

Jeszcze w dniu 16-ym 17-ym i 18-ym października Lipsk był pełen wozów i bagażów, wlokących się jedną ulicą.

Miałem przy sobie do usług dwóch ludzi bardzo wiernych, dobrych i obrotnych. Kazałem im się trzymać zawsze ekwipażów cesarskich. Na moje szczęście wykonali moje polecenie i zawczasu przez Lipsk z rzeczami i końmi wierzchowymi się przedostali. Ja zostałem się przy jednym koniu, na którym owe trzy dni bitwy odbyłem.

Dnia 17-go spodziewano się nowej bitwy. Armie stały na pozycjach, aż nieprzyjaciel cofnął się był nieco i cały dzień spędził na niczem. Zdawało się, że obie strony obawiały się zacząć. Nikt nie chciał dać pierwszego strzału armatniego.

Jakoż nieprzyjaciel miał potemu ważną przyczynę, bo oczekiwał na korpusy Królewicza szwedzkiego i na austriackiego generała Colloredo.

Nad wieczorem, kazał Cesarz ściągnąć armię ku Lipskowi i bliższe pozycye, bardziej skoncentrowane, zająć.

Dnia 18-go października z rana ryknęły armaty nieprzyjacielskie, francuskie działa odpowiedziały.

Tymczasem, rozpoczęła już poprzedniego dnia, częściowa dezercya wojsk niemieckich dobiegała końca.

Całe wojsko saskie i bawarskie przeszło do nieprzyjaciela. Artylerya zaś saska, przeszedłszy na stronę sprzymierzonych, tak szybko ku nam armaty swe zwróciła, że marszałek Macdonald, i generał Reynier, którzy to wojska te mieli pod swoją komendą, musieli skoncentrować resztę oddziałów i pozycję opuścić.

Mój kolega i przyjaciel dawny, Roman Sołtyk, wysłany do Bawarów z rozkazami jeszcze z rana został przez nich zatrzymany w niewoli. Reszta dnia zeszła tylko na ostrzeliwaniu i na wolnem cofaniu ku Lipskowi.

Do późnej nocy trwał ogień, a dookoła Lipska kule jakby w środek półkřęgu padały.

W nocy już wojsko francuskie zaczęło maszerować przez Lipsk ku Weisenfels. Cesarz zaś, nazajutrz, dnia 19-go, około godziny dziesiątej rano, pożegnał się z Królem saskim i jego rodziną i przez ową ciasną ulicę, przez którą cała armia przeszła, przejechał, z trudem przesuając się między wozami, furgonami i armatami, stłoczonymi w ulicy.

Przy królu saskim był w Lipsku (jako adjutant) generał Turno, czynny choć cierpiący na rany, odebrane pod Berezyną. Turno dostał się razem z Królem do niewoli, jak również pułkownik Błeszyński i generał Paszkowski.

Ja się trzymałem świty i równie przejechałem aż za most na Elsterze. Tam Cesarz zsiadł z konia i wszedł do małego domu, znajdującego się tuż przy moście, po lewej ręce. Tu zastałem czekających na mnie służących, z czego ucieszyłem się niemało. Zmieniłem konia i czekałem co dalej.

Wojsko tymczasem francuskie, a nawet i artylerya maszerowała przez most bez ustanku. Od strony Lipska zbliżać się zaczęły gęste strzały.

Korpusy marszałka Macdonalda, Lauristona, Reynier i księcia Poniatowskiego były jeszcze w Lipsku i broniły się w przedmieściach. Dąbrowski walczył na przedmieściu Hallskie.

Most na rzece Elster, bardzo mały, o jednym łuku, był podminowany i zupełnie niepotrzebnie. Na tak mało znaczącej rzeczce, przez którą w godzinę można rzucić most drewniany, most podminowanym być nie powinien, bo nieprzyjaciela zatrzymałby i tak nie zdołał. Nieprzyjaciel bowiem otoczył miasto tak przemagającą siłą, że mógł bądź wpływ, bądź

po innych mostach za miastem rzeczkę przebyć i maszerować ku Weissenfels dla przecięcia nam drogi. I tak się stało.

O podminowaniu mostu nie wiedziałem. Postrzegłem tylko stojący przy moście oddział saperów z oficerem.

Podczas właśnie ksiązę Poniatowski przyjechał na karym koniu z jednym oficerem, lecz nie pamiętam którym, i ordynansem do Cesarza.

Ksiązę pozdrowił mnie uprzejmym ukłonem głowy i zapytał, gdzie jest Cesarz. Wskazałem mu. Ksiązę zsiadł z konia i poszedł do Cesarza na piętro domku. Ja zostałem w sieni. Po chwili ksiązę zeszedł i podaną mu przez ordynansa fajkę chciał zapalić. Postrzegłszy to, wpadłem do kuchni gospodarza, chwyciłem obcęgami za węgielek i na fajkę (stambułkę) księciu włożyłem.

Ksiązę podziękował mi uprzejmie słowami:

— Dziękuję ci, bywaj zdrów!

Zaczem na konia siadł i napowrót jął się przeciskać przez tłok ku *Lipskowi.

Twarz księcia była blada i widać na niej było smutek i ponurość. Postawa jednak księcia wspaniale determinowana, była znakomitą.

Poniatowski miał wówczas na sobie mundur generalski polski, spodnie szare z lampasami karmazynowymi, gwiazdę legii honorowej i wojskowego krzyża, kapelusz stosowany i burkę, którą trzymał ordynans, bo ją ksiązę zdjął, wchodząc do Cesarza.

Już więcej tego bohatera naszego nie widziałem, lecz mnie to do dziś dnia cieszy, że mu podałem ognia do ostatniej fajki, którą wypalił.

Cesarz powierzył księciu dowództwo całej aryergardy. Poniatowski miał, broniąc się na tyłach, dać czas wojsku, pozostałym jeszcze a licznym ekwipażom wojskowym i artylerii rezerwowej do przejścia przez miasto i most.

Cesarz miał się podobno odezwać wtedy o swych marszałkach:

— *Ils sont tous démoralisés, hormis Poniatowski.*

Po odjeździe księcia Józefa, Cesarz dosiadł konia i na szosę ku Weissenfels zawrócił. Nie ujechał atoli nawet mili, gdy już dogonił go

oficer, donosząc, że most na Elsterze został wysadzony w powietrze, wskutek czego rejterada tylnej straży została odcięta.

Za oficerem tym nadjechał generał Lauriston i marszałek Macdonald, którzy wpław przebyli Elsterę, z wiadomością, że książe Poniatowski, ciężko ranny, dostał się do niewoli.

Cesarz zatrzymał się. Tymczasem wiele jeszcze wojska, szczególnie piechoty, nadciągało, lecz już w wielkim nieładzie.



Rozdanie orłów
(według obrazu Davida).

Generałowie książę Sułkowski, Krukowiecki i Sokolnicki i inni złączyli się z armią, a za nimi mnóstwo oficerów, którym także się udało przeprawić. A najwięcej było między nimi Polaków, bo ci, gdy wojska nieprzyjacielskie maszerowały a obrona była niepodobną, starali się doścignąć armię francuską.

Hrabia Artur Potocki minął się był z księciem Józefem czyli też przez niego wysłany do nas przybył. Gdy jednak Potocki dowiedział się, że

książę jest w niewoli i ranny, prosił Cesarza o pozwolenie powrotu, by przy Poniatowskim być.

Kicki, adjutant księcia, dostał się do niewoli, Szydłowski, także adjutant, kulą na wylot przeszyty, także do niewoli poszedł. Skórzewski, jak już wyżej wspominałem, od d. 16-go leżał w Lipsku. Więc przy Księżu żadnego nie było adjutanta prócz oficera sztabu Blechamps.

Wielu generałów naszych rannych i wziętych do niewoli zostało w Lipsku.

Gdy generała Umińskiego przyprowadzono Blücherowi, ten powitał go uprzejmie, bo go znał z lat przed 1806 r. Grywali ze sobą w Berlinie i birbantowali. Blücher lubił grę w karty równie jak i Umiński.

Generał Greismann, szef sztabu Blüchera, widząc, że ten podaje Umińskiemu rękę, odezwał się do Blüchera:

— *Wie können Ihre Excellenz den durch seine tolle Streiche so bekanntem Umiński Ihre würdige Hand reichen?*

Umiński odciął się śmiałą odpowiedzią lecz i na tem się skończyło.

Adjutant Umińskiego, Potworowski Edward, jak rzekłem, leżał ranny w Lipsku, i to w jednej ze Skórzewskim stancyi. W sztabie księcia nie bardzo tych dwóch oficerów lubiano. Zazdroszczono Skórzewskiemu, że był adjutantem Poniatowskiego. Koterya paniczów warszawskich intrygowała bardzo dookoła księcia Józefa, który miał mimo to słabość ku dawnym znajomym. Skórzewski zawdzięczał tę dostojność swej odwadze i pilności w służbie jako adjutant generała Fiszer, przy którym całą kampanię z 1812 odbył i przy którym pozostawał aż do zgonu generała pod Winkowem.

Potworowskiego chciał książę Poniatowski także adjutantem swym zrobić. Potworowski był przystojnym. Wiadomem było o nim, że mimo woli ojca wstąpił do wojska polskiego, a choć ranny pod Smoleńskiem, nie chciał zostać w domu. Ojciec chciał go potem w r. 1817, do pruskiego wojska namówić, lecz nie zdołał. Potworowski miał przy Umińskim ciężką służbę.

Nie lubiono zaś Potworowskiego ogólnie dla jego niestęchanej zarozumiałości i gwałtownego charakteru.

Gdy o swych kampaniach mówił, chciał przekonać, że nigdy bojaźni nie czuł.

— *Je ne sais pas ce que c'est que la peur. Je ne connais pas ce mot, ce sentiment!*

To była zwyczajna mowa Potworowskiego, wyraźna fanfaronada! Przecież sam Napoleon, który pewno był odważny, jak mało kto, powtarzał:

— *Un soldat, qui dit qu'il n'a jamais eu peur, est un fanfaron et menteur.*

Potworowski dobrze służył, lecz nigdy nie lepiej od wielu innych, i nigdy się przez czyn znakomity, *action d'état*, nie odznaczył. Czynił swą powinność, jak oficer honorowy i jak każdy ją czynił.

Ta fanfaronada i zarozumiałość nie opuściły go i później, przeto też nie był nigdy lubiany ani przez kolegów, ani od postronnych. Pychę nadto miał i ambycję niepomiarłą, *une marque de parvenue*.

Służył później Potworowski znów od r. 1815 do roku, zda mi się, 1827 w wojsku, w Warszawie, lecz nie mógł wyżej jak do kapitana awansować. A wkońcu dla tej swej zarozumiałości zrobił się *ridicul* i dymisyę wziął.

Pewnego razu, na licznych zebraniach u księżny Zajączkowej, zabawiano się w gry. Przy fantach zapytano się z kolei Potworowskiego.

— *Que voudriez vous avoir fait dans votre vie?*

Potworowski odrzekł z wielką przesadą:

— *Je voudrais avoir sauvé ma patrie!*

A na to księżna Zajączkowa zauważyła ze złośliwym urąganiem:

— *Les oies ont bien sauvé le Capitole!*

Jednak Potworowski nie był głupim. Pewnie mało miał nauki, mało był czytany, ale nie głupi. Zawsze był on człowiekiem honorowym i godnym. W karty nikt z nim grać nie chciał, bo bywał grubianinem. Pojedyneków jednak nigdy nie miał i umiał ich zgrabnie unikać, choć za nieustraszonego pragnął uchodzić.

Z pod Lipska tymczasem w otoczeniu Cesarza coraz smutniejsze wieści się rozszerzały, aż наконец nadeszła wiadomość o zgonie księcia

Poniatowskiego. Książę, po dwakroć ranny, skoczył w Elsterę, w miejscu błotnistem i tam wraz z oficerem sztabu, Blechampsem utonął.

Tu dopiero wydało się iż oficer, któremu polecono ów mały most na Elsterze wysadzić, gdy się wojsko nasze przeprawi, a nieprzyjaciela nadciągającego zobaczy, zdał komendę podoficerowi. Podczas strzelcy celni pruscy czy rosyjscy, skradając się przez ogrody i mury, dotarli owego mostu w chwili, gdy jeszcze wojsko nasze biło się w Lipsku i broniło bram, i zaczęli do saperów strzelać zdała. Saperzy, widząc to, a sądząc, że nadeszła pora, aby most wysadzić, zapalili minę prochu. Mina wysadziła most, a saperzy zawrócili za armią.

Na tę wieść, która się błyskawicznie po mieście rozeszła, zrobił się francuzki *un sauve qui peut*, czyli że taki przestrah i popłoch walczące wojsko ogarnął, a nieład taki powstał, że nie do rejterady, lecz w rozsypkę poszło wszystko.

Granaty i kule, padające do miasta, powiększały jeszcze ten popłoch. Wojska nieprzyjacielskie tymczasem otoczyły Lipsk i odcięły zupełnie odwrót. Co wojska było w mieście dostało się do niewoli, liczą, że przeszło 20.000 ludzi a z nimi mnóstwo armat, amunicyi, wozów i t. d.

Tak się skończyła owa trzydniowa walka, prawdziwa walka ludów.

(*Józef Grabowski, oficer sztabu Napoleona I*).



BUTY

(1797)



Bitwa pod Fleurus.
(Według obrazu Muraissa).



Lotem szło w Falzburgu przedsięwzięcie nasze. Zwycięstwo pod Zurich dało naszym wysłańcom wielką łatwość werbunku.

W Palatynacie przechadzał się książę Karol, a jego dezertorowie powiększali naszą liczbę.

Szło dobrze co do ludu, lecz mało zasób środków ze strony rządu, wielkimi natenczas wydatkami na armię włoską obciążonego, opóźniał urządzenie się. Jużemy mieli wyżej dwóch tysięcy ludzi, kiedy jeszcze mundurów, koszul i trzewików nawet nam nie dostawiono. Często żołnierze, aby się z koszar za dnia wychylić mogli, w kołdry się swoje obwijali. Wkradały się choroby skórne, rozszerzały nawet potężnie, a lazaret nie dostarczał środków leczniczych ani zapobiegawczych. Miejscowi obywatele byli nam przychylni i pomagali bielizną, lecz to miasteczko było małe i ubogie.

Był tam urzędnik cywilny Parmentier, który nas szacował i ze swej strony przedstawiał położenie nasze. Słowem w ciężkich dość obrotach mieliśmy przynajmniej współczucie mieszkańców. Ale nam materialnych pomocy brakło i to aż rodziło obawę, aby kto o dezercyi nie pomyślał.

W takim stanie rzeczy postanowiono nas do Metz przenieść. Dla

ułatwienia marszu przysłano jakieś kurteczki, któreby później pod mundury służyć mogły, dostarczono zaś płóciennych spodni i trzewików tyle tylko, co ledwie dwom częściom obułyby nogi — i tak nam przejść do Metz polecono podczas zimowej pory i ostrej grudy na drogach.

Ponieważ część koszar i służby mnie powierzona była, tedy ja ich



Bitwa pod Marengo.
(Według starego sztychu).

prowadzić miałem. Tymczasem ledwie zebrali się na placu — już narzekanie powszechne.

Wyszedłem przed front — udają się do mnie — «my bosil!...»

Wezwałem najbliższego ze skarżących się i kazałem się rozzuć. Zaczem rzekłem mu.

— Wzuj moje buty, mam jedne i te są twoje, lecz pełń swoją powinność!

Zakomenderowałem i, sam przed frontem boso idąc, wprędce od grudy do krwi nogi pokaleczyłem.

Żołnierze buty moje odebrali towarzyszowi — lecz ich nie przyjąłem. A natomiast zebrałem skrzypków, dudziarzy, i wszystkich, których po koszarach grających widziałem, rozstawiłem, aby grali i nietylkośmy nasz marsz pomyślnie zaczęli, ale po dniach kilkunastu w Metz bez deserterów stanęli.

(Drzewiecki J. oficer legii włoskiej).



Franciszek Kellermann książę Valmy.
(według portretu Ansiaux).

BAJONNA

(1808)



Stanąłem w trzy dni w Bajonnie, właśnie kiedy król hiszpański, stary Karol IV, z królową i księciem pokoju (Godoy) wyjeżdżali do Valencay, gdzie ich cesarz osadzał. Wyjechał był z swego kraju król Karol po rewolucyi w Aranjuez, która go tronu pozbawiła i koronę na głowę jego syna, Ferdynanda, włożyła. Cesarz zaprosił także Ferdynanda do Bajonny, nie uznał go królem i do Valencay również odesłał. Później króla Karola z królową i z tytułowaną królową Etruryi usunął stamtąd na mieszkanie do Włoch. W Valencay sam Ferdynand pozostał.

Cesarz z cesarzową mieszkali w zamku Marac, o ćwierć mili od miasta, na drodze do Pampeluny. Nie duży to był dom. Sala dość obszerna w środku, do której się wprost z dworu, bez sieni i przedpokoju, wchodziło, służyła za salon dla nas służbowych oficerów. Z jednej strony były dwa pokoje, w pierwszym mieszkał cesarz, w drugim jadał z cesarzową, z drugiej strony także dwa przez cesarzową zajmowane. Na górze mieszkaly damy honorowe, Lectrices, jedna Włoszka, dwie Irlandki, a na przeciwko nich garderobiane. Marszałek Berthier, szef sztabu całej armii, marszałek Duroc, Arcybiskup Mechliński (Pradt, kapelan cesarski), minister, sekretarz stanu Maret, minister zagranicznych spraw Champagny, adjutanci, generałowie Mouton, Durosnel, później generał Bertrand i pan Senfft

Pilsach, poseł saski, którego cesarz bardzo lubił, (była z nim żona, bardzo miła i rozumna osoba, choć trochę głucha), mieszkali w pobliżu po domkach, należących do kupców z Bajonny.

Przed samym zamkiem stał batalion grenadyerów starej gwardyi pod namiotami, tak blisko, że tylko powóz mógł przejechać. Tuż obok stało także 200 Basków z gór pirenejskich, którzy byli dla cesarza gwardyę honorową utworzyli. Ubiór ich stanowiły spencerki ponsowe, czarne, krótkie spodnie, na głowie mała czapeczka wełniana, granatowa. Bardzo to piękny, żwawy lud, podobno doskonali strzelcy. O 500 kroków dalej, na pampeluńskiej drodze, stał szwadron Chevauxlegerów naszych pod dowództwem kapitana Dziewanowskiego. Ile razy cesarz czy konno czy powozem wyjeżdżał, 25-ciu naszych i oficer stanowiło eskortę.

Furyer pałacu przeznaczył mi kwatery u pana Taubin, starego kapitana okrętu, bardzo dobrego człowieka, którego dom stał zaraz na początku miasta, przy bramie zwanej hiszpańską. Miarkując że w Hiszpanii, będziemy mieli do czynienia, wziąłem natychmiast nauczyciela języka hiszpańskiego, który codzień do mnie o 6-tej zrana przychodził, o 8-mej bowiem musiałem już być na służbie. O tej godzinie, równie, jak wszyscy oficerowie, adjutanci, wchodziliśmy do pierwszego pokoju cesarza. Dawał on wtedy rozkazy na ten dzień, co trwało 5 lub 10 minut. Potem siedzieliśmy w salonie i każdy zatrudniał się jak chciał, póki go cesarz wpuścić do siebie nie każe. Prawie wszyscy czytali lub rozmawiali. Ja grywałem często w szachy z szambelanem Bondy. O godz. 11 szliśmy na śniadanie do marszałka Duroc, który stał w domu najbliższym zamku, i powracaliśmy zaraz potem do salonu, gdzie wśród dnia przebywało bardzo wiele osób. Ministrowie z ogromnemi tekami czekali tam, aż cesarz jednego po drugim do siebie nie przyzywał. Arcybiskup Pradt część doby dnia w salonie przebywał i zawsze wiele ciekawych anegdot miał do opowiadania. Przybywało także co dzień wielu oficerów i kuryerów z rozmaitych stron. Tych cesarzowi meldował generał adjutant, a kiedy tego nie było w salonie, jeden z nas go zastępował.

O godz. 3-ciej lub 4-tej przed obiadem, który był regularnie o 6-tej, cesarz zwykle wyjeżdżał konno, lub powozem z cesarzową, najczęściej

nad morze, ku Biarritz. Bardzo tam piękne położenie. Jechał wtedy tylko koniuszy przy powozie, a za powozem naszych 25 chevaulegerów z oficerem.

O godz. 6-tej bywał obiad. Cesarz sam z cesarzową jadał, a często z nimi książę Neufchatelu (Berthier). Wieczorem schodzili się wszyscy do salonu cesarzowej. Cesarz w niektóre tylko dni tam przychodził.



Bitwa pod Friedlandem.
(według obrazu Horacego Verneta)

Czasem, chodząc, rozmawiał i wtedy prócz dam wszyscy stali. Cesarz znów usiadł i nam wszystkim sięść kazał. Jednego dnia wszedł z książeczką w rękę i rzekł: »Bardzo to nudne, nawet pocziwego romansu napisać nie umięją, nie mam nic do czytania« — i rzucił książeczkę na krzesło. Dziwnem zdawać się może, że ten człowiek miał czas czytać powieści. Najlepszy to dowód że machinę całą doskonale urządził.

Na niektórych wieczorach grano w karty, w grę zwaną Krebs. Nikt

zwykle nie wygrywał ani przegrywał, choć tylko złoto było na stole. Łatwo pojąć, że nikt tam nie grał dla pieniędzy, i że wszyscy grali z roz-targnieniem. Jednego wieczora jednak wygrałem kilkadziesiąt napoleonów i prawie nieprzyjemnem mi to było, choć niezawodnie więcej uwagi na grę nie zwracałem, jak wszyscy przytomni. Cesarzowa tylko zawsze wy-grywała. Zapewnie wiedząc, że ją to bawi, wielu przez grzeczność prze-grywało. Nigdy jednak pieniędzy wygranych nie ruszyła, gdy odchodziła zwykle przed 12 godziną. Nie wiem, co potem z niemi się działo. Skoro cesarz i cesarzowa ruszyli się, wszyscy także odchodzili.

Wkrótce wysłał mnie cesarz z rozkazami do Hiszpanii. Wyjechałem i przed nocą stanąłem na koniach pocztarskich nad małą rzeczką Bidasoą. Tu cała kraina inna, i ludzie inni. Niema podobno w Europie granicy, któraby tak odrębne dwa kraje oddzielała. Wszędzie zmiana stopniowa, tutaj nagła. Z jednej strony Bidosoi lud mały, wesoły, żwawy, z dru-giej rosły, poważny, posępny. Z tej strony domki porozrzucane, ogródki wesołe, prawie na płaszczyźnie, — z tamtej miasto Irun z kamienia cio-sowego zbudowane, przed niem widok wysokich gór, w które zaraz za miastem wjeżdża się wąwozami, prowadzącymi z góry na górę aż pod Vittoryę, 33 leguas hiszpańskich, około 24 mil naszych.

Pocztylion, Hiszpan, w szerokim płaszczu, ruszał galopem przedemną. Koń jego miał pełno na łbie dzwonków, więc w nocy, chociażbym go i nie widział przed sobą, to zawsze go słyszałem. Konie pocztowe hiszpańskie doskonale noszą i galopujący pod górę, czy z góry, tak, że się ujedzie dwie i pół mili na godzinę. Stanąłem w Vittoryi nad ranem, w Burgos z południa, a w Madrycie na drugi dzień, ale już nie czułem członków i prowadzić mnie musiano do marszałka, bom się na nogach utrzymać nie mógł.

Po opowiedzeniu mu rozkazów odprowadzono mnie do stancyi, w któ-rej dobre bardzo łóżko było, dano mi służącego, sami adjutanci pomogli mi się rozebrać, ale tak mi nogi nabrzmiały, że butów nikt ściągnąć nie mógł, musiano je rozerznąć, chociaż w Bajonnie wybrałem najszersze. Spać pierwszej nocy nie mogłem, miałem gorączkę w całym ciele, lubo członków nie czułem. Ale myśl była wyraźna i bardzo przytomna, a zda-

wało mi się, że się głowa karku nie trzyma. Po drodze nic jeść nie mogłem, tylko drugiego dnia pić mi się chciało i piłem prawie na każdej poczcie wodę z cukrem. Drugiego dnia pomagano mi wsiadać na koń, bo już sam nie mogłem. Dopiero po drugiej nocy, którą przespąłem, pozwolono mi pójść do kąpieli, poczem zjadłem dobre śniadanie i byłem gotów jechać napowrót, ale mnie kilka tygodni zatrzymano.



Spotkanie w Tylży (1807)
(według obrazu barona Grossa).

Opisałem tutaj tę podróż, ażeby młodzi, jeśli im zdarzy się jechać wciąż na pocztowych koniach kilka dni i nocy, wiedzieli, że trzeba mieć buty bardzo szerokie, strzemiona jak treпки drewniane, kulbakę długą z roweczkiem na wierzchu. Nie należy też jeść wiele przed wyjazdem. W drodze i tak się nie chce. Kiedy się jedzie w porze bardzo gorącej i w dzień sucho w gębie się czuje, trzeba mieć przy sobie małą bute-

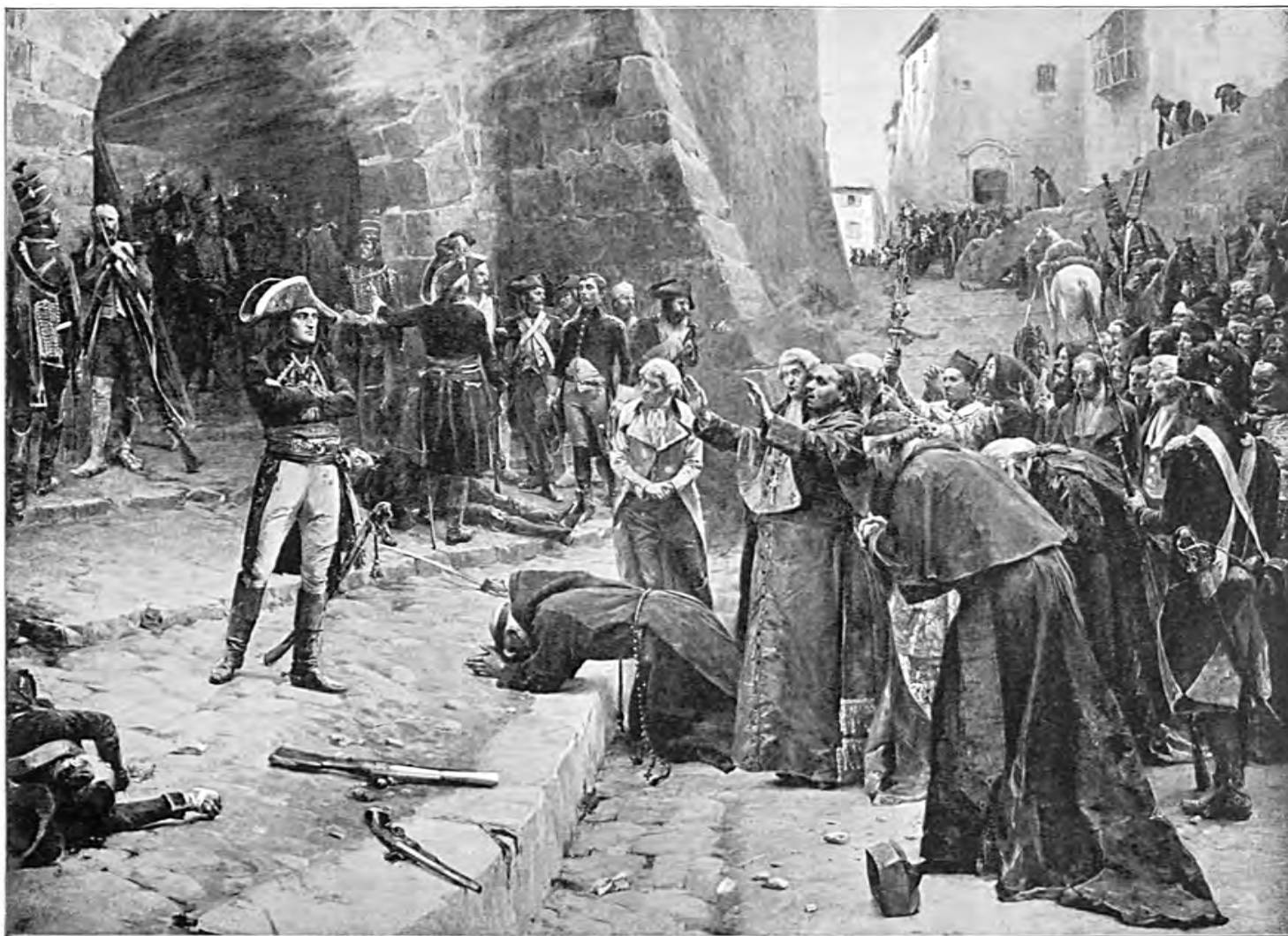
leczkę wódki francuskiej, koniaku, i gębę nią popłukiwać, ale nie połykać. Każdy mocny trunek pomnożyłby gorączkę, która jest nieuchronną po 48 godzinach jazdy. W upał pić wody także nie trzeba, żeby się nie pocić i nie osłabnąć. Tylko płuczac gębę wódką, odświeża się i po-
krzepia człowiek.

(Chłapowski Dezydery, generał).



POJEDYNEK

(1795)



BUNT W PAWII UŚMIERZONY (1795)
(według obrazu E. Boutigny).



Wielu różnymi sposobami dostawało się przez Lwów na Wołoszczyznę, a ja z kilku oficerami przeprowiłem się niedaleko okopów św. Trójcy, i udałem się do wsi Filipowców, do kraju tureckiego już należącej; w tej zastałem vice-brygadiera Deniskę, majora Marchockiego i kilku oficerów z sześćdziesiąt żołnierzami; dali mi arnauta jednego, który przeprowadził mnie do głównej kwatery Ksawerego Dąbrowskiego.

Za przybyciem do tegoż, do Bukarestu, złożyłem listy od osób znanych mi, bo mało miałem z nim zażyłości, widziałem go tylko dwa razy: raz, kiedy był delegowanym do króla, drugi raz kiedy przyjeżdżał z doniesieniem o zabranych amunicjach pod Włocławkiem.

Ten przyjął mnie uprzejmie, dał mi kwatere w domu, gdzie razem z sekretarzem legacji francuskiej panem Montal mieszkał, potem rzekł do mnie: jesteś, podpułkowniku, daleko starszym odemnie w służbie, w wieku, i zasługach; może cię to obrażać będzie, że mnie wyżej postawiono, nie chciałem tego, lecz tak wypadła dyspozycja wyższa.

Prawdę powiem, że w duszy cierpiałem na tem, że tak młody człowiek, który zaledwie wąża dostawał, był położonym, nie już nademnie, bom o sobie wiele nie rozumiał, ale nad wielu starszych. Lecz po dwumiesięcznem z nim przebywaniu przekonałem się, że wart był tego zaufania. — Mówił on po francuzku, tak jak rodowity Francuz, po niemiecku,

po łacinie i dość zrozumiale po turecku i po mołdawsku; przytem widziałem go być tak determinowanym, że za nic uważał swe życie, kiedy szło o dokonanie najmniejszego przedsięwzięcia; przekonałem się w kilku okazyach, a szczególnie, gdy przy obiedzie u księcia Moruzzi oficer inżynierów francuskich Dessaix, mając za wiele wina w głowie, zaczął robić żarciki z Polaków, do czego zastosował kilka wyrazów, które o konfederatach barskich napisał generał Dumurier, kończąc na tem, że gdyby Polacy byli odważnymi, toby nie upadli.

Dąbrowski lubo nader żywy, — wolno jednak starał się uspokoić oficera francuskiego o jego mylnej opinii, skąd przyszło do mocnych sporów, wreszcie wyzwał Francuza na pojedynek.

Ja i pułkownik Jabłonowski wyjechaliśmy nazajutrz z naszym dowódcą na plac, za miastem, niedaleko altany księcia panującego, tam zastaliśmy już oficera wyzwanego.

Po odmierzeniu dwunastu kroków, Dąbrowski dał pierwszy strzał oficerowi francuzkiemu, który go ranił w nogę, poczem Dąbrowski strzelać nie chciał, mówiąc, że nie szuka krwi obrońców wolności lecz przymuszony, aby koniecznie strzelił, wystrzelił nieznacznie w górę, aby chybił (coby nienastąpiło, bo doskonale z pistoletów strzelał). Uważał to dobrze oficer francuski, skoczył i ucałował Dąbrowskiego, którego potem nieodstępnym stał się przyjacielem, — ten czyn przywiązał mnie i innych, którzy o tem wiedzieli, do niego.

(Kosmowski Stanisław, podpułkownik).



KOZAK MAKSYM I JÓŻKO



Bitwy, stoczone w roku 1809 pod Górą, Raszynem, Toruniem i Sandomierzem przez wojsko austriackie z garstką wojska polskiego, zostającego pod komendą księcia Józefa Poniatowskiego, przekonały arcyksięcia Ferdynanda, naczelnego wodza wojsk austriackich, że wszelkie usiłowania jego były daremne, ażeby cały naród polski, oraz wojsko byłego Księstwa Warszawskiego, można było od powinnej wdzięczności dla Napoleona odwieść i na swą stronę przeciągnąć.

Straciwszy do kilkunastu tysięcy w zabitych, rannych i w niewolę wziętych, z resztą wojska pozostałego wódz austriacki spiesznym marszem dążył ku Krakowowi, aby stamtąd mógł temci łatwiej połączyć się z armią arcyksięcia Karola, który, po wkroczeniu wojska francuskiego do miasta stołecznego Wiednia, mógł jego pomocy potrzebować. Książę Józef, zostawiwszy potrzebną załogę w Sandomierzu i wysławszy oddział ku Lwowu, sam pospieszał za arcyksięciem Ferdynandem ku Krakowowi. Podówczas w całej Galicyi, oprócz małych korpusów austriackich generała Merfelda i Bikinga, a polskich generała Kamińskiego i podpułkownika Strzyżowskiego, znajdowało się wojsko rosyjskie w liczbie 100.000 pod komendą generała księcia Golicyna i rozprzestrzeniło się w obudwóch

Galicjach, tuż następując za wojskiem polskim; wojsko to rosyjskie szło na pomoc Napoleonowi.

Książę Józef, podstąpiwszy pod Kraków, znalazł w tem mieście tylną straż arcyksięcia Ferdynanda; generał austriacki tam będący, zaczął się układać z księciem Józefem o wydanie tego miasta w ręce wojska polskiego, lecz podczas tych układów dał znać najbliższemu stojącemu z wojskiem rosyjskiem generałowi Siewersowi, ażeby ten jaknajspieszniej do Krakowa przybył i to miasto zajął. Co też Siewers zaraz uskutecznił i nocą zajął Kraków.

Książę Józef, nie zwracając uwagi na te przeszkody, na czele swego sztabu do miasta wjechał i swemu całemu wojsku za sobą maszerować kazał, które z muzyką, z bębnami i rozwiniętymi chorągwiami, przy odgłosie marsza weszło do miasta i przeciągało po przed szeregami uszykowanego wojska rosyjskiego, wobec zgromadzonej ludności Krakowa, spieszącej powitać swych rodaków. Generał Siewers przybył także przywitać księcia, lecz już doszła wiadomość, że batalia pod Wagram została przez Napoleona wygraną, a arcyksiążę Ferdynand z swem wojskiem cofał się na Morawy. Książę Józef, zająwszy Kraków w imię cesarza Napoleona, część wojska wysłał za nieprzyjacielem, pułk 2-gi piechoty Stasia Potockiego i pułk kawalerii zostawił w Krakowie, które razem z wojskiem rosyjskiem rozłożone w mieście były; reszta stanęła obozem pod miastem, w pogotowiu na każdy dany rozkaz udać się za nieprzyjacielem, który w spiesznym już marszu przeszedł Wisłę, bojąc się, że będzie oskrzydłonym przez korpus generała Dąbrowskiego, który mu od pruskiej granicy drogę zachodził. Zamierzał książę Józef, po małym odpoczynku za Wisłę, również się przeprowadzić, gdy od cesarza odebrał uwiadomienie, aby w miejscu pozostał i główną swą kwaterę założył w Krakowie, gdyż zawieszenie broni zawarte zostało i układano punkta przedugodne do zawarcia pokoju.

Stosownie do otrzymanych rozkazów, wojsko polskie rozłożone było wygodnie w Krakowie i okolicach, jednakowoż nieporozumienia nie tylko że nie ustawały między wojskami obudwoma, ale i rozjątrzenie trwało między głównodowodzącymi. Zwycięstwa cesarza Napoleona, jak i na-

dzieja blizkiego pokoju, było powodem, że generała Siewersa odwołano a przysłano na dowódcę wojsk rosyjskich w Krakowie księcia Suworowa, generała młodego, charakteru i usposobienia ujmującego, który umiał sobie zjednać w wojsku polskiem wziętość i naczelnego wodza przyjaźń. Wnet zatem nastąpiło najlepsze porozumienie i harmonia między obu wojskami.

Od tego czasu, w którym książę Józef główną swoją kwaterę za-



Rok 1807
(według obrazu Meissoniera)

łożył w Krakowie, a Suworow objął naczelne dowództwo wojska rosyjskiego w tem mieście i okolicach po obu stronach Wisły, starał się tenże wszystkimi sposobami okazywać księciu Józefowi swój szacunek. Kazał postawić honorową wartę przed jego mieszkaniem. Wiedząc, że jest miłośnikiem manewrów wojskowych, kazał wojsku swemu odbywać manewry tak w mieście, jak w okolicach; zgoła Suworow, jakie tylko mógł grzeczności i honory, tych wszystkich księciu Józefowi czynić nie zaniedbywał. Gdy obywatele tak w samem mieście jak i okoliczni często dawali

zabawy dla ukochanego wodza i dla wojska polskiego, ksiązę Suworow zawsze na zabawach tych bywał z swymi oficerami sztabowymi i okazywał publicznie, ile oceniał księcia Józefa. Lubo z naszej strony częste były zaczepki, jednak oficerowie rosyjscy mieli nakaz unikania wszelkich nieporozumień.

Z swej strony ksiązę Józef, jak to było jego zwyczajem, tem bardziej starał się grzeczność grzecznością wywzajemnić. Ksiązę Suworow również miał wartę honorową wojska polskiego i oficerów służbowych polskich. Wojsko polskie często występowało na manewra, a szczególnie często ksiązę Józef popisywał się przed Suworowem swoim pułkiem 2-gim Stasia Potockiego, który dobozem ludzi, umundurowaniem i zręcznością swoją, wszystkich znawców ściągał na siebie uwagę, powołany od niedawna, dopiero, po zdobyciu Zamościa, przez księcia Józefa do jego korpusu.

Na wszystkich obiadach i balach, a szczególnie na balu danym przez miasto dla całego wojska polskiego w Sukiennicach, gdzie były wszystkie piękności krakowskie i z okolic, ksiązę Józef dawał pierwszeństwo Suworowowi, a czynił to z taką zwykłą sobie godnością, że nie tylko Suworow, ale wszyscy generałowie rosyjscy księcia Józefa ubóstwiali.

Miedzy różnemi rozrywkami, które ksiązę Suworow urządzał dla księcia Józefa, było i sławne polowanie na charty, których kilkanaście smyczy najdoborniejszych ze swoich dóbr na to polowanie sprowadził. Do każdej smyczy był dodany kozak konny: ci kozacy na swych lotnych koniach z niesłychaną zwinnością równo z chartami zwierza doganiali.

Na to polowanie wszyscy także generałowie polscy i obywatele niektórzy byli zaproszeni. W pobliżu wsi, gdzie to polowanie się odbywało, był bogaty namiot turecki rozbity, gdzie przy obfitej zastawie wszystko wspaniale urządzone było na przyjęcie księcia Józefa. Po odbytem polowaniu, na którym mnóstwo zwierza upolowano, dano suty obiad; muzyka przyjęła księcia Józefa jego marszem faworytalnym, a wśród obiadu spełniono najpierwszy toast za jego zdrowie. Po obiedzie ksiązę Józef życzył sobie widzieć tych sławnych kozaków i ich podług swego zwyczaju wynagrodzić.

Książę Suworow rozkazał im tedy wystąpić, aby się w przytomności wszystkich widzów swą zręcznością na koniach popisywali. Poczem przedstawił księciu Józefowi dwóch najzręczniejszych, Jóźka i Maksyma, i najusilniej prosił księcia, ażeby, w dowód jego przyjaźni i szacunku, tych dwóch kozaków od niego przyjąć raczył do usług swoich; kozakom zaś zalecił, ażeby księciu byli tak wiernymi, jak swojemu dotąd panu.

Książę Józef tej ofiary żadnym sposobem przyjąć nie chciał, tłumacząc się, żeby go to nadzwyczajnie bolało, aby z jego przyczyny oddalili się od swojej ojczyzny i swych domów rodzinnych. Lecz książę Suworow usilnie na księcia nastawał i o przyjęcie ich prosił, mówiąc, że jest pewny, że im lepiej nie może być ani w ich ojczyźnie, ani w domu, jak będzie u księcia. Po długich naleganiach, książę Józef, dopiero gdy od nich samych usłyszał, że życzą sobie pozostać u niego, zgodził się na to i obu przytrzymał.

W kilka tygodni od owego czasu przyszło uwiadomienie od cesarza Napoleona do księcia Józefa, że pokój między Francją a Austryą zawarty i że skutkiem tego cała Galicya wschodnia z cyrkułem Zamojskim do Księstwa Warszawskiego przyłączoną została. Książę Suworow również uwiadomiony o tem został i otrzymał rozkaz opuścić Kraków i udać się z swoim korpusem do cyrkułu Tarnopolskiego i Czortkowskiego, które to dwa cyrkuły cesarzowi Aleksandrowi ustąpione zostały.

Wódz polski w Krakowie, jako gospodarz w mieście, już należącym do Księstwa Warszawskiego, starał się we wszystkim wodzowi sprzymierzonego wojska okazać przyjaźń i pamięć. Przez cały tydzień, przed wymarszem Rosyan, trwały festyny i różne zabawy. Wojsko polskie sprawiało wojsku rosyjskiemu w Krakowie ucztę, a przy wymarszu książę Józef odprowadził księcia Suworowa aż za Podgórze. Tam ci dwaj wodzowie, pożegnawszy się po żołniersku, rozstali się na zawsze. Wówczas ani przez myśl im nie przeszło, że nigdy się już nie obaczą, i prawie jednakową śmiercią z tego świata zejda.

Książę Józef, uporządkowawszy wszystkie sprawy, dotyczące zajęcia nowo wcielonego kraju, uregulowawszy i uorganizowawszy nowe pułki i przydzieliwszy je do dywizyonu, oznaczywszy miejsca, które zająć miały

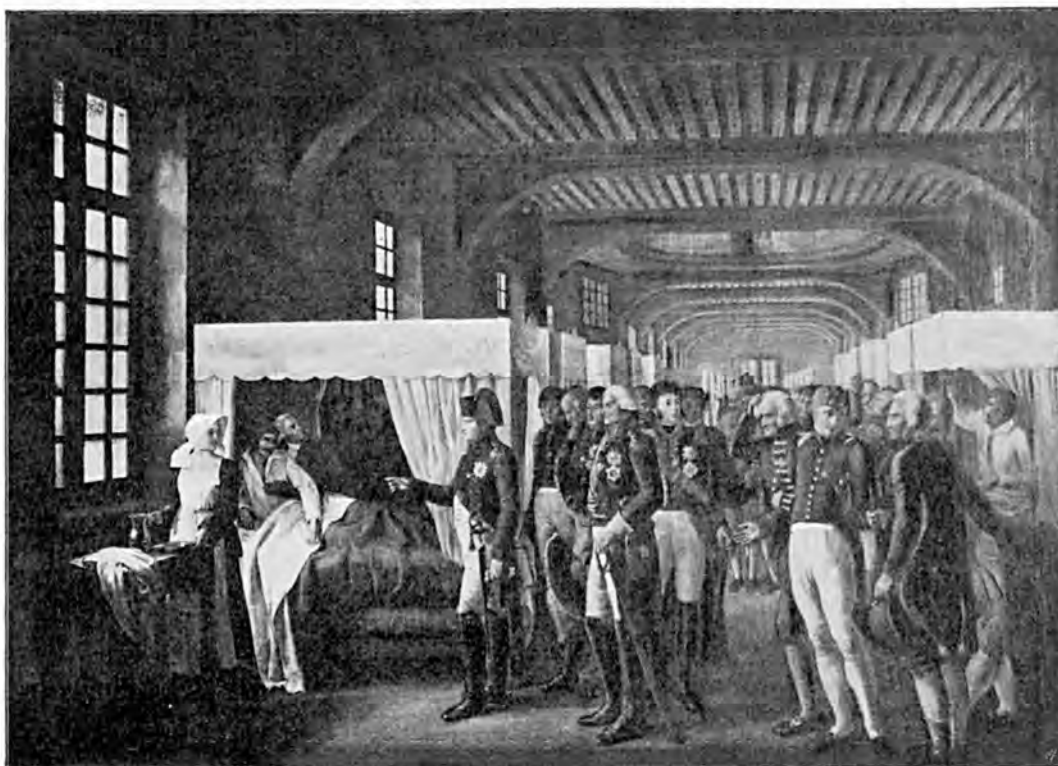
w kraju, sam na czele 2-go, 8-go i 6-go pułków piechoty, 1-go pułku szaserów i 2-go ułanów i kirasyerów, baterii artylerii pieszej i konnej, udał się do Warszawy, gdzie po tylu danych dowodach waleczności, przez całą Warszawę z uniesieniem witany i przyjmowany był, tak, iż go prawie na rękach odprowadzono pod Blachę.

Odtąd przez trzy lata trwającego pokoju książę od wszystkich ubóstwiany i zajęty kierownictwem ministerstwa wojny, organizował ulubione swe wojsko. Utrzymywał pod Blachą dom po królewsku, a między liczną jego służbą znajdowali się nieodstępni ci dwaj kozacy, których mu książę Suworow darował. Odznaczali się oni od reszty służby swym narodowym ubiorem, dobrym wzrostem, picią śniadą i długim, czarnym, w seledec zaplecionym włosom, wszystkich na siebie oczy ściągając. Przywiązani całą duszą do księcia Józefa, nazywali go po narodowemu zwyczaju swym ojcem. Cała ich powinność była kolejno stać w przedpokoju na zawołanie, a gdy książę wyjeżdżał konno na spacer, zawsze jednego z nich brał za sobą na dzielnym koniu.

W roku 1812, gdy sławna tytu nieszczęściami kampania się zaczęła, otrzymał książę Józef rozkaz z wojskiem polskim wyruszyć pod komendą Hieronima, króla Westfalskiego, przydzielony do 5-go korpusu wielkiej armii. Ale że młody ten monarcha liczne zaraz na początku kampanii popełniał błędy, przeto cesarz Napoleon odebrał mu komendę 5-go korpusu i oddał ją za Grodnem księciu Józefowi, wyłączwszy z korpusu Westfalczyków.

Książę Józef, ostatnich dni maja 1812 r. opuszczając Warszawę, nie zapomniał wziąć z sobą i swych wiernych kozaków i przez cały ciąg tej kampanii największej przychylności i usług od nich doznawał. Gdzie tylko książę Józef kwaterę główną założył, tam mieszkańców kozacy wstrzymywali od ucieczki i opuszczenia siedzib i objaśniali o dobrych chęciach wojska polskiego a z tej przyczyny wojsko polskie obficie było zaopatrzone w żywność jak francuskie. Również przez tych kozaków wiele o ruchach wojska rosyjskiego można było się dowiedzieć. Wierni byli księciu tak dalece, że, gdy po zajęciu Moskwy korpus księcia Józefa był przydzielony do przedniej straży korpusu króla neapolitańskiego, Murata,

i po bitwie, szczęśliwie stoczonej za Woronowem w okolicach Czyrykowa, cała przednia straż zajęła pozycje nad rzeką Oką, gdzie aż do odwrotu i podczas zawieszenia broni staliśmy, z której to właśnie okolicy kozacy Józko i Maksym byli rodem, tam bowiem były dobra księcia Suworowa a ksiązę Józef, dowiedziawszy się o tem, chciał ich obudwóch uwolnić,



Napoleon w szpitalu inwalidów
(według obrazu Veron Bellecourta).

a hojnie wynagrodziwszy, pozostawić przy rodzinie i sam do pozostania zachęcał, ci, pełni wdzięczności, z rozrzewnieniem podziękowali księciu za udzieloną im wolność, lecz na żaden sposób odstąpić go nie chcieli i przy nim aż do śmierci pozostać przyrzekli. Prosili tylko, aby pieniądze, które sobie uzbierali, mogli przesłać swym rodzinom, do których to pieniądze ksiązę Józef po 100 dukatów dołożywszy, takowe do forpoczt nieprzyjacielskich, celem wręczenia rodzinom obu wiernych kozaków, odesłał.

Dnia 18-go października zaczęliśmy się cofać do Woronowa, gdy układy wszelkie były zerwane i nadzieja pokoju minęła. Pod Woronowem utracił księżę Józef swego szefa sztabu, generała Fiszera, powszechnie żalowanego. Stamtąd udaliśmy się ku Medynie a dalej do Wercyi. Kozacy jak najgorliwiej, najlepiej księciu służyli i dostarczali żywności, o którą coraz trudniej było. W ciągu całej dalszej rejterady, tyle słynnej z swej okropności, księżę Józef zawsze był na czele swego korpusu, mając przy boku swych generałów dywizyi, Zajączka, Kniaziewicz a księcia Sułkowskiego. Już pominęliśmy Moskwę i przybliżaliśmy się do Smoleńska, gdy wypadek nieszczęśliwy zasmucił całe wojsko polskie.

Gdy księżę Józef na czele huzarów szarżował na kozaków, którzy nam przeciąć chcieli drogę, koń pod nim upadł i nogę lewą księcia tak przywalił, że prawie bez przytomności do powozu go odniesiono. Po wielu staraniach lekarzy przyszedł do zmysłów, lecz okazało się, że noga bardzo nadwreżoną była. Cesarz, skoro uwiadomiony został o tym nieszczęśliwym wypadku, natychmiast swego lekarza przysłał i polecił, aby księżę Józef, dla prędszego wyleczenia, udał się naprzód do Warszawy, a komendę swego korpusu zdał generałowi dywizyi Zajączkowi. Zaraz zatem księżę wyruszył w drogę do Warszawy, pod eskortą 12-go pułku ułanów, z jednym adjutantem i częścią swego dworu, zabrawszy z sobą także dwóch swoich wiernych kozaków.

Na początku grudnia 1812 r. po ciężkiej drodze, wielkich niewygodach i różnych wypadkach, księżę Józef, jeszcze cierpiący na nogę, przybył do Warszawy. W ciągu drogi z największem oddaniem się i troskliwością służyli mu ciż kozacy. Lecz jakież było zmartwienie księcia, gdy, niedaleko Wilna, Maksym z przeziębienia zachorował tak, że go ledwie do Wilna dowieźli, gdzie, pomimo najlepszych starań, wkrótce umarł. Został się przy księciu tylko Jóźko, który razem z nim do Warszawy przybył. Stanąwszy na miejscu, przy większych wygodach i staraniu księżę Józef odzyskał zdrowie, i zaraz też z wszelką gorliwością zajął się losem i organizacją wojska, powracającego z tej okropnej kampanii. W miesiącu lutym 1813 r. zmuszony był księżę przed zbliżającym się nieprzyjacielem

wymaszerować z wojskiem z Warszawy do Krakowa; kozak Józko wraz z jego dworem za księciem pospieszył.

Po uorganizowaniu wojska, zebranego w Krakowie i tegoż okolicach, musiał książę Józef z tegoż miasta ustępować, party przemagającą siłą nieprzyjacielską a mając wszelką komunikację przeciętą, wyrobił sobie u rządu austriackiego przejście wolne przez Śląsk, Morawy, Czechy do Saksonii. Wszedłszy do miasta Zittau, w miesiącu maju 1813 r., otrzymał rozkaz w okolicach tego miasta się rozlokować i dalszych rozkazów oczekiwać. Na początku sierpnia wypowiedziane było zawieszenie broni i rozpoczęły się kroki nieprzyjacielskie; korpus księcia Józefa był najpierw czynnym, a po różnych utarczkach szczęśliwych, gdy cesarz zaczął się cofać pod Lipsk, odebrał i książę Józef rozkaz z swoim walecznym korpusem przybyć pod to miasto.

Dnia 16-go października zaczęła się owa sławna walka z trzykroć liczniejszym nieprzyjacielem. Cała prawie Europa zgromadziła się, aby zwalczyć gwiazdę Napoleona. Wszystkie wojska obcych narodów, co były przy wojsku francuskim, opuszczały Napoleona, przechodząc do nieprzyjaciół. Jedni Polacy zostali mu niezachwianie wiernymi i wszędzie swą walecznością się odznaczali. Na dniu 15-go i 16-go października książę Józef z swym korpusem wielkie odnosił korzyści nad nieprzyjacielem. Napoleon, oceniając to, wyniósł go na godność marszałka Francyi, której to godności żaden przedtem cudzoziemiec nigdy jeszcze nie otrzymał, a którą udzielano tylko za największe zasługi i poświęcenie się.

Dnia 17-go października, gdy całe wojsko francuskie zaczęło ustępować z Lipska, korpus księcia Józefa z korpusem francuskim generała Regnier otrzymał rozkaz bronić miasta od nacisku nieprzyjaciela, oraz zaślaniać rejteradę całej armii francuskiej, która po wyjściu z Lipska gromadziła się w Lützen, a stamtąd ku granicom Francyi podążać miała.

Książę Józef, chcąc polecenie cesarza jak najakuratniej wypełnić, bronił się mężnie przeciw całej sile wojsk sprzymierzonych, a chcąc odwrót w największym porządku uskutecznić, wszystkie bagaże, tak swego korpusu jak i całego wojska francuskiego, wysłał naprzód. Przy bagażach księcia Józefa był i kozak Józko.

Wojsko polskie, coraz więcej parte od przemagającej siły, utraciwszy wielu ludzi, ustępować zaczęło z miasta, ale tak powoli i tak mężny stawiając opór, że nieprzyjaciel nie śmiał zbyt natarczywie nacierać, poznawszy męstwo, odwagę i przytomność polskiego wodza. Nieprzyjaciel każdy krok naprzód uczyniony drogo musiał okupić. Już część wojska polskiego i francuskiego przebrnęła rzekę Elsterę, gdy most przez nieporozumienie zawczasie w powietrze był wysadzony, a książę Józef jeszcze na czele garstki swoich dzielnie się opierał; lecz gdy nieprzyjaciel zaczął go oskrzydlać, książę, nie chcąc się dostać do niewoli, gdy piechota już przebyła rzekę, zwrócił się z garstką kirasyerów polskich, przy nim będących, do ogrodu Richtera, aby sobie drogę utorować i rzekę wpływ przebyć. Rzucił się z koniem w nurty Elstry. Już był niedaleko drugiego brzegu, gdy z obu stron od ogrodu strzelcy pruscy i szwedzcy się wdarli i celnymi strzały świętę księcia razić zaczęli. Trzy kule trafiły księcia, również i koń kulą ugodzony, chwytając się już brzegu przednimi kopytami, stoczył się napowrót w wodę i księcia wraz z sobą w nurt rzeki pociągnął.

Ostatnie te pamiętne książę Józef wyrzekł słowa:

— Bóg mi powierzył honor Polaków; Jemu go tylko oddam.

Wieść okropna o śmierci księcia jak błyskawica rozeszła się po całej armii, odpoczywającej po trudach strasznej trzydniowej bitwy na równinach między Lipskiem a Lützen, i napełniła wszystkie serca smutkiem, a tem bardziej Polaków, którzy, po stracie swego ukochanego wodza, obaczyli się osieroconymi i z rozpaczcy łzy wylewali. Sam cesarz Napoleon rzekł:

— Straciłem znów jednego z moich dobrych przyjaciół i o jednego bohatera mniej mam.

Ta wiadomość, gdy doszła do bagażów księcia Józefa, trzeba było widzieć, jak wszyscy płakali za najlepszym swym panem, a najpierwszy pomiędzy nimi Józek kozak, który, jak dziecko, oddawał się żalowi i rozpaczcy. Widząc to pułkownik Józef Szymanowski, który pierwaj był adiutantem u księcia Józefa i znał dobrze Józka, ujęty tem, że tyle cierpi i żalu i smutku, wziął go do siebie, aby mu wynagrodzić to przywiązanie do księcia Józefa i los znośniejszym uczynić. Od tego czasu Józek ciągle był przy pułkowniku Szymanowskim.

Cała armia francuska a z nią wojsko polskie zbliżało się ku Renowi. W Moguncyi otrzymaliśmy przeznaczenie udania się do miasta Sedanu, gdzie po tylu stratach mieliśmy się nanowo organizować. Po ukończonej organizacyi i po trzechmiesięcznym pobycie w tem mieście, za zbliżeniem się nieprzyjaciela do granic Francyi, otrzymało wojsko polskie rozkaz wyruszenia z Sedanu w okolice Clairmont i Compiègne. Pułkownik Szy-



Napoleon w okolicach Reims w 1814 roku
(obraz Jana Chelmskiego).

manowski z swoim 2-gim pułkiem zajął niedaleko Clairmont miasto Liancourt i jego okolice. Otrzymałszy wkrótce potem rozkaz udania się do Paryża w sprawach swego pułku i reszty wojska polskiego, odjeżdżając, zostawił Jóźka kozaka z swymi końmi i rzeczami przy mnie. Z tym Jóźkiem miałem wprawdzie wiele ambarasu, ale wiele też i pomocy. Był to człowiek poczciwy, w usłudze zręczny i przytomny, lecz gdzie tylko przechodziliśmy w całej Francyi, wszędzie natłok ludzi za nim chodził, przypatrując się i podziwiając jego ładny ubiór i postawę, z czego wnosili,

mając dziwne wyobrażenie o kozakach, że wszyscy oni tak są groźni z postawy. Był on bowiem wzrostu wysokiego, barczysty i męzny a przytem bardzo zręczny. Ubrany bogato, po kozacku, czarno zarastał, a na twarzy rumiany. Na koniu, po kozacku ubranym, gdzie się tylko pokazał, całą ludność poruszał, wszyscy biegli aby go widzieć, a gdy się dowiedzieli, że to nie kozak nieprzyjacielski, ale był kozakiem księcia Józefa i przy nim zawsze zostawał i do niego bardzo był przywiązany, we wszystkim starali mu się dogadzać, tak, że przy nim i mnie bardzo dobrze było i nieraz przez Jóźka wszystko można było mieć od Francuzów.

Od czasu odjazdu pułkownika Szymanowskiego Jóźko ciągle był przy mnie. Po abdykacyi Napoleona, gdy tenże oddał wojsko polskie cesarzowi Aleksandrowi w opiekę, otrzymaliśmy rozkaz wracania do ojczyzny; staliśmy wówczas w okolicy St. Germain, gdzie przybył pułkownik Szymanowski do mnie z Paryża, ażeby swego pocziwego Jóźka odebrać, którego uściskawszy, z żalem wielkim rozstałem się z nim, gdyż bardzo do niego przywiązałem się i przyzwyczailem. Wkrótce wróciło wojsko polskie do ojczyzny, a pułkownik Szymanowski pozostał jeszcze w Paryżu, będąc przydzielony do sztabu nowego naszego wodza, W. księcia Konstantego.

Po powrocie z Francyi, po odpoczynku kilkomiesięcznym, gdy W. książę Konstanty przybył z Petersburga do Warszawy, rozpoczęła się nowa organizacja wojska polskiego. W Warszawie często widywałem się z pułkownikiem Szymanowskim, który natenczas dowodził strzelcami pieszymi gwardyi, lecz nigdy nie przyszło mi na myśl zapytać się o kozaka Jóźka. Dopiero w roku 1821, stojąc w obozie pod Powązkami, gdy w mej barace po południu zajęty byłem czytaniem, wchodzi do mnie wysokiego wzrostu człowiek z dwoma koszykami owoców, jak to w obozie często obnoszono, i pyta, czybym nie kupił letnich berów? Ponieważ często podobne wizyty nam się naprzykrzały, odpowiedziałem krótko, że nie kupię; poczem człowiek ten zaraz się oddalił. Widziałem jednak przez okno, że żołnierzy przechodzących pytał o moje nazwisko. Za chwilę wraca, a zostawiwszy w przedpokoju koszyki z owocami, przybliża się do mnie i z rozculeniem ściska mnie za kolana. Nie poznawszy go, nie mogłem zrozumieć, czegoby odemnie żądał?

— Ach! mój panie drogi, jakież ja szczęśliwy, że po tylu latach choć teraz mogłem znaleźć pana! — zawołał i łzy mu się z oczu puściły. — Ileż to razy o panu myślałem! Czy też pan przypomina sobie Jóźka kozaka, który przy panu był we Francyi?

Zdziwiłem się, gdy mi swe imię wymówił i zrazu nie poznałem po tylu latach widząc go w innym zupełnie stroju i trochę podstarzałym. Uściskałem go serdecznie, a gdy zacząłem wypytывать o szczegóły życia jego od czasu naszego rozstania we Francyi, odpowiedział mi:

— Rozstawszy się z panem w St. Germain, jeszcze parę miesięcy bawiłem z moim panem pułkownikiem Szymanowskim w Paryżu. Dopiero przy końcu sierpnia 1814 roku powróciliśmy do Warszawy. Tu jeszcze rok byłem u mego pana. Poznawszy córkę dawnego służącego księcia Józefa, postanowiłem się z nią ożenić, co też uskuteczniłem, uwolniwszy się od służby. Już ośm lat mam żonę, z którą mam troje dzieci, syna i dwie córki. Syn mój na pamiątkę mego dawnego pana i ojca ma imię Józef. Odebrawszy zapis w sumie 300 dukatów od tegoż, zapewnił mi sposób do życia na cały mój wiek. Kupiłem sobie mały domek z ogrodem, moja żona pilnuje gospodarstwa, ja zaś arenduję latem ogrody owocowe w pobliżu Warszawy i w Warszawie zbywam owoce, w zimie zaś nabieram różne towary od markietanów i roznoszę po mieście. Sprzedaż ta wielki mi zysk przynosi. Mogę powiedzieć, że najszczęśliwszy jestem z ludzi, mam bowiem dobrą żonę i ładne a posłuszne dziatki i na niczem mi nie zbywa. Smutno mi tylko bardzo, gdy sobie przypomnę mego pana księcia Józefa.

Uściskałem serdecznie tego pocziwego i dobrego człowieka i niezmiernie byłem mu rad po tylu latach niewidzenia się z nim. Obiecałem go odwiedzić w jego domu, co też uczyniłem. Poznałem jego żonę i dziatwę, oraz domek, mały, ale schludny i porządny.

(Wybranowski R. generał).



BITWA POD BOSCO

(1799)



General (Dąbrowski) odebrał rozkaz dnia 28 (vendemiaire'a) wysłać pięćdziesiątą piątą i siedemnastą półbrygadę, które aż dotąd wchodziły w skład jego dywizyi, na garnizon do Genui, a w to miejsce dano mu trzeci batalion sto szóstej półbrygady i pierwszy batalion polski.

Ta dywizya zgromadziła się dnia 29-go w Campo Marone i przybyła dnia 30 do Voltaggio, gdzie generał Saint-Cyr założył był swoją główną kwaterę. Dywizya poszła tego samego dnia naprzód ku Novi. Jej forpocztzy zetknęły się z nieprzyjacielskimi; generał wzmocnił natychmiast swoją przednią straż naszymi grenadyerami i strzelcami i zaatakowawszy nieprzyjaciela, wyparł go z Novi.

Pierwszy batalion trzeciej półbrygady, nasi grenadyerowie i strzelcy wraz z jednym szwadronem naszej kawaleryi, wszystko pod dowództwem szefa trzeciej półbrygady Moutona, przeszło przez miasto i zajęło ogrody przedmieścia ku Pozolo. Trzeci batalion polski został w samem mieście.

Dywizya generała Laboissier'a posunęła się ku Pasturana a dywizya Vatrina przeszła w nocy przez Novi, zajmując pozycję między dywizją naszą i dywizją Laboissier'a w taki sposób, iż nasza dywizya formowała prawe skrzydło.

Z rana generał (Dąbrowski) odebrał rozkaz posunąć się na równiny ze swoją dywizją i zaatakować nieprzyjaciela, gdzieby go znalazł. Dy-

wizya, połączywszy się ze swoją przednią strażą, rozpoczęła ruch ku Pozolo. Generał Laboissière rozpoczął atak, po nim Vatrin, a za Vatrinem Dąbrowski. Wyparliśmy nieprzyjaciela z Pozolo; cofał się on z wolna, broniąc się w jednej pozycji i przechodząc na drugą. Im więcej się cofał, tem bardziej wzmacniał swój front, aż do czasu przybycia swego do Bosco. Dano nam jeden granatnik.

Nieprzyjaciel stanął w szyku bojowym przed tą wioską. Generał Saint-Cyr nakazał, abyśmy toż samo zrobili z naszej strony. Nasza legia sformowała się w kolumnę na lewem skrzydle, mając na swem czele batalion pierwszy. Generał rzucił strzelców na jej lewą stronę, a grenadyerów w masie postawiono trochę wysuniętych naprzód, na prawo tej kolumny. Jeden batalion sto szóstej półbrygady formował kolumnę z prawej strony, drugi batalion formował rezerwę, a granatnik umieszczono między trzecią a szóstą półbrygadą. Nie było wcale kawaleryi, aby ją można było umieścić w linii.

Nieprzyjaciel miał dwanaście dział w czterech bateriach, wystarczającą linię piechoty i wiele kawaleryi. Te siły były naprzeciw naszej dywizyi, oddzielone od niej równiną, mając wieś Bosco na swych tyłach.

Dywizye Laboissière'a i Vatrin'a wyparowały jednocześnie nieprzyjaciela, jakiego znalazły przed sobą i ścigały go aż do Bosco. Tam zajęły one pozycję, opierając swe prawe skrzydło o znajdujące się tam bagno, a swoje lewe łącząc z linią, która znajdowała się przed nami, i tym sposobem otaczając wioskę i zakrywając wielki trakt z Novi do Aleksandryi. Generał Karaczey, dowódzca wojsk austriackich, zapewniwszy sobie prawe skrzydło, uderzył na dywizję Laboissière'a z taką siłą i gwałtownością, iż ten w początku nieco się zachwiał. W tej samej chwili generał Saint-Cyr polecił generałowi Vatrinowi i Dąbrowskiemu uderzyć na nieprzyjaciela, który począł już dawać ognia ze swych baterij i który, widząc u nas małą ilość kawaleryi, posunął swoją naprzód; dostrzegł on także, że odpowiadamy mu tylko z jednego działu. Lewe skrzydło Vatrina postępowało za ruchem dywizyi Laboissière'a, lecz jego prawe skrzydło zakryte zaroślami i rowami, trzymało się silnie w swej pozycji. Dąbrowski przygotował się do ataku w następny sposób. Drugi batalion miał zostać na

swej pozycji a pierwszy przeszedł na prawo, aby zappełnić próżnię między legią a trzecią półbrygadą; grenadyerzy cofnęli się, aby zakryć na lewo strzelców a na prawo drugi batalion. Sformowaliśmy się w taki sposób, cztery kolumny, dwie polskie, mające swoje dwie przestrzenie, zakryte przez grenadyerów i strzelców, dwie inne z trzeciej półbrygady mając



Postój armii francuskiej w górnym Egipcie (2 luty 1799)
(według obrazu Tardieu).

owe przestrzenie zakryte przez nieco kawalerii i granatnik. Jenerał Saint-Cyr zostawił sto szóstą półbrygadę w rezerwie, polecając jej obserwować lewe skrzydło nieprzyjaciela. Generał Jabłonowski dowodził kolumną polską na lewo, a szef Strzałkowski kolumną na prawo. Atak rozpoczął się krokiem podwójnym, z najeżonymi bagnetami.

Nasz drugi batalion uderza na nieprzyjacielską kawalerię, stojącą naprzeciw niego i przewraca ją najzupełniej. Ta kawaleria wywracała

grenadyerów, następujących w samym końcu owego batalionu na lewo, rzuca on się więc w tej chwili na baterię nieprzyjacielską o czterech działach, która strzałami kartaczowymi wyrządzała wiele złego jego środkowi. Zabiera armaty, zostawia je poza sobą i formuje się następnie, aby się rzucić na piechotę, którą przed sobą widzi. Wówczas nieprzyjaciel miotać poczyną przeciw niemu strasznym batalionowym ogniem, przed którym batalion drugi zachwiał się na chwilę i usunął się na lewo; ten ruch złamał kolumnę, kawalerya nieprzyjacielska spostrzegłszy to, uderza natychmiast na ów batalion i na grenadyerów i, bez względu na ogień, którym ich prażą ci ostatni i strzelcy, poczyną rąbać ich pałaszami. Pierwszy batalion ze swej strony zniósł piechotę nieprzyjacielską, którą miał przed sobą i zmusił artylerię schronić się do wsi.

W tej chwili generał (Dąbrowski), widząc co się dzieje na jego lewym skrzydle i pewny ucieczki nieprzyjaciela, odpartego przez batalion pierwszy, każe temu batalionowi natychmiast wykonać pół obrotu w lewo, dać ognia całym batalionem i z nastawionym do ataku bagnetem, uderzyć na kawaleryę nieprzyjacielską, która zbiła już prawie cały batalion drugi. Grenadyerzy zatrzymali się także i stanęli na pozycji. Nakazuje więc pierwszemu batalionowi z trzeciej półbrygady ruch na lewo.

Cały ten batalion zawołał — pójdźmy! trzeba wspierać tych walecznych Polaków! — i uderzył z bagnetem w rękę na kawaleryę nieprzyjacielską.

Generał Saint-Cyr przybywa z rezerwą; prawe skrzydło generała Vatrina przenosi się naprzód; rzucają się więc z bagnetem na nieprzyjaciela, rozbijają go najzupełniej i wypierają do wsi Bosco. Kawalerya nieprzyjacielska, która rąbała nasz batalion, nie ma już ani miejsca, ani czasu ratować się ucieczką, zabraliśmy ją prawie całą do niewoli. Prawe skrzydło nieprzyjacielskie, które atakowało dywizję Laboissier'a, widząc, co się stało z resztą jego korpusu, poczęło uciekać, później atoli poszło już w rozsypkę wzdłuż Orby, gdyż wieś Bosco była już zajęta przez nasze wojsko. Cały nasz korpus posunął się naprzód, ścigając nieprzyjaciela na wszystkich punktach.

Noc zakończyła wreszcie walkę i Vatrin odebrał rozkaz zająć pozycję

na prawo nad Serivią, niedaleko Rivalty. Dąbrowski niedaleko od Pozolo i Quattro Cassini, a generał Laboissier we wsi Bosco i Fragarole nad Bounidos.

Legia nasza zabrała w tym dniu zwycięskim cztery działa i sześćset niewolników, a straciła około trzystu ludzi w poległych na miejscu lub zmarłych z ran. Porucznicy z drugiego batalionu Gazan, Piawecki, Gryliński i Szczubielski polegli. Z wyjątkiem dwóch tylko, wszyscy oficerowie z tego batalionu byli ranni, kapitanowie Billing, Laskowski, Koszutski i Kozakiewicz; porucznicy Słoński, Kołodyński, Lukiewicz i podporucznicy Wasilewski, Serwacki, Szremer, Gałęcki i Truszkowski. Rannymi w batalionie pierwszym byli kapitanowie Melfort, Winnert, Kiliński, a w grenadierach porucznik Bogdanowicz.

Generał Jabłonowski był lekko ranny; po dwakroć brany do niewoli przez kawaleryę nieprzyjacielską, został odbitym przez naszą kawaleryę.

Generał (Dąbrowski) może się pochlubić szczególniejszem szczęściem w tej bitwie, gdyż w tej samej chwili, w której on odcinał pałaszem kanonierowi austriackiemu łont od jego działa, kula karabinowa, trafiwszy w generała, przeszła przez książkę, którą miał przy sobie, i straciła w ten sposób siłę zranienia go niebezpiecznie.

(Dąbrowski Henryk, generał).



W MARSZU DO GRODŃA

(1812)



Na wiosnę 1812 r. odjechał król saski do Drezna, a my coraz bardziej do wojny gotowaliśmy się. Wkrótce po odejście króla dostała cała jazda rozkaz przejścia na prawy brzeg Wisły; nie wiedziałem wtedy, co było powodem tego ruchu, bo w jednym czasie piechota na lewy brzeg Wisły przechodziła. Sądziłem, że nas chciano wprawiać w służbę obozową, bo niedługo po przejściu ruszyliśmy za Bug i czasami obozowaliśmy, trzymając forpocztę jakby w wojnie. Dopiero tu, w Paryżu, dowiedziałem się, że te ruchy nastąpiły z powodu zawiadomienia tajemnego, jakie książę Poniatowski z Petersburga otrzymał, a w którym go uprzedzano, że wojska rosyjskie chcą wpaść na nas i zniszczyć wojsko polskie Księstwa Warszawskiego, przed nadejściem wojsk francuskich, które były w marszu, i niektóre oddziały już były do Warszawy doszły; bo pamiętam, będąc jeszcze w Warszawie z pułkiem, kiedy gwardia króla westfalskiego przybyła tamże, pułk nasz miał zrazu główną kwaterę w Mińsku, ja zaś z 5-tą i 6-tą kompanią stałem w Kałuszynie i nie wiem z jakiego powodu mnie administrację tych dwóch kompanii powierzono. Ta administracja była w owym czasie prawdziwym dowodem ufności, gdyż, pomimo uchwały sejmowej, kraj nie był w stanie liwerunków składać i książę Poniatowski, wierny przemówieniu w sejmie, *via facti* upoważnił dowódców pułku do zabierania żywności

i furazu tam, gdzie je znajdują. Forma do tego przyjęta była następująca, którą cytuję, lubo z pamięci. Rozkaz jaki od pułkownika odebrałem i jaki dawałem oficerom moim podkomendnym, których z oddziałami na zbieranie żywności i furazu wysyłałem, rozkaz ten brzmiał jak następuje: «Stosownie do rozkazów wyższych i do upoważnienia mi w tym względzie danego, wysyłam podporucznika N. N. do wsi N. N., gdzie ma rozkaz zabrania wszystkiego, co tylko do żywności ludzi lub koni służyć może, na co kwit tymczasowy napisze, który ja na formalny kwit zamienię.» Łatwo można sobie wystawić, jak podobna arbitralność do różnych zdrożności otwierała drogę. Już powiedziałem powyżej jak porucznik G. haniebnym postępkiem chciał korzystać z nieszczęścia krajowego, lecz były odcienia, które zyski dawały, które się nigdy usprawiedliwiać nie dały. Mnie samego chcieli żydzi w Kałuszynie skusić. Miałem kilkaset korcy żyta tym sposobem rekwizycyjnym zebranych, które na obroki dla koni, mierząc ośm kwart zamiast 11-u owsa, rozdawałem. Przyszli żydzi z przedstawieniem, że żyto niezdrowe dla koni i że to na owies zamienią. Odpowiedziałem im, że chętnie to zrobię, lecz w stosunku cen, jakie były na targu, żyto było po 24 zł. a owies po 9 i że chcę owsa próbki widzieć. Żyd zaś mówi do mnie: «Co wielmożny pan taki skrupulat, weź pan korzec za korzec, a my panu do kieszeni po 2 talarki do korca dodamy» i pokazał potem próbkę owsa, gdzie więcej marchwicy jak owsa było, t. j. że owies nic nie wartął i żyd byłby poprostu żyto po 2 talary kupił. Gdym tego targu odmówił, żyd do mnie: «Jaki to pan dumny, tu stał kapitan K. pułku N., ten zawsze tak robił i jemu było dobrze i nam było dobrze.» Żydzi zręczni, wprzód i stary miód i młodą kobietę podsunęli, lecz ja jedno i drugie podług ceny targowej zapłaciłem, a rznąc pilno sieczkę, żytem dalej konie pasłem. Odebrali jednak żydzi dowód, że jeżeli skarbu krzywdzić nie chciał, to umiałem pilnie uważać, aby się krzywda nikomu nie stała. Razu jednego o jedynastej w nocy wpada do mnie żyd, żaląc się z płaczem, że mu żołnierze 2 kopy sukmanek, które na targ był przywiózł, ukradli; sukmanki te, które szlachta okoliczna zagonowa licznie tu zamieszkała nosi, były snopkami powiązane, co łatwo ukradzenie robiło. Takżem znał dokładnie charakter każdego żołnierza, żem zaraz po-

szedł do sierżanta Wysockiego i z nim do plutonu jego, za strumykiem tam płynącym stajnię mającego, i zapytałem się, czy skrzydłowy mój Fruszyński i rekrut Kozłowski śpią przy koniach, a przekonawszy się, że ich niema, sierżanta Wysockiego na moście zostawiłem z rozkazem, aby tych dwóch ludzi pilnował, i jak będą przechodzić, im się pokazał, tak żeby się wyprzeć nie mogli ani czasu, ani miejsca, gdzie się z nim spo-

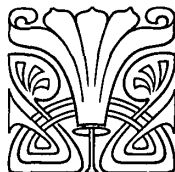


Hieronim Bonaparte
(według obrazu Grossa).

tkali. Stało się podług mych rozkazów i o 8-ej z rana żydowi sukmanki, w kupie gnoju przez tych dwóch żołnierzy zakopane, zwrócone zostały, a sąd kompaniczny złodziei tych skazał na odebranie w goły tyłek po 200 podogoniów, oprócz tego w koszulach z rozkazu już mego zostali w lochu zamknięci. Nieraz jeszcze o tym pijaku Fruszyńskim będę miał do wspomnienia. Co do tego wypadku dodam tylko, że nazajutrz wachmistrz mój Wroński przyszedł do mnie z raportem jakby wielkiego nieszczęścia, donosząc że Fruszyński uciekł. Był to bowiem stary żołnierz,

który już kampanie r. 1806 i 1809 był odbył; lecz ja, daleki od nie-szczęścia, dałem podobno 2 zł. wachmistrzowi, żeby kazał mszę odprawić, żem się pijaka i złodzieja tego pozbył. Nie wiem, czy to radość moja czy też wstyd dezercyi przed wojną zrobiła, że Fruszyński wrócił. Po kilku tygodniach pobytu w Kałuszynie ruszyliśmy za Bug ku Ostrołęce, w której okolicy niejaki czas staliśmy, co sobie z tego przypominam powodu, że chłopci okoliczni pod upoważnieniem naszym bursztyn w bag-nach kopali za zapłatą 2 zł. dziennie i zapewne sumiennie, co znaleźli bursztynu, oddawali, gdyż były niektóre sztuki bardzo na cybuchy przy-datne. Dat poruszeń naszych nie pamiętam, wiem, żeśmy ruszyli w okolice Makobud, nimeśmy w marsz wojenny ku Grodnu postąpili.

(Henryk Dembiński, generał).



SAN-DOMINGO

(1802)



SZTANDAR
(według obrazu Georges Bertrand).



Pierwszy konsul
(według obrazu Isabey'a).



W dniu 1 lutego 1802 roku ekspedycja francuska zarzuciła kotwicę u wejścia do miasta Cap Français, stolicy wyspy, a gdy załoga tejże odmówiła oddania warowni wojskom Rzeczypospolitej, wyładowała dywizja generała Rochambeau opodal od miasta i, opanowawszy jeden z fortów, posiadających słabszą załogę, wycięła w pień takową.

Krwawy ten czyn wywołał pragnienie zemsty wśród czarnych. Wojna za wojnę, zniewaga za zniewagę, stały się hasłami dnia i zaraz w pierwszej chwili kilkudziesięciu plantatorów, śpieszących na powitanie wojsk francuskich, padło pod nożem rozwścieczonych murzynów, poczem komendant stolicy, murzyn Krzysztof, pierwszy podłożył płonącą żagiew pod dom własny i niebawem morze płomieni ogarnęło całe miasto.

Tak więc przybycie wojsk republikańskich rozpoczęło się od rzezi i pożogi. Walka między murzynami a białymi przybrała charakter nieubłaganego boju na śmierć i życie, przyczem obie strony wojujące tępiły się wzajemnie ogniem i mieczem.

Szczęście zdawało się zrazu sprzyjać czarnym, obeznanym lepiej z miejscowością, lecz niebawem taktyka generałów francuskich, dowo-

dzących żołnierzem ostrzelanym w boju, wzięła górę nad osobistą odwagą i poświęceniem źle uzbrojonych murzynów. Kolejno dowódcy powstańców: Krzysztof Clervaux, Maurepas i Dessalines składali broń, więc opuszczony przez nich Toussaint-Louverture nie widział dla siebie innej drogi ratunku, jak wejście w układy z Francuzami. Myśli tej nie był też niechętny Leclerc, który już zaledwie dwanaście tysięcy ludzi mógł wyprowadzić w pole. Reszta padła w boju, leczyla się z ran, lub też, nieprzywykła do miejscowego klimatu, przepełniała wojenne lazarety. Odwołał więc postanowienie, wyjmujące Toussainta z pod prawa; «pierwszy z murzynów», jak go pompatycznie zwały relacje współczesne francuskie, w początku maja 1802 roku poddał się Francuzom, którzy go przyjmowali z wojskowymi honorami. Sam Leclerc ścisnął czule Toussainta, przyrzekając mu protekcję rządu francuskiego oraz zapomnienie przeszłości, co do której, jak się wyrażał, wina jednaka ciążyła na nich obydwu. Były naczelnik czarnych odjechał następnie z Cap'u do swych posiadłości wiejskich, gdzie zdała od spraw politycznych zajmował się wyłącznie uprawą roli.

Tymczasem Leclerc, ośmielony tak szybkim uśmierzeniem powstania, zaprowadzał na wyspie rządy wojskowe, drażniąc ludność oraz armię kolonialną szeregiem rozporządzeń, bezwzględnością swą przypominających epokę terrorystycznych rządów we Francji. Równocześnie doszły do San Domingo pewne wieści, że projekty pierwszego konsula, dotyczące przywrócenia handlu niewolnikami i niewolnictwa, uzyskały już sankcję prawną ze strony rady stanu i senatu.

W tymże czasie pojawił się na wyspie największy sprzymierzeniec murzynów, żółta febra, zwana przez krajowców «mal de Siam». Epidemia ta, nieszkodliwa dla ludności miejscowej, zabójczą zwykle bywała dla przybyszów, nieoswojonych jeszcze z klimatem wyspy. Zabijała ona swe ofiary niekiedy na miejscu, a czasem znów przedłużała męczarnie konania do siedmiu, a nawet jedenastu dni. Zaraza wybuchła zrazu w Cap-Français, gdzie powstanie jej starano się wytłumaczyć zabójczymi wyziewami, wydobywającymi się z sąsiednich bagnisk, lecz niebawem ukazała się także w Porte-au-Prince, skąd dostała się do wnętrza wyspy.

Napróżno stosowano wszystkie sposoby lekarskie — opowiada w swych zapiskach Wierzbicki — co jednym pomagało, drugim szkodziło, a sztuka ustąpić musiała tej pladze, którą Bóg zesłał jako przestrożę lub karę. Demoralizacja największa opanowała wojsko. Opuszczony w ubiorze, smutny i zniechęcony żołnierz, choć jeszcze niedotknięty chorobą, przeczuwał, że go nie minie, że daleko od rodzinnej ziemi przy-



Koronacja Józefiny
według obrazu Davida.

dzie mu kości złożyć i ojczystej strzeczy więcej nie zobaczy. Jedni oddawali się wyuzdanej swywoli i bezprawiom, drudzy gotowali się na śmierć. Szpitale przepełnione były chorymi, którzy często, leżąc na ziemi, bez żadnego pozostawali zaopatrzenia. Subordynacja wszelka ustała. Żołnierz był równy generałowi, nikt już nie marzył o sławie, o wygranych bitwach. Przyjaźń zamilkła, złodowaciało serce, nie słyszano ani wojennej piosnki, ani szczęku oręża. Odgłos nawet dzwonu już nie zwoływał wiernych na modlitwę, ani godziny śmierci zwiastował, każdy bowiem lękał

się, nikt nie śmiał westchnąć do Boga. Podczas gdy śmierć nieubłagana nie przestawała wybierać upatrzonych ofiar, Paulina, siostra pierwszego konsula, a małżonka kapitana generalnego Leclerca, przeniósłszy się z miasta Cap Français do wiejskiego mieszkania, wśród zabaw, uczt i balów starała się zapomnieć o niebezpieczeństwie, o zarazie i o śmierci. Huczna muzyka tłumiła głośnie jęki konających. Nieraz wśród balu wynoszono umierającego, a tańce, przerwane na chwilę, rozpoczynano na nowo.

Straszliwe spustoszenie zrządzone w szeregach francuskich skutkiem zarazy nie uszło uwagi czarnych, uciskanych bezlitośnie rządami wojskowych, a wieść o przywróceniu niewolnictwa na Guadalupie, świeżo opanowanej przez wojska republikańskie, dołała jeszcze oliwy do ognia. Zaraz też w kilku miejscowościach wyspy, pojawiły się czarne bandy powstańcze, z czego skorzystał Leclerc, by pojmanego podstępnie Toussainta, obwinionego przez osobistych nieprzyjaciół o znoszenie się z buntownikami, uwięzić wraz z całą rodziną pod zarzutem zdrady stanu i odesłać do Francji. Toussaint, osadzony w twierdzy Joux, w górach Jura umarł w niej w kwietniu 1803 roku, zaduszony podobno, czy też otruty z wyższego rozkazu. Widmo nieszczęśliwego murzyna w generalskim mundurze i w białym turbanie ścigać miało Napoleona w jego przedśmiertnych wizjach wśród skał Langwoodu.

Opuszczając San Domingo, powiedział Taussaint do komendanta, odwożącego go do statku Savarego:

— Strącając mnie, powalono tylko pień drzewa wolności murzynów, lecz wolność zakwitnie dla nich z licznych korzeni, bo te głęboko wrosły w ziemię!...

Tak też było w istocie, gdyż, mimo porwania Toussainta, powstanie szerzyło się z nadzwyczajną szybkością po wyspie, a Francuzi, nie mogąc sprostać całej ludności murzyńskiej, chwytającej za broń, musieli przejść z zaczepnego w obronne działanie, by utrzymać się w posiadaniu miejsc warownych, przedstawiających dla nich jedyny punkt oparcia.

Napróżno Leclerc, podżegany przez swe otoczenie licznymi egzekucjami zapragnął rzucić postrach na wyspiarzy. Pastwiono się w sposób iście barbarzyński nad pojmanymi powstańcami. Murzyni, ujęci z bronią

w rękę, ginęli wśród najokropniejszych męczarni, lecz powstańcy nie omieszkali mścić się w podobny sposób na schwytanych żołnierzach francuskich, dziesiątkowanych żółtą febrą lub też ginących marnie wśród ciągłych starć z buntowniczymi oddziałami. Dwudziestu generałów i dwie trzecie części wojsk republikańskich, wysłanych na podbicie wyspy z początkiem 1802 roku, znalazło na niej zgon przedwczesny w ciągu niespełna sześciu miesięcy, a Leclerc, przepowiadając utratę kolonii, domagał się nieustannie świeżych posiłków. Jakoż posyłano mu podostatkiem żołnierza, gdyż już w kwietniu t. r. wyprawiono na San Domingo świeży



korpus, złożony z pięciu tysięcy ludzi. O ile jednak wyprawiane pierwotnie wojska składały się z wyborowego żołnierza, o tyle następnie wysyłane oddziały tworzone z szumowin armii, z ciurów i z dezerterów, gdyż lepsze pułki zatrzymywał pierwszy konsul w kraju, zachowując je dla wykonywania swych planów na europejskim teatrze wojny.

Tymczasem burza srożyła się najokropniej w lecie 1802 roku na całym obszarze wyspy. W niektórych oddziałach armii francuskiej zabrakło już zupełnie oficerów sztabowych, podczas gdy murzyni, paląc i rabując wszystko, co im pod rękę wpadło, występowali z coraz to większą zawziętością przeciw białym, zwłaszcza od czasu, gdy na stronę powstańców, przeszedł wraz z całą brygadą wojsk kolonialnych generał Karol Belair. Mula ten, ogłosiwszy się wodzem naczelnym powstańców dał się srodze

we znaki Francuzom, którym poprzysiągł zemstę za Toussainta. Przeciw niemu to wysłano w sierpniu t. r. generałów Bruneta i Verneta, tudzież Władysława Jabłonowskiego, który, wyprawiony z rozkazu pierwszego konsula na San Domingo, dowodził półbrygadą wojska francuzkiego.

Przez czas dłuższy wymykał się Belair ścigającym go, lecz ostatecznie zastąpił mu drogę Jabłonowski w dniu 29 sierpnia t. r. (1802) i po bitego na głowę zmusił do ucieczki.

— Po skończonej bitwie — pisze o tem spotkaniu Vernet do Bruneta — złączyłem się z oddziałem generała Jabłonowskiego, który, skarżąc się na ból głowy, udał się do murzyńskiej chaty, gdzie miał kwaterę, mówiąc, że dalsze ściganie band powstańczych powierzył majorowi Repussard oraz, że Dessalines zachodzi tymże bandom drogę od frontu, zatem wymknąć się nie mogą. Posłałem Jabłonowskiemu lekarza, a kiedyś się nazajutrz rano dla odwiedzenia chorego wybierał, powrócił lekarz do mnie oświadczając, że Jabłonowski, już od kilku dni ciężko chory, przed godziną życia dokonał. Objąłem natychmiast dowództwo trzydziestej ósmej brygady a ciało Jabłonowskiego odesłałem pod konwojem do Verettes, z listem do tamtejszego proboszcza, aby je na cmentarzu przyzwoicie pochował.

Tak skończył towarzysz Napoleona ze szkolnej ławy, o którym następca Leclerca, generał Rochambeau, wyraził się w swem sprawozdaniu, iż był to waleczny, polski generał, który niezaprzeczenie oddał Francji wielkie usługi.

(Według opracowania St. Pełowskiego).



PRZEGLĄD

(1813)



PRZEGLĄD CESARSKI
(według obrazu Bellangé'a).



W sierpniu przypadały imieniny Napoleona (d. 15 t. m.) więc też na cztery czy pięć dni naprzód, kazano w całej armii obchodzić to święto z wszelką, na jaką można się było zdobyć, okazałością, a nawet z illuminacją. My więc w Zerbst wydaliśmy bal dość wesoły, chociaż zaimprovizowany na prędkę. Na placu ratuszowym, przed moimi oknami była illuminacja, wśród której najwystawniej figurowała cyfra N. tej, jak tu wyrażam, formy. Ale że tego wieczora był wielki wiatr, przeto pierwsza szczególniejsza linia tej cyfry, nieco więcej może na przeciąg wystawiona, ciągle gasła, choć ją razy kilka zapalać kazałem. Tak zamiast N robiło się A i wówczas szefom batalionu Bogusławskiemu oraz Trębickiemu powiedziałem, iż kto wie, czy miasto Napoleona nie będziemy kiedyś musieli illuminować i fetować Aleksandra. Rychło też się sprawdziła niewinna moja wróżba.

W parę dni potem przyszedł rozkaz od Napoleona z Drezna, aby cała dywizja Dąbrowskiego skoncentrowała się w Lipsku pod dowództwem Arighi, księcia Padwy. Cesarz zapowiedział równocześnie swój przyjazd do Lipska celem zlustrowania jazdy. Tymczasem Berthier, powziąw-

szy prawdziwą, czy też zmyśloną wiadomość, iż studenci z Halli zamierzają Napoleonowi zastąpić w przejeździe drogę, kazał w sześciu czy też w ośmiu miejscowościach rozstawić eskorty po kilkudziesięciu kawalerzystów, co zaraz o połowę zmniejszyło naszą brygadę jazdy, a cesarz jadąc spiesźnie z Berthierem oraz z adjutantem swoim Moutonem, mało co zważał, że go tyle jazdy polskiej eskortuje. Podczas przeglądu ustawiła się dywizya Dąbrowskiego w ten sposób, że kawalerya zajęła stanowisko tuż obok miejsca, w którym cesarz wysiąść miał z pojazdu, zaś nasze trzy pułki piechoty stały rozwinięte jeden obok drugiego. Mój pułk drugi, jako posiadający numer najmniejszy, stał podług przepisu na prawem skrzydle, sprezentowawszy broń. Cesarz wyszedł z powozu i, zoczywszy przed sobą jeno szczupłą garść jazdy, wpadł w furę i zaczął besztąć księcia Arighi i generała Dąbrowskiego a do Berthiera głośno powiedział:

— Idź do dyabła stary niedołęgo! — poczem Dąbrowskiemu oraz księciu Arighi jeszcze gorsza kwalifikacya się dostała; której tu nawet powtarzać nie chcę. Szukał cesarz sposobności, by na piechocie złożyć swą wywrzeć. A trzeba wiedzieć, iż w Dreźnie, gdzie codziennie na przegląd gwardyi wychodził, wprowadzono w mustrze pieszej manewr, nieobjęty regulaminem a polegający na zdjęciu oraz na wkładaniu bagnietów w pewnem tempie. Napoleon, chcąc mieć przeto pretekst do łajania nas, stanął przed moim pułkiem i kazał mi przedewszystkiem zsiąść z konia.

— Zsiądź z konia pułkowniku — rzekł cesarz — za wiele sprawia-cie kurzu.

Natychmiast więc zeskoczyłem z mojej ślicznej klaczy angielskiej i, uderzywszy ją szpadą, skierowałem między nagromadzone liczne pospólstwo. Cesarz kazał wziąć żołnierzom broń na ramię, zdjąć i osadzić bagnety. Manewr ten, ściśle wykonany według regulaminu, nie podobał się cesarzowi, więc zwróciwszy się do Dąbrowskiego zawołał:

— Jak to być może, więc nie ćwiczycie żołnierzy? Co to za pułkownik!

Usłyszawszy raz i drugi taką wymówkę, odważyłem się przemówić do cesarza w te słowa:

— Najjaśniejszy panie! Jeżeli Jego Cesarska Mość sądzi, iż mój

pułk nie umie dobrze zdejmować i osadzać bagnetów, to w każdym razie potrafi się nimi dobrze złożyć do ataku!

Siedm razy z rzędu kazał nam cesarz atakować a gdy generał Mouton, obdarzony nader silnym głosem chciał go wyręczyć w komendzie, jak się to zwykle praktykowało, rzekł mu Napoleon:

— Bądź cicho, chcę się przekonać, czy pułkownik zna swą powinność...

— Niejednego, być może, podobne przemówienie mogło zdemontować, mnie zaś Bóg miłosierny udzielił daru, iż w im trudniejszym znajduję się położeniu, tem mocniej zdołam zebrać wszelkie, jakkolwiek słabe zdolności moje i przytomność mnie nie odstępuje. Komenderował więc cesarz różne obroty i żadnego nie dał zupełnie wykończyć, lecz, widząc, iż idzie podług regulaminu, zaraz komenderował inny i znowu inny, co ośm lub dziesięć razy powtarzał, a często mówił:

— To dobrze, tak jest dobrze...

W końcu wpadł Napoleon w tak wyśmienity humor, iż kazał nam, pułkownikom, podać po czterech oficerów i po czterech podoficerów, lub szeregowców do krzyża legii honorowej. Zaraz więc wzięliśmy się do pularesów, i nazwiska kandydatów podaliśmy Berthierowi. Miałem ja w pułku moim adjutantem porucznika Lenkiewicza, małego bardzo wzrostu ale tęgiego oficera. Był on moim faworytem a choć nic nie umiał po francusku, okazał się nieraz zwinny i dzielny żołnierzem. Otóż ów Lenkiewicz widząc, że podaję Berthierowi listę kandydatów do krzyża, zapytuje mnie:

— Pułkowniku, a ja tam jestem?

Gdym mu z żalem odpowiedział, że nie podałem jego nazwiska, począł mój porucznik narzekać, że o nim zapomniał, choć mu przedstawiałem, iż nie mogłem przecież pominąć obu szefów batalionowych, Bogusławskiego i Trębickiego, tudzież dwóch najstarszych kapitanów. Wszystko to go nie pocieszało, mówię więc do Lenkiewicza:

— Widzisz, że niedaleko stoi cesarz. Idź śmiało i proś go o krzyż. Ja tuż będę i poprę twą prośbę a ręczę ci, że legię dostaniesz.

A on mi na to:

— Kiedy nie umię po francusku...

— Powiedz tylko słowa: Sire moi croix — odrzekłem i podszedłem ku cesarzowi, wobec którego mój malec wyrecytował nauczony frazes.

— Czego chce ten smarkacz? — pyta Napoleon.

Wówczas ja wytłumaczyłem prośbę Lenkiewicza z tym dodatkiem, iż, mogąc podać do krzyża tylko czterech oficerów z mego pułku, musiałem go pominąć.

— A czy zasługuje na krzyż? — zagadnął cesarz.

— I bardzo zasługuje — odpowiedziałem.

— Więc go dopisz — mówi Napoleon — i tak się też stało. Na liście Berthiera dopisałem nazwisko Lenkiewicza, który otrzymał krzyż tyle upragniony.

Po odjeździe cesarza, Dąbrowski przywołał mnie i w obecności wielu oficerów uściskał serdecznie, dziękując, iż mą przytomnością umysłu i całą jego dywizję i jego samego z wielkiej wyprowadziłem biedy.

Szymanowski J. generał adjutant marszałka Davoust.



NAGRODA

(1803)



CZWOROBOK (1815)
(według obrazu Protais).



Nagle, jak grom z jasnego nieba, spadł na legionistów, załogujących w Reggio, rozkaz gotowania się do wymarszu, o którym to rozporządzeniu rząd cyzaliński wcale nie został uprzedzony.

W trzy dni później żołnierze byli gotowi do pochodu. Aksamitowskiego zawezwano do Parmy, dokąd zjechał sam Murat, podczas gdy przysłany przez niego generał Ottavio odbywał w Reggio przegląd półbrygady, liczącej w owym czasie trzydziestu siedmiu oficerów i 2.750 szeregowców.

W czasie owego popisu rozeszła się między legionistami wiadomość o ich przeznaczeniu na San Domingo, oraz oznajmiono im, iż w dniu 10 grudnia tego roku, wódz naczelny w Parmie odbędzie paradny przegląd półbrygady. We wzorowym ordynku weszli legioniści w dniu oznaczonym do tego miasta, lecz Murat, uprzedzony przez Aksamitowskiego o możliwości rozruchu wśród żołnierzy, uznał za stosowne wyjechać do Mantui, zostawiwszy jednego ze swych adjutantów, celem oznajmienia przybyłym rozporządzenia pierwszego konsula.

Zaledwie też nasi stanęli na placu zboru, naprzeciw rezydencji księżęcej, gdy pojawił się wysłannik naczelnego wodza i, otoczony wywołanymi z szeregów oficerami, odczytał im rozporządzenie następującej treści:

— «Pierwszy konsul, nagradzając zasługi i waleczne czyny drugiej półbrygady włoskiej, wciela ją do armii republikańskiej, nadając jej numer setny czternasty półbrygady liniowej francuskiej, a chcąc ją do dalszych podobnych czynów zachęcić, przeznacza ją na San Domingo, gdzie nasze wyborowe pułki francuskie w nagrodę... wysyłane bywały. Skoro tylko brygada setna czternasta stanie na miejscu swego przeznaczenia, oficerowie i żołnierze otrzymają naturalizację francuską z używalnością wszystkich praw i przywilejów obywateli Rzeczypospolitej». — Niech żyje Francya! Niech żyje pierwszy konsul! — odpowiedzieli żołnierze i w tejże chwili puste dotąd ulice zaroily się tłumem mieszkańców. Okna i balkony wypełniły się strojnemi paniami, witającemi radośnie powiewaniem chustek i okrzykami idące do koszar wojska.

I teraz dopiero się okazało, że ludność Parmy, zaniepokojona pogłoskami o buncie legionistów, zamknęła się podczas ich wejścia do miasta w swych domostwach, lecz, przekonawszy się naocznie o spokojnej postawie wojska, wyruszyła tłumnie na jego przyjęcie.

— W rzeczy samej dzień ten był uroczysty dla Parmy — powiada Małachowski — a dla nas dniem pewności, że udajemy się tam, dokąd rokiem wprzód wysłano naszych braci.

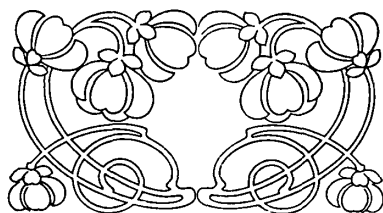
Nazajutrz opuścili Polacy Parmę. Aliści zaledwie wyszli z miasta, gdy niespodzianie przyłączył się do nich francuski pułk strzelców konnych, który, otwierając i zamykając pochód legionistów, tworzył tem samem ich eskortę. Postępek ten naczelnego wodza, dotknął wszystkich do żywego, będąc oznaką niedowierzania, na które nasz żołnierz żadną miarą nie zasłużył.

Smutne święta Bożego Narodzenia przepędzili legioniści w Novi, gdzie otrzymali rozkaz zatrzymania się tak długo, dopóki nie zostaną ukończone przygotowania do podróży w Genui.

Ministerstwo wojny nagliło, o ile możności, o pośpieszne wysłanie Polaków. Szyto dniem i nocą dla nich drelichowe mundury i kolorowe koszule, do czego, prócz więźniów, zazwyczaj szyjących mundury, zarekwirovano krawców cywilnych. — Wszystko się szybko robiło — opowiada dopiero co wspomniany Małachowski. — W sam dzień Nowego

Roku 1803 weszliśmy do Genui, odbywając marsze jak najporządniej i z pewnym rodzajem zapału, chociaż przewidywaliśmy nasz koniec tak z niektórych korespondencyi od naszych, wprzód tam zesłanych, jako i z dzieł, opisujących najgorszy tej wyspy klimat oraz jej zabójczą żółtą febrę. Obojętność nasza na widoczną zagładę pochodziła stąd, iż wszystko nam jedno było czy tracić życie we Włoszech, czy gdzieindziej.

(Według opracowania St. Pełtowskiego).



OSTATNI ORDYNANS

(1814)



OSTATNIA KAMPANIA
(według obrazu Kratkego)



Cesarz był w kłopotcie o Cesarzową i syna, których wyprawiono z Paryża do Blois i Orléans. Wojska bowiem austriackie, pod dowództwem księcia Schwarzenberga, z Bar-sur-Aube szły ku Sens i Auxerre. General Allix się tam bronił i ledwie krok za krokiem ustępował. Cesarz atoli bał się, aby wojska austriackie nie przebiegły drogi Cesarzowej i chciał posłać rozkazy generałowi Allix, by się ku rzece Loarze cofnął i zakrył miejsce, gdzie się znajdowała Cesarzowa. Kazał więc księciu Berthier wyprawić ten rozkaz *par un officier de confiance*, to były jego słowa.

Księżę Berthier wyszedł z gabinetu cesarskiego do salonu służbowego. rozejrzał się po oficerach licznie zebranych i zawołał mnie i do pokoju za sobą iść kazał.

— Otóż — rzekł księżę — misja *de confiance* do generała Allix. Zastaniesz go w Auxerre lub Chablis. Lecz nieprzyjaciel tam krąży w okolicy. Staraj się koniecznie dojechać do generała Allix, *mais ne vous faites pas prendre*.

Powiedział mi nadto księżę, co w depeszach było, więc list do Cesarzowej dla przesłania go jej i rozkaz dla generała Allix, aby się co

fał, celem osłonięcia Cesarzowej, która miała być w Blois i ku Orleanowi dążyć.

Ruszyłem więc dnia 5-go kwietnia z Fontainebleau już nie kolasą, lecz na pocztowym koniu, co nazywają we Francyi *un bidet*, a co znaczy, że pocztylion na drugim koniu siedzi i, jadąc przodem drogę wskazuje. Te konie są małe, lecz galopem dobrze idą, przyczem tak są wprawne, że gdy ruszą galopem ze stacyi, to trzymają go aż do następnej stacyi. Siodło bierze się własne i z konia na konia się przekłada.

Ruszyłem więc ku Sens, a stamtąd do Joigny.

Aż do Sens były owe *bidet*, lecz za Sens już ich nie było, bo austriackie wojsko wzięło je w rekwizycję.

Na ostatniej stacyi przed Joigny dostałem konia ogiera, ciężkiego, który pewnie nigdy jeszcze pod siodłem nie był. Konia takiego nazywają *un maillet*, bo między dwoma dyszlami chodzi w dwukołowym wozie. Ten ogier galopem nie umiał iść, ledwie klusem ciężkim. Pocztylion mój był na podobnym ogierze.

Pocztmistrz na ostatniej stacyi przestrzegł mnie, że nieprzyjacieli niedaleko jest od Joigny i że patrole jego krążą, a nadto, że Joigny, niegdyś mocno ufortyfikowane, i dziś jeszcze jest w stanie obrony i że stoi w niem jeszcze francuska komenda, przyczem polecił pocztylionowi, aby mnie manowcami nad lasem powiódł.

Noc była ciemna, padał drobny deszczyk. Jechałem noga za nogą za moim pocztylionem ścieżkami, a nawet i wprost polami.

W dali, po lewej stronie, widać było łunę od biwaków austriackich, których główna kwatera była podobno w Saint-Florentin.

Gdyśmy z manowców mieli na bity trakt wyjechać i nad lasem sunęliśmy, ogier mego pocztyliona zarżał, mój mu odpowiedział. I tuż z narożnika lasu wyjeżdża kilku konnych w białych płaszczach.

Ja konia zatrzymałem, pocztylion mój był przedemną na jakie dwa-dzieścia kroków. Rozlega się głos:

— *Wer da?! Halt!*

I już jezdni trzymają mego pocztyliona, słyszę ich mówiących po niemiecku i słyszę jak mój pocztylion mówi słowo kuryer.

Chcę mego ogiera skrócić w lewo, bliżej ku lasowi, lecz ani rusz. Rwie mi się gwałtem za drugim ogierem.

Zeskakuję z konia, aby pieszo do lasu uciec.

A depesze moje nosiłem zawsze w bocznej kieszeni pod mundurem i obwijałem je zazwyczaj w chusteczkę jedwabną, czerwoną, co nazywają *un foulard*, aby się nie przetarły lub nie zawałały.

Zaledwie jednak z konia zeskoczyłem i puściłem go, już mnie żołnierze odcięli od lasu, bo na słowo kuryer do mnie się rzucili. Jeden z żołnierzy z konia mnie za kołnierz porwał, wołając na mnie *halt!* W tej



chwili miałem moje depesze już w ręku i upuściłem je na ziemię. Zauważyłem, że w miejscu, przy którym mnie chwycili Austriacy, był kamień obciosany biały, o który nawet się potknąłem, a który znaczył pewnie jaką granicę własności.

Austriacy wzięli mnie między konie. Tu naraz nadjechało ich więcej ze starszym, który był podoficerem, bo miał trzcinę z gałką, u guzika wiszącą.

Pyta mi się ów podoficer, czy jestem kuryerem, odpowiadam mu po francusku *un officier*. Żąda odemnie depesz, mówię, że nie mam.

Austriacy prowadzą mnie przez jakąś drogę, poza las, do mera we wsi i tu mnie zaczynają rewidować.

Musiałem się rozebrać zupełnie, tak, że zostałem tylko w butach, gatkach jelonkowych, które zawsze nosiłem, i kaftaniku trykotowym na koszuli.

Zegarek i pieniądze zabrali mi, a mundur, szlufy, płaszcz, pałasz i resztę odzienia pozostawili na stole, nie pozwalając mi się napowrót ubrać.

Podczas podoficer dopytywał mi się wciąż o depesze, ja nie chciałem mu po niemiecku odpowiadać, aby nie wziął mnie za Polaka lub Niemca i tłumaczyłem mu łamaną mową, że wracam z misji i że depesze, które miałem, już doręczyłem.

Podoficer nie bardzo temu wierzył i odgrażał się po niemiecku do swoich żołnierzy, że gdy do obozu mnie wezmą, to będę tam musiał wszystko wygadać.

Żołnierzom szło o zegarek i pieniądze. A miałem dziewięćdziesiąt napoleondorów w sakiewce. Chcieli się dzielić, lecz podoficer nie pozwolił, mówiąc, że jako oficer mogę się na nich skarżyć.

Ja na ich powtórne zapytania powiedziałem w dodatku, że jestem *major du quartier général*. A oni na to: *ja, general!*

Nie wiem, czy myśleli może, iż jestem generałem?

Następnie kazali sobie dać wina merowi, który się po izbie kręcił. Kobiet w pokoju nie widziałem.

Zaczem Austriacy gotowali coś na kominie, wychodzili i przychodzili, na górze ich było słyhać, krzyczeli na mera i popychali go. Słowem, dokazywali sobie jak zazwyczaj żołnierze w kraju nieprzyjacielskim.

Dali mi wina i do miski zaprosili, w której nie pamiętam co było za jedzenie. Lecz mi się jeść nie chciało. Siedziałem smutny, myśląc sobie o nieszczęściu mojem i to w samym końcu kampanii i po tylu przebytych pomyślnie wypadkach.

Moi Austriacy (byli to, jak słyszałem później w Joigny, dragoni czy szwoleżerzy *de la Tour*), najadłszy się, ku spoczynkowi się zabierać zaczęli.

Nanieśli słomy do izby, pobrali nieco pościeli z łóżek i kilku z nich, a między nimi podoficer, położyło się. Jeden przy kominie został i fajkę palił. Reszta była w stajniach. Razem mogło ich być od piętnastu do dwudziestu, pięknego luda i dobrze odzianego.

Uciszyło się. Zdawało mi się, że warta była przed domem, bo sły-
szałem kroki na dziedzińcu.

Mój mer tymczasem wchodził do izby i wychodził. Aż wszedłszy
znów i widząc, że Austriacy chrapią i że nawet ten przy kominie drze-
mie, podchodzi do mnie. (Był to człowiek niemłody już, odziany w modrą
koszulę, którą we Francji wszyscy chłopci noszą). Poczem siada przy stole
moim i pyta, czy jestem Francuzem.

Odpowiadam, że tak jest i że jestem oficerem ze sztabu Cesarza
i że jechałem do Joigny, gdy mnie do niewoli zabrano. A mer na to,
żaląc się nademną, mówi, że istotnie Francuzi są w Joigny i to *une com-
pagnie franche*, to jest powstanie, zebrane z ochotników i gwardyi naro-
dowej, że do miasteczka tylko pół mili drogi od tej wsi i że las zaraz
za wsią aż pod miasto się ciągnie. I dalej pyta się mnie, czybym nie
chciał uciec. Odpowiadam, że najchętniej, aby tylko nie wpaść znów
w ręce Austryaków.

Mer na to wstaje, chodzi po izbie, wchodzi do sąsiedniego pokoiku
i trzaska drzwiami. Nareszcie bierze miskę dosyć dużą ze ściany i upu-
szcza ją na ziemię. Miska tłucze się z hałasem. Na kominku tlił się ogień,
a nadto świeca licha się paliła, co razem jednak słabo oświecało izbę.

Na hałas stłuczonej miski rozejrzał się mój mer na wsze strony, a wi-
dząc, że się żaden z żołnierzy nie obudził, bo jeden chrapnął mocniej, drugi
mruknął coś, a ten przy kominie siedzący nawet się poruszył, lecz znów
usnął, roześmiał się do mnie tak, że mi w półciemności swe białe zęby po-
kazał. Dopieroż przybliżył się do mnie i mówi: tam, za tym leżącym żołnie-
rzem, są drzwi na ogród, a dalej ścieżka, prowadząca przez rów, a kilka
kroków za rowem jest las. Idź tamtędy, a lasem trafisz aż pod miasto.

Powinienem był schwycić na te słowa za spodnie, płaszcz lub mun-
dur, lecz gdy mi ten poczciwy chłop drzwiczki otworzył, ja, już nie my-
śląc o niczem innem jak o ucieczce, przeżegnawszy się, ruszam.

Przechodzę przez nogi żołnierza, słoma na posłaniu chwarszczy. Ów
śpiący, gdyby się zbudził, mógłby mnie być za nogę złapać. Lecz dalej
już był skok jeden, i już byłem za domem! Nawet cug powietrza wpadł
do izby, jednak żołnierzy nie przebudził.

Ruszam więc, lecz ledwie minąłem ścieżkę, wpadam w rów. Wody w nim miałem po kolana. Dobytam się z rowu i biegnę, aż trafiam do lasu, ani czując zimnej kąpieli w rowie.

Ba, lecz cóż to był za las! Poprostu tak zwany we Francyi *un taillis*, czyli dębowy zagajnik, pełen różnego chwastu na jakieś trzy łokcie wysokości, same różgi, które z pni wypuściły. Gdyby to był nasz las sosnowy, to byłbym miał schowanie dobre.

Szukam więc gęstwiny, biegam w różne strony, lecz wszędzie jednakowo. Nareszcie znajduję dół od pnia, pełen dębowych liści. Tu sobie wygrzebuję siedlisko i, skurczywszy nogi, siadam.

Tymczasem deszcz drobny pada ciągle, mgła duża. Gdym się zagrzebywał, było mi gorąco, po chwili czuję ziąb.

Przemoczony cały, bo jak wiadomo, byłem tylko w gatkach i kaftaniku skórzanym, siedziałem w tym dole nie wiem ile godzin. Słyszałem odgłos bębnow francuskich i trąbek austriackich. Pierwsze bliżej, drugie dalej się odzywały.

Zaczęło dobrze dnieć. Naraz, słyszę, że ktoś idzie ku mnie. I widzę chłopą, pędzącego przed sobą osła, na którym kobiałki dwie wiszą, i wołającego: *gia! ano!* (co znaczy w mowie francuskiej do osłów; na prawo! na lewo!) i idącego wprost ku mnie.

Rozpatruję się dokoła i postrzegam, że siedzę najdalej o jakie dziesięć kroków od traktu, który z Joigny szedł po Villeneuve i na którym Austriacy mnie pochwycili. Gdyby się tak ci dragoni konno puścili na trakt, byłiby mnie po raz drugi pewno spostrzegli.

Byłem tak zdrętwiały, że na nogach nie mogłem ustać i ledwie na kolanach się opierałem.

Wołam na chłopą, ten przeraził się zrazu, lecz stanął i pyta, czego chcę. Tłumaczę mu w krótkich słowach moją przygodę i o drogę do Joigny zapytuję. A on mi rzecze: Ach! to ty jesteś ów człowiek, co uciekł z domu naszego mera, co go «Kozacy» szukali i o mało mera nie zabili?! Opisuje mi dalej chłop, co się stało, powiada, że «Kozacy» (dragoni) pojechali do Saint-Flórentin, i że Joigny leży tuż przed nami i że on tam właśnie idzie.

Ruszam więc z moim chłopem, zawsze trzymając się brzegu lasu, i tak przybywam z nim na pole, gdzie już widać było miasto, wedety i *grandgarde* piechoty francuskiej. Tu proszę chłopą, by mi pożyczył swej modrej koszuli, bo mi wstyd tak wchodzić do miasta. Chłop przystał, zdjął koszulę i ja ją wdziałem,

Tu wedeta na nas woła, *grandgarde* przychodzi. Pytam się, gdzie stoi komendant i jak się nazywa. Podoficer spogląda na mnie i uśmiecha się. W rzeczy samej w dziwnym byłem stroju. Buciki z ostrogami, gatki skórzane zmokłe, modra bluza i ani chustki na szyi ani kapelusza.

Mówię, że jestem oficerem sztabu Cesarza, że dostałem się do niewoli i uciekłem. Świadczę się nadto chłopem. Ten powiada, że mnie nie zna, ale słyszał i wie, iż kuryer wzięty w niewolę z domu mera uciekł.

Podoficer daje mi żołnierza, aby mnie do komendanta zaprowadził. Pytam się, co tu jest za komendant. Podoficer objaśnia mnie, że stary kapitan, jeszcze z czasów Rzeczypospolitej, oficer *en retraite* i jako ochotnik wezwany do komendy.

Jakoż istotnie staję wkrótce przed jakimś starym, chudym oficerem o wyglądzie dosyć ordynarnym, z krzyżem legii honorowej na piersiach w mundurze (fraku) długim, prawie do kostek i butach ze sztylpami.

Komendant pyta mi się, co jestem za jeden. Tłumaczę mu więc, opowiadam całą przygodę, cel mojej misji staram się mu wystawić jako bardzo ważny i proszę o śpieszne wyprawienie mnie do generała Allix, który ma się znajdować bądź w Auxerre bądź w Chablis.

Komendant pyta mnie o legitymację, gdy mu znów powtarzam opis wzięcia mnie do niewoli powiada:

— *C'est bon tout cela, mais vos papiers? On ne peut ajouter oi à tout cela sans papiers.*

Proszę więc, żeby mnie choć pod eskortą do generała Allix posłał, jeżeli mi nie wierzy, byłem najprędzej mógł się tam dostać. Lecz komendant wciąż mi o papierach mówi i że teraz są czasy wojenne, że mogę być *un homme suspect*, i tak mi baje, chodząc po pokoju. Nawet, zda mi się, iż pod nosem mruczał, że mnie do aresztu musi wsadzić *jusqu'à plus ample information*.

Na moje szczęście, nadchodzi na to jakiś młody oficer, najwyżej dwudziestoletni. Stary kapitan opowiada swój ambaras i wyraźnie mówi, że musi mnie do kozy wsadzić, aż się nie wylegitymuję. Ja znów zaczynam od początku. Młody oficer słucha mnie z uwagą, jakby to na nim wrażenie robiło, a potem pyta mnie kogo znam z oficerów, będących przy Cesarzu. Wyliczam mu wszystkich jak litanię. To go jakoś dobrze ku mnie usposobiło, nawet kapitan, słysząc imiona znanych osób, poglądał na mnie już nie tak podejrzliwym okiem. I dalej, pyta mnie oficer, gdzie byłem wzięty do niewoli. Opisuję mu miejsce i na chłopą się powołuję. Kazali chłopą sprowadzić, lecz już go nie było.

Tu oficer odzywa się do kapitana:

— Pewnie tego pana wzięli pod N..., bo tam wczoraj patrol «kozacki» był, do którego nasze forpocztę ognia dały. Mieliśmy zrobić dziś *un reconnaissance* w tę stronę dla zdania raportu generałowi, więc mógłbym iść z tym panem *et nous verrons*.

Kapitan na to przystał i dał instrukcję oficerowi, a nadto coś mu do ucha powiedział, pewnie by na mnie dobrze uważał.

Ja, będąc ciągle w stroju, który opisałem, poprosiłem o jaki płaszcz lub surdut, bo mi zimno; dał mi więc płaszcz stary żołnierski, pewnie po jakim nieboszczyku i swoją furażerkę.

Wziął oficer ze sobą trzydziestu żołnierzy i pojechaliśmy.

Gdyśmy dotarli do lasu, powiadam do oficera, że odrazu trafię na miejsce, w którym część nocy spędziłem. Jakoż wskazałem mu ów dół w lesie.

Jedziemy dalej nad lasem i aż na pole trafiamy. Od środka lasu znać było na trakcie kopyta końskie i wyraźny przechód kawaleryi. Zwracam uwagę oficera, że tu byli dragoni. Równocześnie od narożnika lasu widać było ślady głębsze, wyraźnie koni galopujących. Poznaje miejsce i powiadam, że w tej okolicy byłem wzięty.

Oficer śnać nie chciał dalej maszerować i stanął, wahając się czy aż do owej wsi, którą widać było w dole, o ćwierć *lieu*, jechać.

Gdy się mój oficer tak namyśla, a rozgląda po okolicy, jakby kogo chcąc upatrzeć, postrzegam, że jeden żołnierz ma coś czerwonego w ręku

i rozwija. Poznaję moją chustkę *foulard* z depeszami! Biegnę więc uradowany do żołnierza i wołam: *Mes dépêches, c'est mon foulard!*

Oficer nadciąga. Pokazuję mu mój rozkaz i list do generała Allix z pieczęcią cesarską. Poprzednio już mówiłem mu jak się nazywam, że jestem szefem szwadronu i t. d. W rozkazie moim, zamokłym wyczytał toż samo i przekonał się o rzeczy.



Dopieroż miny nabieram śmielszej i powiadam, że wracamy do Joigny bo nie mam czasu do stracenia, depesze są za ważne, abym się tu bawił.

Zawróciliśmy natychmiast. W drodze odpowiedział mi oficer, że dopiero kilka miesięcy, jak wyszedł ze szkoły w Saint-Cyr, że go wysłano tu, aby ufortyfikował nieco Joigny i był przy owym kapitanie, który, choć dobry i stary żołnierz, ale ignorat, ograniczony i zarozumiały.

Przybywamy do Joigny. Wpuszczam oficera na górę, do kapitana, z memi depeszami, a sam zmęczony na dole zostaję i przed domem siadam.

Po chwili schodzi mój kapitan i, zdjawszy kapelusz, który poprzednio, gdy ze mną rozmawiał, miał wciąż na głowie, — zaczyna dopiero:

— *Ah, je vous salue, commandant, je n'ai plus rien à dire, mais excusez moi, voyez vous en temps de guerre, l'ennemi devant nous etc. etc.*

Podaję rękę kapitanowi i żądam natychmiast koni z wózkiem do Auxerre, a tymczasem śniadania. Jakoż wkrótce wsiałem do wózka i wyjechałem do Auxerre, gdzie generała Allix zastałem. Generał nader się ucieszył z mego przybycia, bo był bez rozkazów i jedynie złe i sprzeczne ze sobą wieści odbierał z Paryża i okolic. Dał mi generał pieniędzy na drogę i depesze swoje, na ważność tych depesz zwracając moją uwagę.

Dowiedziałem się później od generała Monthion, że w depeszach tych generał Allix donosił Cesarzowi, że w ręce jego wpadł adjutant Cesarza Franciszka, wysłany przez tegoż do Paryża, do Cesarza Aleksandra i do Króla pruskiego, z doniesieniem, że Cesarz Franciszek nie zezwala na detronizację swej córki i swego wnuka, że protestuje przeciw temu, co zaszło w Paryżu, i rozkazuje księciu Metternichowi i hrabiemu Stadionowi, by się nie ważyli podpisywać detronizacji córki i że ta ma być *Régente de l'Empire*, jak ją Napoleon mianował. Generał Allix oficera puścił do Paryża z tą depeszą, o czym donosił właśnie Cesarzowi. Lecz było już za późno, bo Napoleon akt abdykacji podpisał, a zdrada Talleyranda, Clarka, Fouché, Marmonta i innych nakłoniła monarchów ku Burbonom.

Znajduje się o tym wypadku wspomnienie w jednym z dzieł, opisujących epokę.

Z Auxerre wróciłem na Montargis do Fontainebleau, dokąd przybyłem d. 10-go kwietnia.

W Fontainebleau udałem się zaraz do zamkn. Grenadyerzy u bramy nie chcieli mnie wpuścić w tym moim stroju, lecz gdym do nich przemówił, wpuścili mnie na dziedziniec. Tu spostrzegłem z daleka przechodzących pułkowników sztabu księcia Berthier panów Galbois i Stoffel. Podchodzę do nich, spuściwszy czapeczkę na oczy, i podaje im rękę. Ci mnie nie odrazu mogli poznać, aż dopiero poznawszy, najuprzejmiej przywitali, mówiąc, że mnie już za zgubionego mieli i że się Cesarz i książę

Berthier mocno kłopotali, czy generał Allix zdołał znane rozkazy uskutecznić. Obawiał się bowiem jeszcze Cesarz, by Cesarzowej i syna do niewoli nie wzięto.

Dowiedziałem się od tych moich kolegów o uskutecznionej i dokonanej abdykacji Cesarza, co, jak sobie każdy łatwo wystawić może, nader mnie zmartwiło!

Poszedłem więc do sali służbowej i oddałem moje depesze księciu Berthier, którego pułkownik Stoffel uprzedził o moim powrocie. Ucieszył się książę, lecz się zadziwił, na mnie wejrzawszy. Zaczem przeczytał zaraz list generała Allix, w którym podobno i o mnie była mowa, i poszedł do Cesarza. Aż wrócił wkrótce i odezwał się do otaczających.

— *Messieurs, voila encore un polonais qui nous sert le dernier!*

(Grabowski J. oficer sztabu Napoleona I.



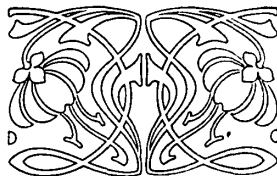
105 949

SPIS RZECZY



	Str
Wstęp do Gawęd	VII
Szkoła wojskowa w Wiedniu (H. Dembiński)	1
Zdarzenie podczas zawieszenia broni (R. Wybranowski)	13
Audyencya u Piusa VI (Drzewiecki J.)	23
Pod Saragossą (Mroziński J.)	31
Wagram (Szymanowski J.)	41
Czyn chwalebny kompanii grenadyerskiej (R. Wybranowski)	49
Liberadzki (Drzewiecki J.)	57
Schoenbrunn (Załuski J.)	63
Wjazd Ludwika XVIII do Paryża (Grabowski J.)	73
Saint-Georges (H. d. St. Albin)	81
Francuzi w Poznaniu (Chłapowski D.)	87
Baśka markietanka (H. S.)	95
Włosy cesarza (Grabowski J.)	101
U paszy widdyńskiego Paswan-Oglu (Kosmowski St.)	105
O siłaczach (Załuski J.)	113
Piąty pułk w roku 1811 (Dembiński H.)	121
Ośmnasty brumaire'a (Drzewiecki J.)	131
Za Tremona (Pełowski St.)	137
Obrona Gdańska (Ostrowski A.)	143
Szwolężerzy w Hiszpanii (Załuski J.)	151
Wspomnienie z kampanii (Wybranowski R.)	173
Campo-Formio (Drzewiecki J.)	187
Egipt (St. Albin)	197

	Str.
Pod Lipskiem (Grabowski J.)	203
Buty (Drzewiecki J.)	215
Bajonna (Załuski J.)	223
Pojedynek (Kosmowski St.)	231
Kozak Maksym i Jóźko (Wybranowski R.)	235
Bitwa pod Bosco (Dąbrowski H.)	251
W marszu do Grodna (Dembiński H.)	259
San Domingo (Pełowski St.)	265
Przegląd (Szymanowski J.)	273
Nagroda (Pełowski St.)	279
Ostatni ordynans (Grabowski J.)	285





zdigitalizowan

CBW Warszawa

nr inw.: SZ - 105949



MG 98646

1905r

zbiory zdigitalizowane

CBW

www.cbw.pl

WYKONANO
W D. 1980
W WARSZAWIE